wrzesień
09/117

# SHOCK

płyta cd gratis

www.shock.com.pl

## ADRENALINA NAS WSZ/CNE

## FANTASTIC FOUR SYSTEM OF A DOWN

## MOTOCROSS JEL JERLY

numer 09/117
wrzesień 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)
ISSN 1425-1760
9 771425 176052 09

OWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJ

OWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA

EKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW

BEK
TU
SKUL

cropp town

WWW.CROPPTOWN.PL

EKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW. NOWA KOLEKCJA CIUCHÓW

Foto: FABJAN

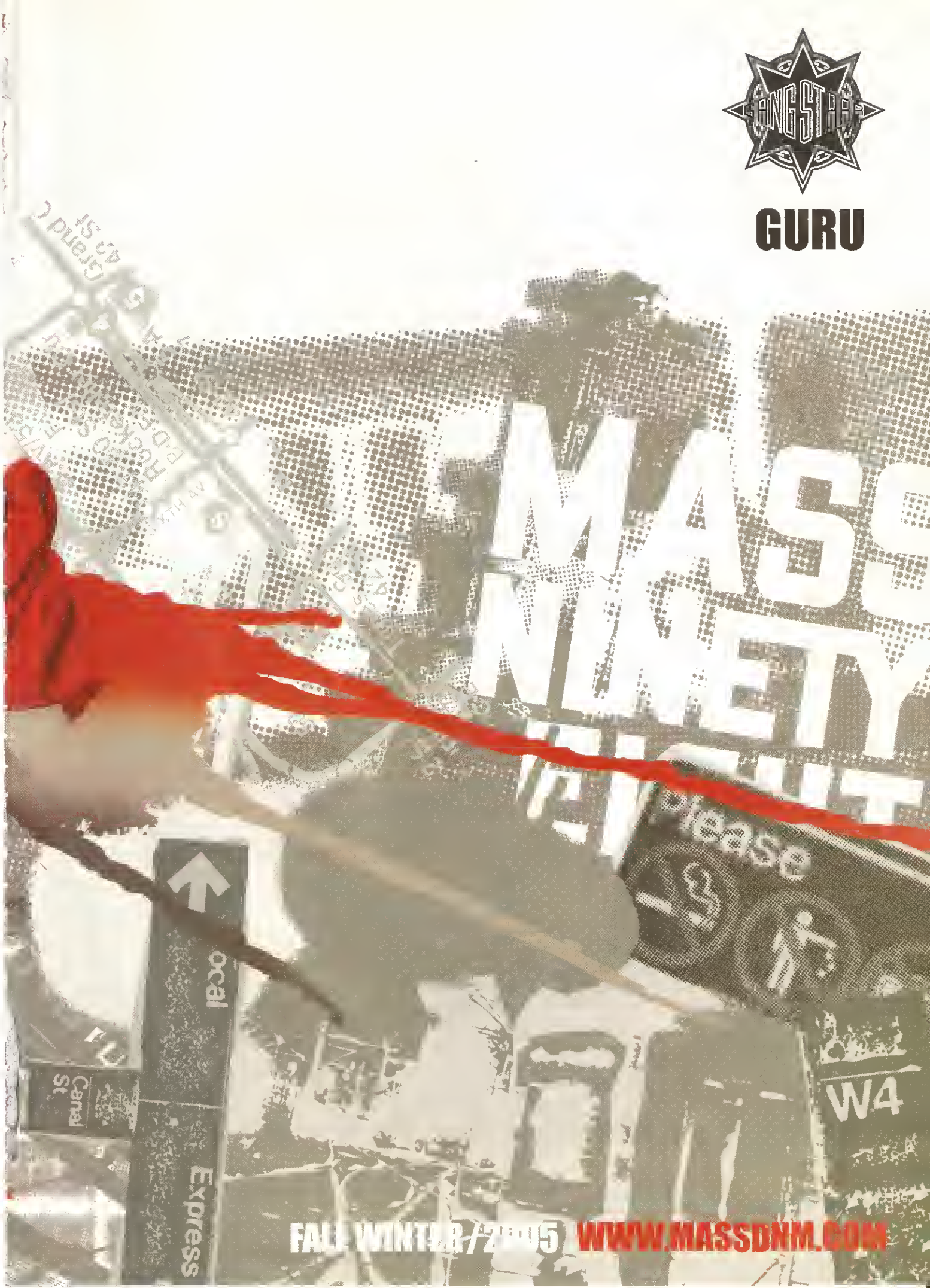
GURU
Please
W4
Express
WWW.MASSDNM.COM

VISIT THE NEW TEAM SECTION AT ***WWW.DCSHOES.COM/SKATE***
FOR MORE INFO ON THE LYNX 2 AND DC S PERFORMANCE FEATURES, VISIT ***WWW.DCSHOES.COM***

MAYER
SKATE & SNOWBOARD
WWW.MAYER.PL

THE LYNX2 FEATURES
SUPER SUEDE
DGT

# Wielki konkurs bJEŻcie nagrody

## Ankieta/kupon

**Od jak dawna czytasz Ślizg?**
- ☐ to pierwszy numer, jaki kupiłem/am
- ☐ krócej niż rok
- ☐ rok – dwa lata
- ☐ dłużej niż dwa lata
- ☐ od zawsze!

**Gdzie kupujesz Ślizg?**
- ☐ w kiosku
- ☐ w Empiku
- ☐ w skateshopie
- ☐ czytam numery kupione przez kolegów
- ☐ czytam Ślizg w bibliotece

**Czym się interesujesz?**
- ☐ muzyką (podaj gatunek).....
- ☐ sportami ekstremalnymi
- ☐ graffiti
- ☐ breakdance'em
- ☐ komiksem
- ☐ kulturą (film, literatura, sztuka)
- ☐ czymś innym (wymień):

.....

**W Ślizgu najchętniej:**
- ☐ czytam artykuły i recenzje
- ☐ oglądam zdjęcia
- ☐ czytam Jerzego
- ☐ czytam Ślizg w całości
- ☐ inne .....

**Jak oceniasz materiały zamieszczane w Ślizgu (w skali szkolnej od 1 do 6):**
- ☐ artykuły .....
- ☐ recenzje .....
- ☐ zdjęcia .....
- ☐ graffiti .....
- ☐ komiks .....
- ☐ reklamy .....

**Czego w Ślizgu jest za mało?**
- ☐ artykułów na temat muzyki
- ☐ artykułów i zdjęć sportowych
- ☐ graffiti
- ☐ komiksu
- ☐ recenzji
- ☐ reklam

**Jeśli czytałeś poprzednie numery Ślizgu, to napisz, jak oceniasz nowy układ zawartości:**
- ☐ wymieszanie tematów jest fajne
- ☐ wolę magazyn uporządkowany tematycznie
- ☐ oba sposoby są dobre
- ☐ oba sposoby są do kitu

**Jak oceniasz poziom graficzny Ślizgu (w skali szkolnej od 1do 6):**

.....

**Jak oceniasz okładki Ślizgu:**

.....

**Co byś zmienił/a i dlaczego:**

.....

.....

.....

**Czy oglądasz płyty dołączane do Ślizgu co miesiąc?**
- ☐ zawsze
- ☐ rzadko
- ☐ tylko wybrane filmy / utwory
- ☐ nigdy

**Jak oceniasz materiały na płycie dołączonej do Ślizgu (w skali szkolnej, od 1do 6):**
- ☐ film z cyklu „Profil CD"
- ☐ film sportowy
- ☐ muzyka
- ☐ pełny album w mp3

**Czy odwiedzasz stronę internetową www.slizg.com.pl?**
- ☐ tak
- ☐ nie

**Jak ją oceniasz?**

.....

**Co chciałbyś jeszcze znaleźć na stronie internetowej Ślizgu:**

.....

.....

**O czym lub o kim chciałbyś/chciałabyś jeszcze przeczytać na łamach Ślizgu:**

.....

.....

**Co chciałbyś/chciałabyś zobaczyć (lub posłuchać) na płycie dołączonej do Ślizgu:**

.....

**Czy byłbyś/byłabyś zainteresowany/a kupnem gadżetów z logo Ślizgu?**
- ☐ tak
- ☐ nie

**Jeli tak, to jakie gadżety by Cię interesowały?**

.....

**Ile masz lat?**.....

**Skąd pochodzisz?**
- ☐ z dużego miasta (ponad 100 tys. mieszkańców)
- ☐ ze średniego miasta (10–100 tys. mieszkańców)
- ☐ z małej miejscowości (poniżej 10 tys. mieszkańców)

**Jakie inne pisma oprócz Ślizgu czytasz? Wymień:**

.....

**Co robisz na co dzień:**
- ☐ uczę się
- ☐ studiuję
- ☐ pracuję
- ☐ nic nie robię

**Jeśli bierzesz udział w konkursie lub chcesz wziąć udział w losowaniu nagród za wypełnienie ankiety, wpisz swoje dane:**

Imię i nazwisko:

.....

Adres:

.....

Adres mailowy:.....

Telefon:.....

*Zgadzam się na wykorzystanie moich danych do przesyłania materiałów informacyjnych na temat Ślizgu (dane nie będą udostępnione innym osobom i firmom). W każdej chwili przysługuje mi prawo zmiany lub wykreślenia moich danych:*
- ☐ Tak
- ☐ Nie

Podpis .....

Elo! Ilość prac, jakimi zasypaliście redakcję, przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Od razu napiszemy, że poziom jest bardzo wysoki, więc starajcie się, dziewczyny i chłopaki, bo to będzie ostra - niczym kolce Jeża - rywalizacja. A dla spóźnialskich lub dla tych, którzy poprzedniego Ślizgu nie kupili, przypominamy zasady (i drukujemy jeszcze raz ankietę).

**ZADANIE:**
Pozornie proste. Narysuj Jeża Jerzego. „Narysuj" jest tu umowne, bo możesz Jeża również namalować, wyrzeźbić czy wykonać jego postać dowolną techniką – wszystko zależy od Twojej fantazji, a pamiętaj, że kreatywność jest nagradzana...

**WARUNKI:**
**Po pierwsze**, swoją pracę przyślij na adres redakcji: Ślizg, ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa, z dopiskiem „bJEŻcie nagrody".
**Po drugie**, dołącz do niej wypełnioną ankietę. Nie musisz – jeśli nie chcesz – odpowiadać na wszystkie pytania, ale żeby brać udział w konkursie, musisz oczywiście podać wszystkie swoje dane. Możesz wysłać do nas tylko ankietę: odpowiadający również mogą liczyć na nagrody (szczegóły niżej).
**Po trzecie**, praca konkursowa i ankieta muszą dotrzeć do redakcji do końca sierpnia. Pamiętajcie o terminie, bo czasu zostało już niewiele. Prace nadesłane później nie będą niestety brane pod uwagę.

**NAGRODY:**
W konkursie bJEŻcie nagrody zwycięzca otrzyma fantastyczny mp3 player MM206-207 Demon (pojemność 256 MB) ufundowany przez firmę **MANTA MULTIMEDIA**. Dodatkowo, na dobry początek użytkowania, załadujemy playera muzą specjalnie dla Was!
Będzie też sporo innych nagród: na autorów wyróżnionych prac czeka cała masa gadżetów do zdobycia: płyty, portfele, smycze, frisbee, komiksy o Jeżu Jerzym (z autografami autorów), roczne i półroczne prenumeraty Ślizgu i pewnie jeszcze parę niespodzianek się znajdzie... Nagrody ufundowali m.in. **B3, Mayer, Stoprocent** i oczywiście **Ślizg**;)
Ponadto, najlepsze prace zostaną opublikowane na łamach Ślizgu, na stronie www.slizg.com.pl oraz w galerii na oficjalnej stronie Jurka www.jezjerzy.pl. Rozwiązanie konkursu w numerze październikowym.

Jeśli wysyłasz do nas tylko ankietę, to (oprócz satysfakcji, że pomożesz nam zrobić jak najlepszy magazyn) masz szansę na nagrodę. Co dziesiąta ankieta (nadesłana poza konkursem) zostanie nagrodzona trzymiesięczną prenumeratą Ślizgu, co trzydziesta – oprócz prenumeraty – płytą lub fajnym gadżetem. Czekamy na Wasze opinie!

Odtwarza formaty: MP1, MP2, MP3, WMA, WMV, ASF i WAV. Posiada stereofoniczny odbiornik radiowy z możliwością zapamiętania 20 stacji. Funkcja magnetofonu i dyktafonu. Animowane menu. Intuicyjny, prosty układ sterowania. Możliwość uaktualnienia systemu. Fajny bajer, prawda?

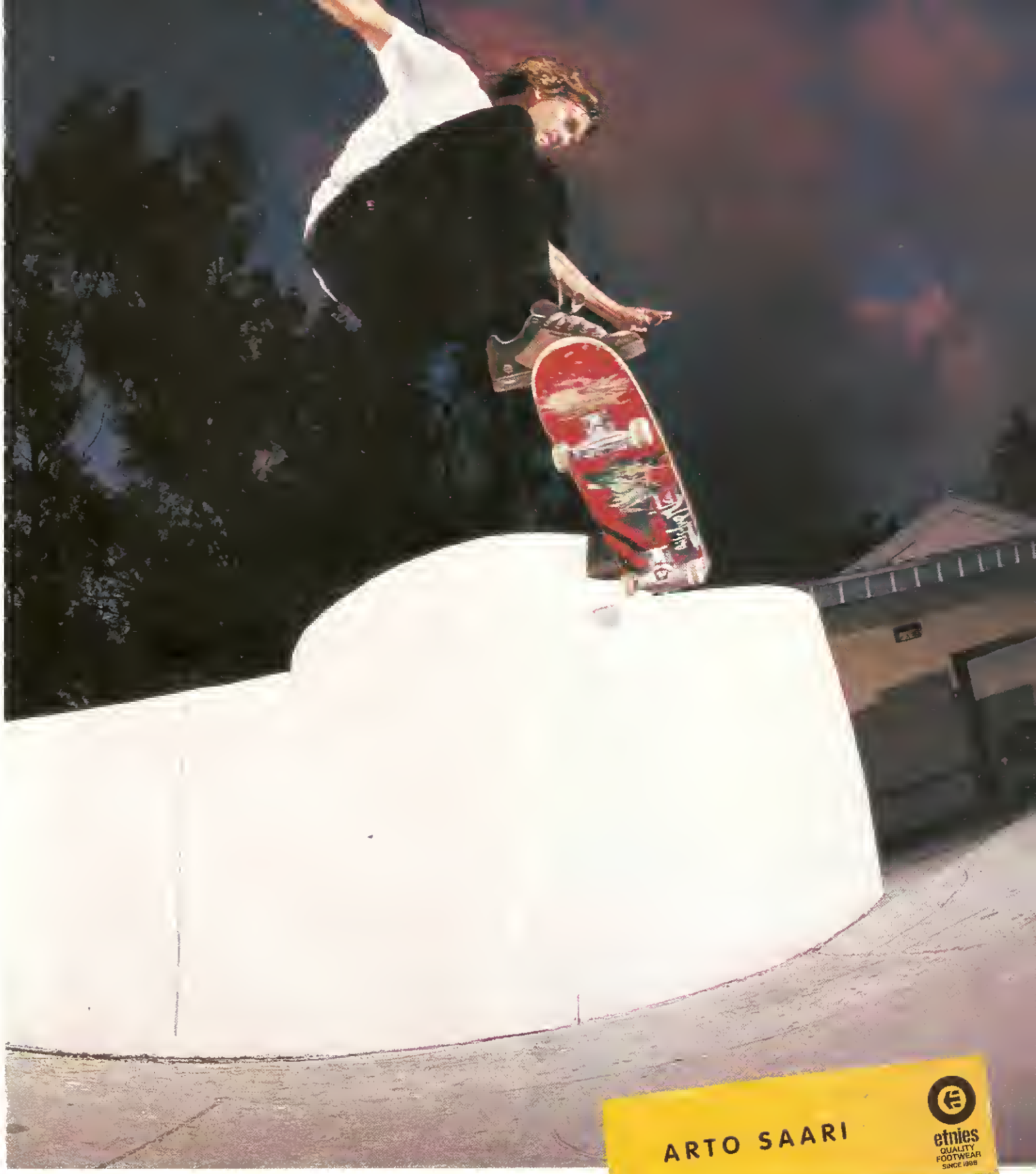


# etnies

ETNIES : CHECK OUT ETNIESSKATE.COM FOR THE LATEST TEAM AND PRODUCT UPDATES.

TopLogo
www.toplogo.pl
Odsłuchaj dzwonek i true tone zanim zamówisz. Zadzwoń pod numer:
0708.188.009
Połączenie Sp. z o.o. Koszt 0,29 - 0,35 PLN/min z Vat
Logosy - Dzwonki - SMSy - Tapetki - Gry java

tapetki sms+ 7516 0708.588.000

Top Hit

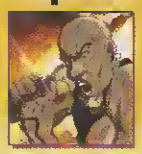
ASL.257183

ASL.254774

ASL.256943

ASL.257004

ASL.257142

ASL.256956

ASL.254788

ASL.255444

ASL.255450

ASL.257199

ASL.257180

ASL.256817

ASL.258348

ASL.255578

ASL.256818

ASL.257283

ASL.255442

ASL.257087
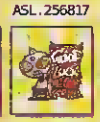
ASL.256700
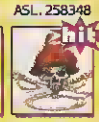
ASL.255474

ASL.257195

ASL.256815

ASL.256845

ASL.257186

ASL.257069

ASL.257066

Kolorowe Tapetki: SMS 7516 o treści dla NOKII 3510i, 3530, 8910i: ASL.1nr tapetki dla NOKII 3330, 5100, 6100, 6220 6610, 6800, 7210, 7250: ASL.2nr tapetki dla NOKII 3650, 7650: ASL.3nr tapetki dla NOKII 6650: ASL.4nr tapetki SIEMENS: ASL.Snr tapetki m55, s45, s55, s55 MOTOROLA: ASL.Vnr tapetki t720, t720i, t722i SAGEM: ASL.Gnr tapetki My x5, x6 ERICSSON: ASL.Enr tapetki t300 t310, t610. (NP: dla Nokii 3510i: ASL.1254387 , dla Motoroli: ASL.V254328)
KOSZT SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z Vat. 0708-588-000 (3,00 -3,66 PLN/min z VAT)

polski hip - hop

| top hity | mono | poli |
|---|---|---|
| Moja Panienka:: z rep Lerek | ASL.211255 | ASL.605272 |
| Kto Dogoni Psa:: z rep Mleko | ASL.210591 | ASL.604744 |
| Ważne:: z rep Mezo | ASL.210915 | ASL.604975 |
| Na Dwa:: z rep Sistars | ASL.211230 | ASL.605244 |
| Halo kochanie:: z rep Doniu | ASL.211070 | ASL.605119 |
| Pamiętasz:: z rep Verba | ASL.209957 | ASL.604158 |
| Jak By To Było:: z rep DKA | ASL.209800 | ASL.603989 |
| Zapomnij o tym:: z rep Trzeci Wymiar | ASL.207964 | ASL.602604 |
| Jest Tak:: a rep Jeden Osiem L | ASL.209781 | ASL.603970 |
| Przestrzeń:: z rep Doniu | ASL.208263 | ASL.602790 |
| Skamieniali:: z rep Trzeci wymiar | ASL.206244 | ASL.601342 |
| Wielkie Jo!:: z rep Tede | ASL.206240 | ASL.601461 |
| Jak Żyć:: z rep Tede feat. Z.Sosnicka | ASL.206237 | ASL.601460 |
| To My:: a rep 52Debiec | ASL.206173 | ASL.601454 |
| Dla mnie masz stajla:: z rep Trzeci Wymiar | ASL.205952 | ASL.601351 |
| Suczki:: z rep Ascetoholix | ASL.210121 | ASL.604280 |
| Nasze randez vous:: z rep Liber & Doniu ft.Kombi | ASL.208650 | ASL.603119 |

zagraniczny hip - hop

| mono | poli | super przeboje |
|---|---|---|
| ASL.211229 | ASL.605243 | N Dey Say:: z rep Nelly |
| ASL.209943 | ASL.604144 | Candy Shop:: z rep 50 Cent |
| ASL.204791 | ASL.601180 | Gangsta paradise:: z rep Coolio |
| ASL.203304 | ASL.600280 | Ice ice baby:: z rep Vanilla Ice |
| ASL.204787 | ASL.601176 | Without me:: z rep Eminem |
| ASL.210812 | ASL.604885 | Lonely:: z rep Akon |
| ASL.205581 | ASL.600615 | Loosen control:: z rep Snoop Dog |
| ASL.210497 | ASL.604617 | Hold you down:: z rep Jennifer Lopez |
| ASL.203296 | ASL.600239 | Big pimpin:: z rep Jay Z |
| ASL.202294 | ASL.600242 | California love:: z rep 2 Pac |
| ASL.203602 | ASL.600250 | Dilemma:: z rep Nelly Feat K Rowland |
| ASL.207389 | ASL.602288 | My place:: z rep Nelly feat. Jahiem |
| ASL.210496 | ASL.604616 | My band:: z rep D12 |
| ASL.203055 | ASL.600381 | Bad intentions:: z rep Dr Dre |
| ASL.204781 | ASL.601170 | Hey ya:: z rep Outcast |
| ASL.205617 | ASL.601277 | Superstar:: z rep Cypress Hill |
| ASL.205614 | ASL.601274 | Rise and fall:: z rep Craig David ft Sti |

mono 7216 0700.281.750
poli 7516 0708.588.000

Dzwonek monofoniczny: SMS 7216 Nokia,Samsung: ASL.nr dzwonka Siemens: ASL.Snr dzwonka. Aby wysłać znajomemu Nokia i Samsung: ASL.nr dzwonka.nr telefonu Siemens: ASL.Snr dzwonka.nr znajomego.Koszt SMS'a: 2,00 - 2,44 PLN z VAT.
0700-281-750 (1,05 -1,28 PLN/min z VAT )
Dzwonek polifoniczny: SMS 7516 o treści: dla Nokii ASL.xxxxxx, Siemensa ASL.Sxxxxxx, Motoroli ASL.Vxxxxxx, Sony Ericsson ASL.Exxxxxx. Aby wysłać znajomemu: dla Nokii ASL.xxxxxx.nr znajomego, Siemensa ASL.Sxxxxxx.nr znajomego Motoroli ASL.Vxxxxxx.nr znajomego, Sony Ericsson ASL.Exxxxxx.nr znajomego.
Koszt SMS'a: 5,00 - 6,10 PLN z VAT. 0708-588-000 ( 3,00 - 3,66 PLN/min z VAT )

Chcesz otrzymywać informację o promocjach wyślij SMS o treści ZGODA na numer 3232.
Chcesz zrezygnować z otrzymywania ofert wyślij SMS o treści WYPISZ na numer 3232
Koszt SMS zgodny z planem taryfowym tel. użytkownika.
Reklamacje: 0708-188-008 lub bok@phonesat.pl

# ANTYBOHATER(OWIE) SLG:
## GOŁOTA VS. SALETA
### lub, jeśli wolicie, Saleta vs. Gołota

Być może jako jedyni na świecie potraktujemy Andrzeja Gołotę i Przemysława Saletę, jako parę. Panowie oficjalnie bardzo się nie lubią, ale kto się lubi, ten się czubi, jak mówi staropolskie porzekadło, a przecież w staropolszczyźnie jest wiele prawdy. Faktem niepodważalnym jest natomiast, że my panów Gołoty i Salety nie lubimy. Poniżej, dlaczego.

Przede wszystkim za to, że koncertowo spierdolili swoje kariery. Jeden mógł pozostać w pamięci mas jako znakomity kickbokser, ale zabrał się za boks, w którym wyraźnie mu nie idzie, gdyż biją go zawodowi barmani. Drugi mógł zostać mistrzem świata, ale zawsze, w krytycznych momentach, kucał.

Wkurwili nas tym, że nie odbyła się ich walka zapowiadana na 13 sierpnia, bo bardzo chcieliśmy, żeby Polak wygrał.

Nie lubimy ich także za medialność. Jeden bywa całuśny do bólu, drugi jak już coś powie, to lepiej, żeby się nie odzywał.

No, dobra. Koniec z parami, jedziemy po nich osobno.

### Andrew:

Gołoty nie lubimy za to, że Kazik wyszedł przez niego na idiotę.

Wkurwił nas również tym, że kilka nocy mieliśmy zarwanych, a okazywało się, że kilkugodzinne oczekiwanie kończy się tym, że nawet się spokojnie odlać nie można. O co chodzi? Otóż nasz ziom, S., poszedł się odlać, wrócił, a tu... reklamy. Reklamy po walce, dodajmy.

Denerwowało nas, że wzruszaliśmy się widząc „Andrew Gołota, Warsaw, Poland" i myśleliśmy: „Jak to fajnie, że Jędruś nie zmienił obywatelstwa, jak niektóre tygrysy i sławi imię kraju i stolicy w całym świecie". Po czym Gołota dostawał wpierdol, a nam się robiło strasznie głupio...

Wkurzające bywa to, że niektóre walki Gołoty można zobaczyć w całości w Teleexpressie.

### Przemysław:

Jako Polacy-katolicy nie możemy spokojnie patrzeć na człowieka, który ma żonę, a prasa wciąż pisze o jego kochankach. Tfu, paskudztwo i zgnilizna moralna!

Szołmenem jest jeszcze gorszym, niż bokserem, a mimo to był taki moment, że wszędzie było go pełno. Tak jak Holowczyca, któremu dopieprzymy innym razem, bo nam chipsy w gardle do dziś stoją!

Wkurza nas, że Saleta został zawodowym mistrzem Europy, bo przez to nie możemy się dopieprzyć do niego jeszcze bardziej.

Z ostatniej chwili: A jednak da się bardziej dopieprzyć. Saleta padł na dechy w czwartej rundzie pojedynku z niewiadomo kim, po czym opowiadał mediom, że jest fajnie, bo dla niego boks to zabawa. Tak przynajmniej podają media, bo nam się nie chce w to wierzyć...

Istnieje prawdopodobieństwo, że któryś z naszych bohaterów to przeczyta i będzie chciał nam zrobić krzywdę. My oczywiście tylko żartujemy! Tak naprawdę, to jesteśmy dumni, że ziemia polska wydała na świat tak wspaniałych atletów! Współczesnych gladiatorów!

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
tel/fax +48 (prefix) 226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (redna czkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl), Grabiszczy (grabiszczy@o2.pl)
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki
Rysunek okładka: Tomasz Leśniak
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Fala, Andrzej Cała, CNE, DJ Spox, Sebastian Rerak, Yarrek, Sebastian Imbierowicz, Kada, Red, Paweł Gadaczek

# W numerze 09/117


**MUZYKA:**

| | |
|---|---|
| MISSY ELLIOTT | 25 |
| NUMER RAZ | 26 |
| SYSTEM OF A DOWN | 28 |
| TOTAL HAŁAS | 35 |
| WILL SMITH | 41 |
| NAS | 44 |
| WSZ & CNE | 50 |
| JURAS&WIGOR | 52 |
| STRETCH ARM STRONG | 54 |
| SOULFLY: Max Cavalera | 55 |
| recenzje płyt | 63 |
| na deser... DODA & MANDARYNA | 76 |

**SPORT:**

| | |
|---|---|
| ADIDAS SLOPESTYLE | 12 |
| trik miesiąca & TOY STORY | 16 |
| RED BULL X-FUGHTERS motocross | 22 |
| CORTOZ LANDO tour | 30 |
| recenzje skate videos | 34 |
| MENTOR Skate Session | 38 |
| ADRENALINA! | 42 |
| 5BORO tour | 48 |
| na deser... SMOOTH MOVES | 77 |

**KULTURA:**

| | |
|---|---|
| konkurs bJEŻcie nagrody | 08 |
| cover story: JEŻ JERZY | 14 |
| bazaar | 18 |
| komiks: FANTASTIC FOUR | 32 |
| komiks: FREDERIK PEETERS | 46 |
| JEŻ JERZY | 56 |
| game overload | 60 |
| recenzje komiksów | 61 |
| recenzje filmów | 62 |
| GRAFFITI | 68 |



Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48 (prefix) 22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl



Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu.
Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

# adidas slopestyle

## saalbach hinterglemm

Na kilka dni male, zazwyczaj ciche i spokojne austriackie miasto Saalbach Hinterglemm zmienilo się w raj dla freeriderów. Druga edycja Adidas Slopestyle Contest zgromadzila kilkudziesięciu najlepszych zawodników MTB na świecie i tlumy publiczności. I trzeba powiedzieć, że bylo na co popatrzeć. Zawody staly na wysokim poziomie, a kozackie triki sypaly się seriami

tekst Biker
foto materiały organizatorów

Piątek 17 czerwca byl dniem eliminacji. Wysoki poziom zawodów nie mógł zaskakiwać – w końcu mierzyla się w tym konteście światowa czołówka mountainbike'owa. Najlepsza piętnastka trafila do sobotniego finału, na który spragnieni mocnych wrażeń kibice ostrzyli sobie zęby. Musieli jednak poczekać dłużej. Słońce wzięło sobie wolne, pogoda nie sprzyjała rywalizacji na trudnym torze (zaprojektowanym przez kanadyjskiego zawodnika Garetha Dyera), więc organizatorzy Slopstyle'a postanowili zaryzykować i przełożyć finał na ostatni dzień weekendu. Oplacilo się. W niedzielę pogoda szczęśliwie powrócila do normy, dodając zawodnikom energii do zmagań.

Po pierwszym przejeździe finalowym stalo się jasne, że czolowe miejsca podzielą między siebie Kanadyjczyk Darren Berrecloth i Amerykanin Aaron Chase. Sypały się przekozackie triki, a najbliżej zwycięstwa był Chase, który zgarnął masę punktów za czyściutko wykonane cztery backflipy pod rząd. Niemal do samego końca zajmował pierwsze miejsce. Niemal, bo ostatni startował Berrecloth, najwyraźniej wkurzony, że jego rywalom idzie tak dobrze.

Finalowy przejazd Kanadyjczyka to czysta poezja. Połączył w nim elementy dirtu i streetu. Trzeba przyznać, że Berrecloth wychodziło doslownie wszystko: od 360-tek i wallride'ów po akrobatyczne triki w rodzaju Superman Seat Grab. Gdy zakończył przejazd kolejną superstylową 360-ką, zgromadzeni tlumnie kibice podnieśli wrzawę, bo właściwie bylo wiadomo, kto wygral. Werdykt jury już nikogo nie zaskoczył: oczywiście Darren Berrecloth, który oprócz niewątpliwej satysfakcji zgarnął czek na 4000 euro.

Warto też dodać, że w piątek, oprócz eliminacji do głównego konkursu, odbył się konkurs trików GoassKing Dirt Jump. Zwyciężył Amerykanin Cameron McCaul (w niedzielnych zawodach był piąty). Nagrodą w Dirt Jumpie był czek na 2500 euro oraz... żywa koza.

**Wyniki Adidas Slopestyle 2005:**

1. Darren Berrecloth (Kanada)
2. Aaron Chase (USA)
3. Cameron Zink (USA)
4. Timo Pritzel (Niemcy)
5. Cameron McCaul (USA)

BRAUN
BRAUN

Slopestyle
SAALBACH
HINTERGLEMM
adidas

BRAUN

SIN CITY
HELLBOY
BATMAN
DRAGON BALL
PRODUCT
Rork
WILQ
KSAD
moherowe sny
LEON LA CAME

# Jeż Jerzy
## historia prawdziwa

**Młody, zbuntowany, niezależny. O ilu bohaterach masowej wyobraźni pisano w ten sposób? A ilu z nich zawiodło nadzieje swoich fanów? O Jeżym można mówić wiele, dobrze czy źle, ale jednemu nie sposób zaprzeczyć: on rzeczywiście jest niezależny od nikogo. Ma swój styl, nie goni za trendami, nie stara się być „cool" czy „jazzy". Od początku jest sobą i pewnie dzięki temu robi – chyba nieco wbrew własnym intencjom – zawrotną karierę**

Życie bohatera komiksów nie jest tak łatwe, jak mogłoby się wydawać. Jerzy na taką rolę został skazany przez los – karierę w komiksie przepowiedziała mu wróżka, kradnąc przy okazji deskorolkę. Jak powszechnie wiadomo, Jeż jest wielkim miłośnikiem tego sportu i jednym z najlepszych – a w każdym razie najbardziej upartych i w swoim uporze konsekwentnych – skaterów w Polsce. Co prawda przywłaszczenie cudzej rzeczy ruchomej (art. 278, paragraf 1 KK, w tym przypadku: decka) może dyskwalifikować również umiejętności protetyczne wróżki, jednak wyjątkowo jej przepowiednia okazała się trafna. Co więcej, pewnie nawet sama wróżka nie zdawała sobie sprawy, jaką skalę osiągnie popularność Jeża komiksowym świecie. Występy w komiksach publikowanych w „Świerszczyku" i w „Ślizgu" uczyniły z Jeża gwiazdę, choć on sam pewnie nigdy by tak się nie określił.

Od razu trzeba położyć kres spekulacjom i nadużyciom: Jerzy nie jest schizofrenikiem, co sugerowali niektórzy specjaliści w poświęconym mu „Dokumencie". Występował w komiksach dla dzieci i dla dorosłych, cały czas będąc tym samym Jeżem. W końcu nikt nie czepia się Fronczewskiego, że raz gra Pana Kleksa, a raz konsularnego oszusta, nie? A przy okazji miał okazję pokazać się w paru produkcjach z niezłymi efektami specjalnymi, na które na przykład polskich filmów fantasy do tej pory nie stać.

Jednak nie od początku było pięknie. Zaczęło się skromnie: pierwsze występy to dość niemrawa walka ze smokiem, inspirowana bardzo złą powieścią „Smok i Jerzy" Gordona R. Dicksona. Jak w przypadku większości komiksowych postaci początki były trudne: występy w niskobudżetowych jednoplanszówkach, niby stały angaż, ale sława nie przyszła od razu. Jerzy musiał dorabiać sprzedając trefne towary na Stadionie Dziesięciolecia, wdając się wówczas w pierwsze konflikty z rosyjską mafią i organami ścigania.

Popularność miała jednak nadejść i to dość szybko. Jerzy dostawał coraz ciekawsze propozycje komiksowych występów, w lepiej realizowanych epizodach, z coraz bardziej dopracowanymi efektami. Pokazały się pierwsze wydania albumowe. Jednak im więcej sławy, tym więcej kłopotów. Uwzięła się na Jeża policja: katalizatorem tej trwającej już od wielu lat (choć oficjalnie niewypowiedzianej) wojny był wypadek, w którym rzekomo Jeż miał pobić kierowcę autobusu. Jerzy trafił do aresztu i na rozprawę, został jednak przez sąd uniewinniony. Ale od tamtej pory jest pod czujną obserwacją organów ścigania, które nie przepuszczą żadnej okazji, by dobrać się mu do kołców. Wroga numer 1 uczyniły sobie z Jerzego organizacje patriotyczno – narodowe. Nieustanne zatargi ze Stefanem i Zenkiem (swoją drogą osobnikami tak głupimi, że trochę to potrwało, zanim nauczyli się, który z nich jest Stefanem, a który Zenkiem) sprawiły, że nasz bohater został uznany za element wybitnie antypolski. Zresztą, choć Jerzy polityki unika jak ognia, nieraz został wmanewrowany w brudny świat układów i układzików, przy którym regularne starcia z bojówkami prawicowymi to pestka. Na szczęście, Jeż potrafi sobie radzić z takimi problemami, czasem za pomocą własnego sprytu, czasem – deskorolki, czasem po prostu [illegible] nie zawsze, co prawda, mu się to udaje, warszawskie szpitale przyjmowały Jeża równie często ze złamaniem nosa, co z zatruciem alkoholowym...

Paparazzi polują na Jeża nieustannie. Za takie fotki brukowce płacą fortunę

Jeż Jerzy. Skromny chłopak z wielkiego miasta czy nowobogacki pozer?

No właśnie, alkohol. Trudno nie zauważyć, że Jerzy ma z tym problem. Jeż miał kontakt z napojami wysokoprocentowymi od dzieciństwa. Nic dziwnego, skoro był wychowywany przez dwóch ojców... Jerzy pije sporo, wcale tego nie ukrywając, dzięki czemu przynajmniej jest o wiele bardziej szczery niż większość rodzimych gwiazd filmu czy estrady. Zdarzały się jednak gorsze chwile, gdy Jerzy staczał się coraz niżej i sięgał nawet po denaturat... Te trudne chwile ma za sobą, teraz woli przyjemnie spędzać czas relaksując się przy paru browarkach i blanciku. Ale zdarzało się, że wszczynał po pijaku burdy i awantury albo lądował nie wiadomo gdzie (no, w sumie wiadomo: najczęściej w łóżku) z przygodnie poznanymi kobietami. Reporterzy z brukowców mieli używanie, zgorszone matki zabierały dzieciom komiksy o Jeżu, a obrońcy moralności grzmieli z ekranów telewizorów i łamów prasy. Na szczęście (lub – w zależności od punktu widzenia – niestety) bez efektu.

A skoro wspomnieliśmy już o kobietach... Odgrywają one w życiu Jerzego znaczącą rolę. Co prawda, nie angażuje się on w stałe związki, ale szerokim echem odbił się jego romans z młodą mężatką Yolą, nagłośniony przez tragiczne, choć przypadkowe wydarzenie: polujący na Jeża rosyjski najemnik Pietia Pawlow wtargnął do mieszkania, w którym przebywała para kochanków. Na szczęście, w ostatniej chwili zabójca został postrzelony przez zazdrosnego męża Yoli, Krzysia. Tak naprawdę Jerzy i Yola poznali się jeszcze przed ślubem dziewczyny i wiele wskazuje na to, że ich namiętny romans trwa, choć o dowody trudno. Dziwnym trafem Jeż przyciąga do siebie mnóstwo kobiet. Nie jest przecież facetem w typie Brada Pitta czy innego Żebrowskiego, ale szczęście do dziewczyn ma z pewnością i niejedną już, hmm..., ukuł. To oczywiście budzi zazdrość zdradzanych mężczyzn. A ekscesy bywają przykre (badania wskazują, że pobicia przez „rogaczy" to trzecia w kolejności – po bójkach ze Stefanem i Zenkiem oraz deskorolkowych slamach – przyczyna złamań jeżowego nosa).

Niewątpliwie kariera bohatera komiksów musi mieć jakiś negatywny wpływ na psychikę – może nie niszczy tak szybko, jak sława zdegenerowanych gwiazd kina, ale zawsze (spójrzcie, co się stało z Tytusem – nawet żona go rzuciła). Na początku swojej kariery Jerzy chyba nie do końca radził sobie ze sławą, łowcami autografów i licznymi napalonymi fankami (choć z nimi, zdaje się, dawał sobie radę najlepiej), często używając pięści (względnie deskorolki) do rozwiązywania swoich kłopotów. Teraz wyszedł na prostą. Owszem, zdarzają się ciężkie chwile, gdy o żywot Jurka upomną się choćby El Dresso i Zombie albo Przemysław R. lub gdy Światły Znawca i Krytyk Komiksu napisze, że „Jeż Jerzy mógłby być (...) idealnym komiksem dla Bravo – bohater ma w sobie wszystkie klisze, którymi biali starcy myślą o młodzieżowej kulturze". Jednak Jerzy nic sobie z tego nie robi. Puszcza w niepamięć chwilowe przykrości (z reguły bóle głowy, będące wynikiem kaca lub pobicia) i w dalszym ciągu jest sobą. Od czasu do czasu wdaje się w drobne awantury, czasami ratuje świat przed zagładą (poczytajcie sobie album „Egzorcysta"), nad wszystko przedkładając zimne piwko i gorące dziewczyny. Młody, zbuntowany, niezależny? No pewnie, choć sam Jeż i tak o to nie dba.

# toy story
## czyli o wyborach słów kilka...

Na początku muszę przyznać, że przez całe moje nudne życie ani razu nie poszedłem, aby oddać głos w wyborach czy to parlamentarnych, czy prezydenckich. Zawsze stroniłem od tego typu spraw, głośno demonstrując moją niechęć wobec takich czynności. Jednak w miarę obserwacji tego, co dzieje się w naszym pięknym kraju i jak ta sytuacja przekłada się na polski skateboarding, coraz częściej zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zweryfikować swoich poglądów.

Co mnie do tego skłoniło? Na pewno nie to, że dana frakcja spełniła swoje obietnice i rzeczywiście po wygranych wyborach zaczęła wcielać je w życie. Co to, to nie. Jeszcze chyba się nie zdarzyło, aby deklaracje inwestycji, budowy czy w ogóle zrobienia czegoś dobrego były później spełniane. Niestety, sprawdzają się głównie negatywne obietnice, czyli jeśli dowiedzieliśmy się, że przed wyborami dany kandydat brał łapówki, wiadomo, że gdy będzie posłem, zmieni się tylko ich wysokość. Jeżeli inny pan pretendent głośno mówi o wierze w Boga, wiadomo, że po objęciu władzy będzie gnębił inne wyznania. Taka sytuacja niestety ma miejsce nie tylko w Polsce, ale także na całym świecie.

Zastanówcie się moi (szczególnie pełnoletni) drodzy ziomowie, czy nie warto spróbować nie dopuścić do władzy szaleńców. Celowo nie napisałem „wybrać kogoś mądrego" (bo takiego polityka raczej się nie uświadczy, według mnie są oni bardziej lub mniej cwani), tylko kogoś mniej złego. Okazja do tego jest bardzo dobra, bo zbliżają się powoli wybory prezydenckie. Namawiam Was bardzo do przynajmniej pobieżnego zapoznania się z naszymi kandydatami. Nie próbujcie (no chyba, że chcecie...) zrozumieć ich programów, ani nie słuchajcie obietnic „wielkiej Polski", bo o tym będzie mówił każdy. Każdy z nich też obieca, że na pewno za jego rządów będzie się nam żyło lepiej. O tym, że nie jest to prawdą, wiecie na przykładzie obietnic wcześniejszych prezydentów. Istotny jest sposób ich działania.

Jak już mówiłem, przez całe życie nie interesowałem się wyborami, ale w pewnym momencie zacząłem obserwować, że w czasie rządów pewnego pana w moim mieście (dodam, że jest to Warszawa, żeby nie było niejasności) nagle masowo zaczęto usuwać deskorolkowców z tradycyjnie należących do nich miejscówek. Nazwy tych spotów można by wymieniać długo, wystarczy, że wspomnę Grób czy Witosa. Pan Bliźniak jest tak bezczelny, że mówi, iż robi to, aby walczyć z przestępczością i chełpi się w telewizji ilością złapanych bandytów. Jeżeli zasiądzie on na fotelu prezydenckim, nie tylko będzie się szło siedzieć za palenie marihuany, ale także za jazdę na deskorolce.

Wiem, że może wydawać się Wam to dziwne (też wcześniej do głowy by mi to nie przyszło), ale naprawdę sytuacja ze skateboardingiem w stolicy od czasu, gdy rządy objął tu Kaczyński, zmieniła się diametralnie. Kiedyś można było jeździć spokojnie po całym mieście, w chwili obecnej ludzie z deskorolkami są często rewidowani przez policję w poszukiwaniu „nielegalnych substancji". Jesteśmy wywalani z większości miejsc w Centrum (spokojnie rozpoznaję po twarzach wszystkich strażaków miejskich i milicjantów, którzy dzień w dzień usuwają nas spod Witosa).

Zdaję sobie sprawę, że mówienie, iż wszystko jest dziełem jednego człowieka, jest mocno przesadzone, ale nawet sami wyganiający nas stróże prawa mówią, że to wszystko jego robota. To on dobrał sobie takich ludzi, którzy też nie lubią sportów młodzieżowych i różnorodności na ulicy.

Drogie ziomy, zastanówcie się nad tym. Jestem prawie pewien, że Wasza sytuacja po wyborach się na pewno nie poprawi. Wszyscy u władzy kradną i zajmują się własnym tyłkiem. Niektórzy jednak lubią dręczyć innych od siebie i właśnie takich ludzi odrzućmy. Wybierzmy mniejsze zło.

tOiOi

# trick miesiąca
## Bartek Milczarek / kick flip fast plant
foto: Wojtek Antonów / WZRR

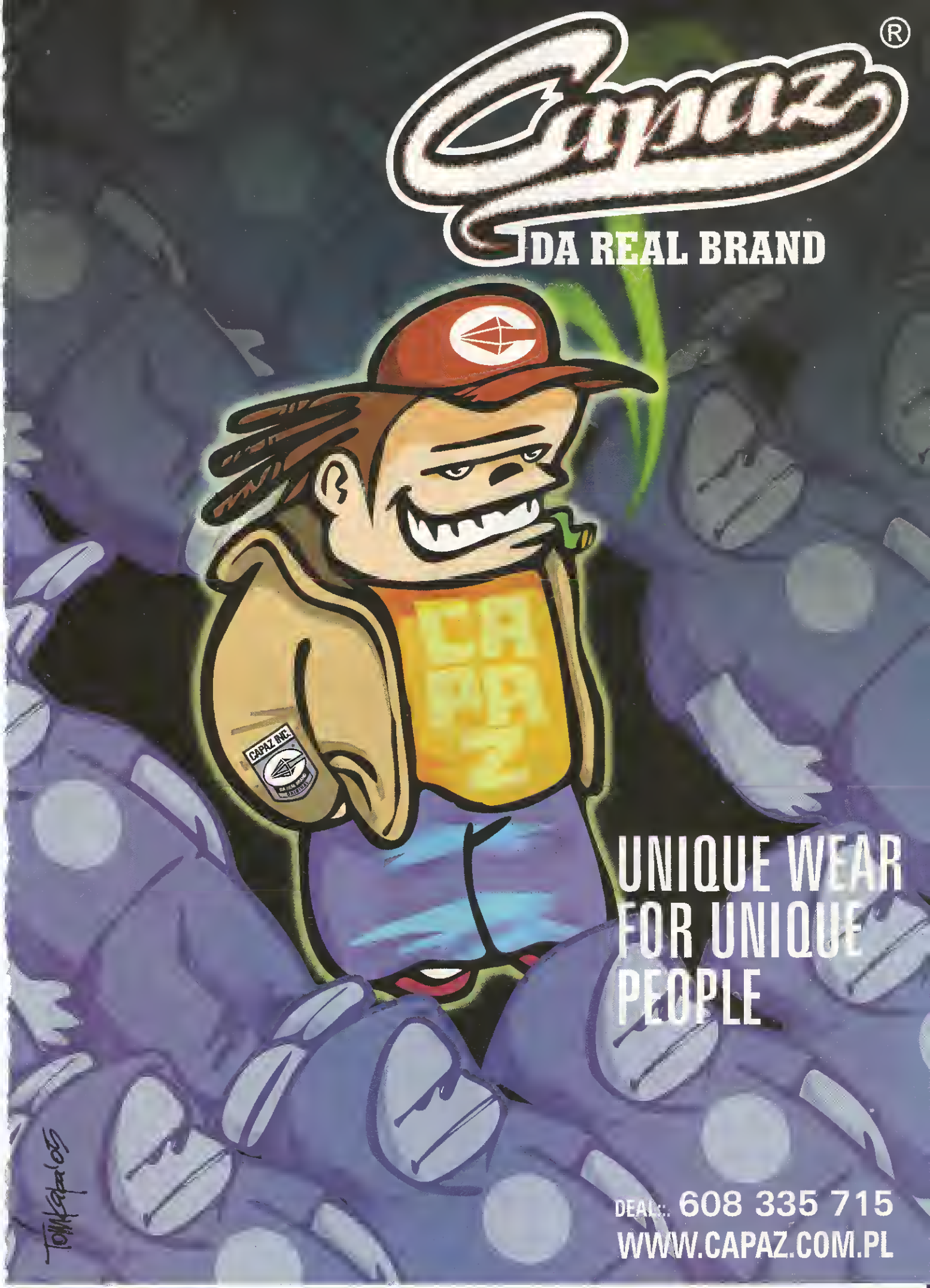
Capaz®
DA REAL BRAND
CAPAZ
CAPAZ INC.
UNIQUE WEAR
FOR UNIQUE
PEOPLE
DEAL:: 608 335 715
WWW.CAPAZ.COM.PL

# bazaar
## gadżety

### NOKIA 6021

Nowy telefon Nokia 6021 udostępnia szeroki zakres nowoczesnych technologii przydatnych w pracy oraz w życiu osobistym i zapewnia udoskonalone funkcje łączności i synchronizacji przy użyciu bezprzewodowej technologii Bluetooth. Telefon można łatwo połączyć z komputerem w celu synchronizacji kontaktów i kalendarza. Wysokiej klasy gadżet dla wszystkich, którzy lubią porządek w życiu (a więc i w swoich telefonach).

### kilka fajnych bluz...

Sierpień nie rozpieszcza nas w tym roku zbyt wysokimi temperaturami. Przynajmniej do chwili, w której zamykaliśmy ten numer „Ślizgu", tak było. Mamy nadzieję, że to się zmieni i już teraz, gdy czytacie nasz magazyn, wygrzewacie się na słoneczku. My w każdym razie myślimy już o chłodniejszych wieczorach i specjalnie na tę okazję przegląd nowych modeli bluz...

### B3

Dwie propozycje od B3 to klasyczny design i ciekawe wzory. Mamy tu model zapinany na suwak i tradycyjny wkładany przez głowę. Fajna kolorystyka + ciepły, ale przewiewny materiał = bluza na każdą okazję.

### SYNCHRO

Jak zwykle w przypadku Synchro: grafficiarski wzór jasno wskazuje, kto przede wszystkim powinien taką bluzę nosić. Jednak bez obaw: może ją założyć każdy, bowiem owo wdzianko nie jest przeznaczone jedynie na nocne wypady na jardy.

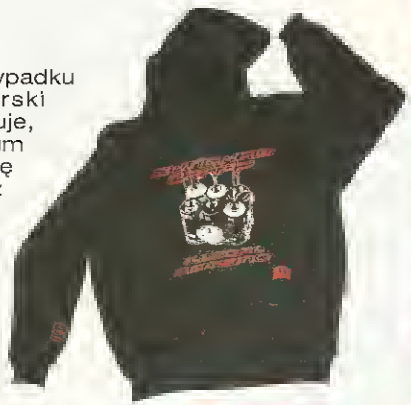

### gadżety STOPROCENT

OK, może już słoneczko tak nie przygrzewa, ale głowę trzeba chronić zawsze, bo to jeden z najważniejszych kawałków Waszego ciała. Stuprocentowa czapka pomoże Wam w tym niezależnie od pogody. A gustowny portfel pozwoli Wam schować to, co zwykle w portfelu się nosi. Czyli głównie kasę...

### kurtka baseballowa MASS

Nowa kurtka baseballowa MASS to prawdziwy cukiereczek w aktualnej kolekcji. Macie w niej zapewniony dobry lans i powodzenie u płci przeciwnej na długie jesienno-zimowe miesiące. Ciuszek wełniany, rękawy ze znakomitej imitacji skóry, do tego świetne wzory zarówno na froncie jak i ramionach. Klasyczny college'owy design kurtki opatrzony przez MASS w efektowne aplikacje i dodatki, a do wyboru pięć wersji kolorystycznych. Aż chce się nosić!

### MC

„I was born a MC", głosi dumnie napis na ubraniach od tej właśnie firmy. Ja, co prawda, nie urodziłem się jako MC, ale powiem Wam szczerze, że ubrania i gadżety od tego producenta to naprawdę stylowe rzeczy. Dobre projekty i wygoda – to podstawa. A odzież i różne przydatne drobiazgi od MC takie warunki akurat spełniają. I o to w końcu chodzi, czyż nie?

### A tu mała niespodzianka dla relaksu:

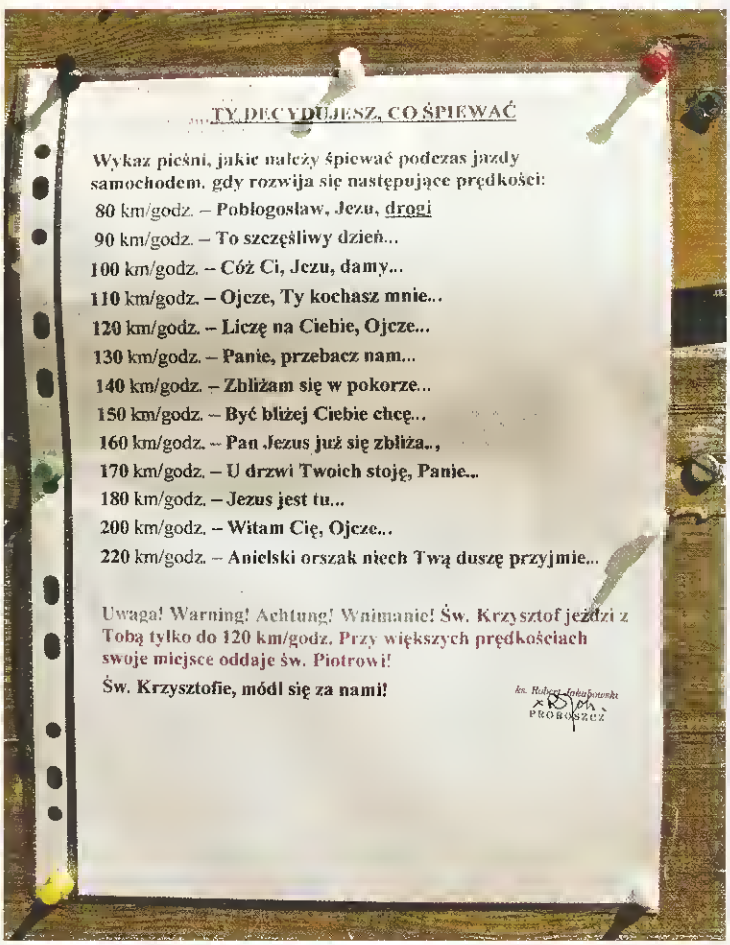

...TY DECYDUJESZ, CO ŚPIEWAĆ

Wykaz pieśni, jakie należy śpiewać podczas jazdy samochodem, gdy rozwija się następujące prędkości:

80 km/godz. – Pobłogosław, Jezu, drogi
90 km/godz. – To szczęśliwy dzień...
100 km/godz. – Cóż Ci, Jezu, damy...
110 km/godz. – Ojcze, Ty kochasz mnie...
120 km/godz. – Liczę na Ciebie, Ojcze...
130 km/godz. – Panie, przebacz nam...
140 km/godz. – Zbliżam się w pokorze...
150 km/godz. – Być bliżej Ciebie chcę...
160 km/godz. – Pan Jezus już się zbliża...
170 km/godz. – U drzwi Twoich stoję, Panie...
180 km/godz. – Jezus jest tu...
200 km/godz. – Witam Cię, Ojcze...
220 km/godz. – Anielski orszak niech Twą duszę przyjmie...

Uwaga! Warning! Achtung! Wnimanie! Św. Krzysztof jeździ z Tobą tylko do 120 km/godz. Przy większych prędkościach swoje miejsce oddaje św. Piotrowi!

Św. Krzysztofie, módl się za nami!

ks. Robert Jakubowski
PROBOSZCZ

# bazaar
## poczytaj sobie

### ZAGINIONY, ZAGINIONA
**Peter Straub**
PROSZYŃSKI I S-KA

Pisarz Tim Underhill powraca do rodzinnego miasta Millhaven, by pomóc swojemu bratu w wyjaśnieniu okoliczności zaginięcia jego syna, Marka. Chłopak zniknął kilka dni po samobójczej śmierci swojej matki. Policja sądzi, że padł ofiarą grasującego w mieście seryjnego mordercy, jednak Underhill podejrzewa, że o wiele większe znaczenie miała obsesyjna fascynacja Marka opuszczonym domem, w którym niegdyś mieszkał osławiony zbrodniarz Joseph Kalendar. Fabularnie Straub nie wymyślił nic nowego, ale sposób, w jaki gra niby utartymi schematami, to prawdziwe mistrzostwo. W kreowaniu sytuacji, w których czytelnikowi włos jeży się na głowie, autor ma niewielu równych sobie. No i prawdziwą przyjemnością jest obserwowanie, w jaki sposób Straub kreuje swoje mroczne uniwersum, łącząc poszczególne powieści drobnymi wydarzeniami i postaciami. A żeby dopełnić całości, to wykorzystuje do tego inne media. Po lekturze książki zapraszam Was choćby na stronę www.lostboylostgirl.com. Drobiazg, ale pomyślany świetnie. (jd)

### OCZY SMOKA
**Stephen King**
PROSZYŃSKI I S-KA

O tym, że King potrafi straszyć i jest prawdziwym królem opowieści grozy, powszechnie wiadomo. „Oczy smoka" dowodzą, że sprawdza się również jako autor baśni. Oczywiście, baśni dla nieco starszych czytelników, ale zawsze. Bohaterem książki jest młody Piotr, prawowity następca tronu Delainu, który jednak – zanim zdążył objąć tron – został oskarżony o zbrodnię ojcobójstwa. Jego poprzednik, król Roland, zmarł otruty, a dowody wskazywały na winę Piotra. Książę padł jednak ofiarą intrygi okrutnego czarnoksiężnika Flagga, który planował przejęcie władzy w Delainie, posługując się niczym marionetką młodszym synem Rolanda. Skazany na dożywotnie więzienie Piotr planuje ucieczkę i zemstę, w której pomoże mu garstka wiernych przyjaciół. Baśń? Fantasy? W przypadku „Oczu smoka" bardzo cienka linia rozgranicza oba gatunki. Przeważa jednak baśniowy rodowód historii: wyraźne, niemal czarno-białe przeciwstawienie Dobrego Króla Złemu Czarownikowi, gawędziarski styl narracji Kinga, archetypiczni bohaterowie. Autor świadomie powiela baśniowe klisze i stereotypy, ale bawi się tymi schematami z prawdziwym wdziękiem. I oczywiście doktada kilka tropów pozwalających na nowo spojrzeć na niektóre aspekty innych jego książek. Flagg pojawia się również w „Bastionie" i monumentalnej sadze „Mroczna wieża" (której akcja rozgrywa się częściowo w tym samym świecie, co wydarzenia opisane w „Oczach smoka"). Być może dla zagorzałych fanów fantasy to wszystko za mało. Wielbicielom dobrej literatury popularnej powinno wystarczyć. (jd)

### GLĘDŹBY ROPUCHA
**Wit Szostak**
RUNA

Wit Szostak konsekwentnie kreuje swój świat, tym razem opuszając Smoczogóry i eksplorując najdalsze zakątki Międzygórza. Bohaterami swoich opowiadań czyni zaś zwykłych ludzi: pielgrzymów, kupców, bardów, którzy – nawet jeśli mają do wykonania jakąś wiekopomną misję – nie są typowymi herosami zaludniającymi karty powieści fantasy. To najczęściej ludzie samotni, zagubieni, wyobcowani, stający oko w oko z niezwykłymi wydarzeniami. Ich czyny nie są zapisane w opasłych księgach i kronikach. Wieść o nich niosą ludowe opowieści, właśnie tytułowe gledźby, w których nie sposób odróżnić prawdę od legendy, fakty od zmyśleń. Szostak ma do pisania właśnie takich historii idealny styl: gawędziarski, potoczysty, ubarwiony licznymi neologizmami niczym żywcem wyjętymi z poezji Leśmiana. A przy okazji ma do powiedzenia sporo prawd o życiu i o ludziach. Piękna, wartościowa literatura, napisana przez człowieka, który zasłużył na czołowe miejsce wśród polskich fantastów. (jd)

### TARCZA SZERNI tom 2
**Feliks W. Kres**
MAG

Tym razem króciutko, bo niedawno recenzowaliśmy pierszy tom „Tarczy Szerni", będącej kolejną częścią cyklu „Księga całości". Właściwie można więc powtórzyć te same pochwały: Kres to świetny pisarz, utrzymuje czytelnika w napięciu, tworząc barwny świat zaludniony ciekawymi postaciami. Nie jest to z pewnością „łatwa" fantasy, którą czyta się szybko i jeszcze szybciej zapomina. Ale tym bardziej satysfakcjonująca to lektura. Tak więc, Panie i Panowie, nowy Kres już się ukazał. Czytajcie, przeżywajcie i – tak jak ja – czekajcie niecierpliwie na kolejne książki tego nietuzinkowego autora.

## FLINTESENCJA
dziękuję

*Popełniałem tragiczny błąd zakładając automatycznie, że jeżeli ktoś ma serce na dłoni i życzliwość wpisaną w osobowość, to jest prosty jak konstrukcja cepa, względnie nie wie nic o życiu, nie odczuwa jego komplikacji i ironii i biedak prosi się tylko o cios w nierozsądnie wyprostowane plecy. Że manifestowanie radości życia na każdym kroku, wulkan energii pchający do działania to prowokacja, płytkość i proszenie się o solidną dawkę pomyj serwowaną prosto na twarz. W polskim hip-hopie niestety taki scenariusz wciąż się sprawdza. I, nie ma co ukrywać, mniej lub bardziej świadomie przyczyniam się do jego realizowania. Tak napatrzyłem się na chamów robiących wszystko, żeby zedrzeć innym uśmiech i odebrać chęć do aktywności, że aż zacząłem wierzyć, że może to ich (nie chodzi, oczywiście, o chamów) wzmocni, pozwoli się wyzbyć złudzeń, w efekcie wyjdzie na dobre. Prawda jest inna, takich ludzi powinno się chronić i to ze szczególną pieczołowitością.*

*Kiedy byliśmy popatrzeć sobie na Write4Gold, a przy okazji jam Brain Damage, spotkaliśmy DJ'a Spike'a. Ci, którzy nie wiedzą, kim jest Spike, dowiedzą się ze stosownego mini-reportażu w Total Hałasie. Dla potrzeb owego felietonu ważniejsze jest to, że Spike wciąż jest tym samym człowiekiem, którym był. Raperzy zdążyli już wytworzyć chwilową modę na afiszowanie się czterema elementami, a następnie o nich zupełnie zapomnieć, tymczasem to ktoś, kto po prostu w to wierzy i jest z tym związany praktyką, nie teorią. I ktoś, kogo realia nie przytłoczyły na tyle, by przestał być mentalnie wolny i zarażać energią. Choć, jak sam przyznaje, przyszło mu zapłacić za to cenę. Kfiat, druga połówka Siły Dźwięku opowiada, że rozmawiał z wydawcami i od jednego usłyszał, że nieważne jaką będzie płytą, byleby miała 4 hity. Panowie postanowili wydać ją sami. Efekt? „Już wiem, że jestem w piecu dziesięć tysięcy. Chcieliśmy to zrobić. Siła Dźwięq miała wyjść, Siła Dźwięq ma działać. Tak łatwo się nas nie powstrzyma. Jak nie będę mógł spłacić, pójdę do pracy". Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa, to naturalne realia biznesu. Ale najbardziej zaimponowało mi to, że Kfiat nie był agresywny, nie syczał przez zęby, nie płakał, nie kajał się, nie szukał na siłę winnych. To duża sprawa zachować w takiej sytuacji godność, a jeśli jeszcze zachowasz zajawkę i optymizm, cóż, kapelusze z głów.*

*Numer Raz przytaczał w rozmowie opowieść, jak to wręczył płytę chłopaków jednemu z szanowanych, wręcz czasem uwielbianych raperów, kiedy ten wytaczał się pijany z imprezy. „Masz, posłuchaj dobrego hip-hopu", miał powiedzieć. „Ale ja nie słucham takich rzeczy", usłyszał z trudem wybełkotaną odpowiedź. „Właśnie dlatego posłuchaj". Numer jest kolejnym, któremu udało się pozostać zawsze spoko, pozostać sobą, nawet kiedy cena bronienia swojej artystycznej tożsamości musiała być bolesna. Zwolnił się ze swojej roboty, widząc w naszym hip-hopie szansę, kiedy inni przestawali już ją widzieć. Własnymi rękami przygotowuje z przyjaciółmi studio, otwiera wydawnictwo, stucha dem, z ich częścią wiąże nawet pewne nadzieje. Spotykając się z rodzimymi „oldschoolowcami" zawsze miałem wrażenie, że krew płynie im wolniej, że są ponad to, że z pewnym lekceważeniem patrzą na emocjonalny prymitywizm reszty sceny, że patrzą z naturalnie im przychodzącym poczuciem wyższości. Z Numerem jest dokładnie tak. Nic nie zabija w nim pogody ducha i pewności, że to wcześniej czy później musi pójść dobrą drogą. To krzepi.*

*Wreszcie na koniec przypadek dziennikarza, nie rapera (choć...) – Jakuzy. Oczywiście nie zapomnę mu nigdy chronicznego zagadywania mnie w momencie, w którym właśnie znalazłem dobrą pozycję do obczajania koncertu któregoś z lubianych przeze mnie artystów. Ale nie zapomnę mu też tego, że kiedy ja myślałem o tym, ilu na WBW będzie złych raperów w preeliminacjach, ile po wszystkim spadnie na nas żali i zarzutów, ile trzeba jechać w słońcu do oddalonych miast i że mógłbym być w tym czasie z dziewczyną i synem, to on wyskakiwał z typowym „bananem" na ustach i obwieszczał, że „wreszcie, bo już nie mógł się doczekać". Kiedy ja zastanawiałem się, gdzie kupić alkohol, on wyciągał jakąś torebkę wesoło oznajmiając: „patrz, przygotowałem 150 tematów". A potem przez ileś godzin nie poczęstował mnie ani jedną negatywną emocją.*

*Oczywiście jestem w stanie przewidzieć reakcję czytelników na te zdania „Co ten Flint pierdoli i jak to, że nikogo nie pojechał, że nie można wyciąć zdania z jakąś ksywką i wrzucić gdzieś na sieć". Wiem, że pojawią się zdania, że Kfiat to żaden gorący mc, Numer tak samo, a w dodatku wpakował się w jakiś durny beef z Mezo, a Jakuza to Rap Propaganda, hip-hop.pl i nic dla rapu nie zrobił. Odpowiem prosto: są mc's, o których nigdy nie mówi się przy okazji rankingów, których punchlines się nie cytuje, bo ich rap nie opiera się na punchlines, którzy robią swoje na stałym, dobrym poziomie, nagrywając płyty z których nie wydłubujesz hitów, a puszczasz je sobie w całości. Raz, drugi, piąty. Nota bene, Numer w dissy mógł się nie pakować, ale był jednym z bardzo, bardzo nielicznych, którzy wydawali się myśleć o przeciwniku inaczej niż „oby twoja matka dostała taką, twoją płytą zbootlegowano i żeby własny pies naszczał ci do ucha". Są dziennikarze, którzy stoją przy wentylu spuszczając przez niego negatywne emocje, przez które wszyscy byśmy się tu wcześniej czy później powyrzynali w imię swoich racji i „karier".*

*Mam dla nich jedno krótkie słowo – dziękuję. W ten sposób jeszcze jestem jakoś w stanie przetrawić, że dyskutuje się felietony, które piszę w 40 minut, recenzje, które piszę w 15, za to bez echa przechodzą artykuły czy raporty, które kosztują mnie 2 tygodnie. Dzięki temu nie podaje żarcia w jakimś kraju na zachód od miejsca gdzie hardcorowcy promują płytę balladami, a swoim fanom muszą tłumaczyć własne teksty w Internecie.*

**FLINTSTONE**

## Profil CD
epizod #06
WHITE HOUSE L. A. i Magiera

W tym miesiącu Profil CD poświęcamy wrocławskim producentom spod szyldu **White House** – L. A. i Magierze. Macie niepowtarzalną okazję usłyszeć nie tylko, co o swojej współpracy, dokonaniach i planach mówią obaj panowie, ale także jak entuzjastycznie się ze sobą kłócą:) Jednak to tylko jeden z powodów, dla których warto obejrzeć nasz kolejny film.

Filmem sportowym na naszej płycie jest tym razem relacja z **And 1 G-Shock Basket Music Tour 2005** – czyli solidna dawka ulicznej koszykówki. W poprzednim numerze Slizgu mieliście okazję obejrzeć kilka zdjęć z tej imprezy, teraz macie audio i video.

W części muzycznej klip i to nie byle jaki. O. S. T. R. i Emade połączyli siły nagrywając jako **P. O. E** kozacką płytę, teraz możecie zobaczyć teledsk do promującego album singla „Wiele dróg".

„Jeśli to dotkniesz" zespołu **Trzyblox** jest utworem prostym w treści, ale pokazuje to, co w grupie najlepsze: koloryt śląskiego nawijania, dynamikę, kozacki beat z grubym basem. Owszem, jest sporo do poprawienia, zarówno w kwestii techniki jak i warsztatu, ale ten kawałek o panienkach bezczelnie zarymowany przez BennDicksa i Soleia ma podstawowy plus rekompensujący to. Wpada w ucho jak cholera, buja Jbem i wyzwala chęć puszczenia go jeszcze raz. Sprawdźcie.

**Jimson** reprezentuje słupskie Mefii Fam i Wiesz O Co Chodzi. Łatwo go poznać: niski głos, pokombinowane pod względem tempa flow, bardzo indywidualne, konceptualne nieraz kawałki. Na płycie prezentujemy dwa jego oblicza."Oddychaj" w (drugim już) remiksie producenta Melro odbiega nieco od tego, z czym można go kojarzyć, czyli upalonymi beatami w stylu Jaya Dee i Madliba, jest o wiele bardziej przystępne. „Ostatni raz" to emocjonalny storytelling na porywającym, stroniącym od nudy, banału, słodyczy i płaskiego brzmienia podkładzie Me? How?a. Z takimi utworami śmiało moglibyśmy pokazać się za granicą.

**„Akustyka ust Asteka"** jest epką najbardziej aktywnego członka łódzkiej familii Ustinstrumentalix. **Astek** sam robi muzykę i pisze teksty, ma oryginalne, przekorne nieco flow, specyficzny głos, szeroką gamę tematów do poruszenia i własne „korzenne" brzmienie produkcji. Nie przypasuje każdemu, ale warto poszerzyć sobie horyzonty i wyrobić własne zdanie. Poniżej tracklista:

1. Znamy się mało...
2. Sweter, lustrzanka
3. Przerwa na reklamę
4. Taką siłę ma tajemną...
5. Wujek Dobra Rada 1
6. I'm late, człowieku
7. Wujek Dobra Rada 2
8. U kaduka!
9. I'm bored, człowieku

simplus

## FALA
gry wojenne

*Wciąż nie mogę uwierzyć, że tam byłam. Istny survival, mikrowakacje. Trzy dni pełne wrażeń; stanów euforii i upodlenia, mobilizacji, żeby przeżyć, nagłego oświecenia, jak się zakręcić. Nie wypada mówić, że czułam się jak na wojnie, bo my, matolaty, mamy życie jak kaszka z mleczkiem, ale może trochę. Wszak były małe bitwy i małe zwycięstwa...*

*Najpierw trzeba na miejsce bitwy dojechać. Jak stawny pies, jadę koleją. W metalowej puszce, ludzie poukładani jak przysłowiowe sardynki. Ja jeszcze się mieszczę. Gracze na kolejnych stacjach rozwiązują problem skacząc przez okna. Rozrywają sobie przy tym ciuchy i nieraz skórę, ale determinacja jest silniejsza. Pociąg wreszcie staje.*

*Strefa „W". Z daleka widać kłębiący się na linii horyzontu tłum. Żeby się tam jednak dostać, trzeba wpierw pokonać szeroki deptak, liczące za dwa kilosy istne Champs Elysees – przestrzeń pod ostrzałem. Środkiem miny w postaci leżących butelek i puszek. Przeszkody z ciał poległych. Z boków szybkostrzelne armaty o krótkim zasięgu tych, którzy przekroczyli dopuszczalny poziom stężenia wódki i teraz zwracają. Na szczęście można się schować do bazy. Po lewej, za okopami budek ze smażoną rybą, betonowa wylewka – port. A w porcie grupki partyzantów spożywających alkohole i różne papieroski. Widok piękny, z jednej strony horyzont odcięty rzędem budek, z drugiej statkami żeglugi morskiej.*

*Trzeba się jednak zebrać w sobie i ruszyć na front. Z wojowniczym okrzykiem na ustach wybiegam i miękko grzęznę wśród ciał, które także poczuły zryw do walki. Gdy wreszcie przecisnę się przez wąski przesmyk w metalowej siatce, czeka mnie kilku uzbrojonych w paralizatory i kamizelki odblaskowe „wiskaczy". Miła pani zapyta, czy może zobaczyć torebkę i bez względu na o[illegible]wiedź – zobaczy.*

*Wyrywam się z jej ramion i widzę fragment zielonej trawy. Aż chce się biec. Na skrzydłach unosi świadomość, że się udało. Och, zaraz się wszystko wydarzy. Adrenalina skacze i przyspieszam kroku ze zmrużonymi od zachodzącego słońca powiekami... Wpadam prosto na barczystego bysia. Czuć mnie szarpnięcie za nadgarstek, gdzie mam opaskę mojego oddziału.*

*– O, esu – westchnie żołnierz. – Znowu media. – Wyraźnie przeszkadza mu, że nie może na mnie napluć ani mnie sponiewierać. Przewracając oczyma przepuszcza mnie przez metalowe wrota. Inni nie mają tyle szczęścia. Czeka ich ponowne macanko i próba psychiczna – wytrzymać jak najdłużej złowieszcze spojrzenie bez spuszczania wzroku. Ale jest nagroda – wolność! Przed nami pole, impreza, czad, za chwilę emocje sięgną zenitu, za chwilę on, ona, oni wyjdą na środek i się zacznie. Tymczasem została chwilka na zaspokojenie podstawowych potrzeb.*

*Pierwsza potrzeba, o której mówi psyc[illegible]ia, to tzw. eksploracja. Frustracja na „dzień dobry" – zza najbliższych pięciu osób światła nie widać. Dopiero wiele godzin później stanę na górce i zobaczę, że jest nas tadne kilkanaście tysięcy ludu.*

*Potrzeba nr dwa: piwo. Wszyscy mówią, że „jest tam dalej", więc się przedzieram zachodząc w głowę, czy będzie to znów „ośla ławka", która każe podjąć absurdalną decyzję, czy piję, czy się bawię. I niestety jest. Za siatką (dobrze, że bez drutów kolczastych) kłębi się tłum, a wychodzący są macani dokładnie, czy aby nie wynoszą śmiercionośnej trucizny poza strefę „P". Ale to nie koniec: okazuje się, że jedno piwo równa się jeden kupon.*

*To chyba jakaś loteria – mówi stojąca nieopodal blondynka. – Za piwo dostajesz kupon i możesz sprawdzić, co wygrałeś. Całkiem miła wydaje się być ta gra, więc staję w kolejce [illegible]kija". Uśmiecham się zalotnie do barmana.*

*– Piwko poproszę.*

*– Kupon! – mruczy i wyciąga w moją stronę dłoń.*

*Wybiegam poza strefę i jakby mi łuski z oczu spadły. Widzę, że kłębiące się tłumy wiją się kilometrowymi kolejkami przed budkami podobnymi do kiosku, a na tych tablice z napisem kupony. Patrzę w prawo i widzę budki z kiełbaską z grilla, z kebabem, z napojami chłodzącymi, nawet z kawą i goframi, a na każdej ceny wyrażone w kuponach. Aż tak zdesperowana nie jestem. Piwa nie będzie! Ani jedzenia! Pomóc chce stojąca obok blondynka.*

*– Można podbić do kogoś i poprosić o kupno kuponów w zamian za to, że postawisz mu jego.*

*– O nie! W moim świecie PRL już nie wróci. Żadnych kolejek, żadnych łapówek, za to biznes... Tak! I w nocy, kiedy graczy ubywa, a kolejki ustają, ustawiam się przy okienku i zakupuję kupony. Od razu sześć. Na handel!*

*Nazajutrz okazuje się, że kolejek brak – wszyscy mają zapas. Udaje mi się je odsprzedać w drodze do toalet. Nikt nie chce kupić, myśląc, że podróby. Sprzedaję więc taniej. Cóż, pułapki kapitalizmu.*

*Strefa „T". Tel tolów po horyzont (ze sto, jak nic) i znów ciekawostka, bo przy pierwszych dziesięciu kolejki, przy kolejnych 90 nie. Psychologia tłumu zawsze mnie fascynowała.*

*Gdy wracam ktoś litościwy informuje mnie, że ja mam przecież piwo za darmo w tzw. Media Lounge. Jaka ulga! Wszystkie kłopoty znikną. Niestety niknie też szansa na prześledzenia wszystkich koncertów. Ale klu programu widzę. I to, jak w pidżamie po scenie przechadza się Snoop Dogg, i to, jak podskakuje, trzęsie się i pokrzykuje Lauryn, i jak nakręconym gościem jest Fat Boy Slim, który szokuje graczy efektami świetlnymi i pokazem sztucznych ogni na finał. Ale przede wszystkim biorę udział w niezapomnianej mrocznej wyprawie w chory świat The White Stripes, którzy są perłą festiwalu.*

*Mimo przeszkód, jakie organizatorzy rzucali pod nogi, w podchody te grało się przednio. Wszyscy przeżyli, misja zakończona. Mogło być łatwiej i prościej, ale przy pokonywaniu kolenych kłopotów, satysfakcja rosła. Przyszedł czas na nagrodę. I tak Fala całą niedzielę smażyła dupsko w Chałupach. I powiem wam, że dla takich weekendów warto żyć!*

*Fala*

# red bull X fighters

Dwunastu najlepszych zawodników freestyle motocross (FMX) i 23000 fanów tej zajawki spotkało się w Madrycie na największej hiszpańskiej arenie corridy Las Ventas na najbardziej spektakularnym wydarzeniu FMX w Europie – Red Bull X-Fighters. Salta w tył, „Pocałunki Śmierci", lądowania bez trzymania kierownicy i niezliczone „Supermany" rozgrzały madrycką publiczność do czerwoności. Miliony ludzi przed telewizorami na całym świecie z wypiekami na twarzy oglądały wyczyny motokrosowców, a teraz w SLG możecie zobaczyć i przeczytać, co działo się na Red Bull X-Fighters

tekst Bugi
foto (c) alexschelbert.de

Od czterech lat w tym właśnie miejscu, w stolicy słonecznej Hiszpanii, odbywają się z roku na rok coraz większe kontesty dla szalonych zawodników latających i robiących akrobacje na swych motorach. I z roku na rok impreza ta przyciąga coraz więcej widzów i mediów. Nic dziwnego, w ciągu ostatnich kilku lat freestyle motocross rozwinął się bardzo, zrobił się widowiskowy jak nigdy dotąd i pasjonują się nim tysiące ludzi na całym świecie. Trudno, żeby widok gościa kręcącego salto w tył na motorze czy wylatującego w powietrze na dobrych kilkanaście metrów, w locie zeskakującego z motoru i przed lądowaniem wskakującego na niego z powrotem, nie powodował entuzjastycznej reakcji publiczności oglądającej tego typu wyczyny. Jazda FMX-owców zapiera ludziom

Mathieu Reheaud

Jeremy Stenberg

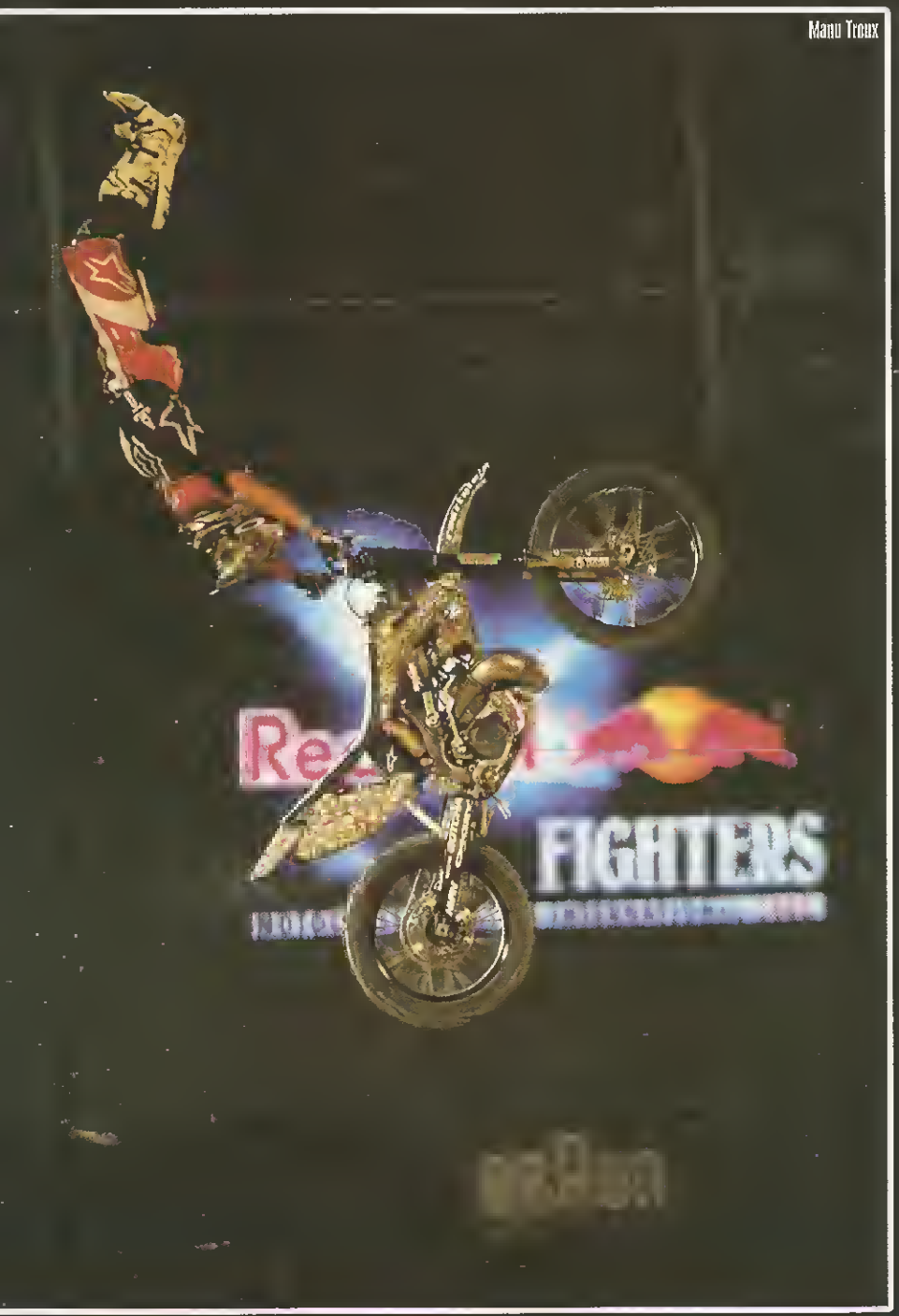


dech w piersiach, a oni przecież wciąż się rozwijają i nie powiedzieli ostatniego słowa. Cały czas szokują nowymi kombinacjami trików i ewolucji. W kwietniu tego roku fani FMX mogli także oglądać popisy swoich ulubionych zawodników na imprezie RBXF w Mexico City, która stanowiła niejako wstęp do finałów w Madrycie.

Tymczasem Red Bull X-Fighters zaczyna tworzyć tradycję na Las Ventas. Po raz pierwszy gwiazdy FMX pojawiły się tu w 2002 roku. Zasłużone zwycięstwo wywalczył wtedy miejscowy bohater Edgar Torronteras. Rok później najlepszy okazał się Amerykanin Kenny Bartram. W 2004 roku triumfował jego rodak, zawodnik, którego zabrakło niestety w tym roku – Travis Pastrana.

Impreza ta, oprócz tego, że przyciąga najlepszych zawodników na świecie, to swoją oprawą powoduje, że jest unikalna i jedyna w swoim rodzaju. Nie bez przyczyny odbywa się ona na arenie corridy – skojarzenie Red Bull, walka byków, corrida i FMX może być tylko jedno. Emocje, rozgrzana do czerwoności publiczność, ryk motorów i show, jakich mało. Całość jest do tego wystylizowana na prawdziwą galę corridy – torreadorzy z czerwonymi płachtami witają wjeżdżających na arenę motocyklistów, a ci, niczym byki, bawią się z nimi w bezkrwawą corridę, po czym zaczynają swój show.

W tym roku na Las Ventas tryumfował kolejny Amerykanin, Nate Adams. Dołączył on do elitarnego grona zwycięzców Red Bull X-Fighters. Sięgnął po zwycięstwo dzięki ekstremalnie zróżnicowanemu i trudnemu przejazdowi finałowemu. Pokonał swojego rodaka, Jeremiego „Twitch'a" Stenberga – zdobywcę drugiego miejsca – również podczas premierowej, kwietniowej odsłony Red Bull X-Fighters w Mexico City. Trzecie miejsce w finale zajął Mat Rebaud ze Szwajcarii, przebijający się w ten sposób do czołówki tego sportu.

„Nate i Twitch wywalczyli czołowe miejsca dzięki swoim back flipom wykonanym z najwyższej rampy. Do tego Nate jako jedyny wykonał trick „360" podczas trwającego 2'30" przejazdu finałowego. Sędziowie podjęli decyzję jednogłośnie i Nate naprawdę zasłużył na to zwycięstwo", podsumował Mike Jones, który triumfował w 2001 roku, podczas pierwszych rozegranych zawodów Red Bull X-Fighters.

Osiągnięcie Nate'a Adamsa zasługuje na uwagę z jeszcze jednego powodu: wsiadł na motocykl dopiero cztery tygodnie temu, po długiej przerwie spowodowanej poważną kontuzją uda. „Mój lekarz i trener stwierdzili, że dam radę i powrócę jeszcze mocniejszy. Tak się rzeczywiście stało – no i to dzisiejsze zwycięstwo... po prostu nie mogę uwierzyć. Dla mnie spełnił się sen".

**KLASYFIKACJA GENERALNA:**

1. Nate Adams / USA
2. Twitch Stenberg / USA
3. Mat Rebeaud / Szwajcaria
4. Ronnie Renner / USA
5. Dani Torres / Hiszpania
6. Robbie Maddison / Australia
7. André Villa / Norwegia
8. Kenny Bartram / USA
9. Eigo Sato / Japonia
10. Sebastian Wolter / Niemcy
11. Nick Franklin / Nowa Zelandia
12. Manu Troux / Francja

red bull X fighters

# Missy Elliott

## Coraz mniejsza gwiazda...

**Życie nie zawsze jest usłane różami. Wierzcie lub nie, ale taka jest prawda. Zanim znana chyba wszystkim fanom muzyki na całym świecie Missy Elliott stała się wielką gwiazdą i jedną z najbardziej rozpoznawalnych współczesnych ikon rapu, wielu widziało w niej tylko wesołego grubaska, mającego swoje 5 minut na scenie. Tymczasem nasza bohaterka nie tylko przetrwała i utrzymała się na szczycie wciąż umacniając pozycję, ale również - ku zdumieniu wielu kpiących z jej postury - niemal w oczach miesiąc po miesiącu nam malała. Do tego stopnia, że obecnie dochody panny Elliott z reklam są nie mniejsze niż z muzyki. Jeśli ktoś kilka lat temu tak by wyrokował, niechybnie przypisano by mu łatkę szaleńca...**

tekst Andrzej Cała

Melissa Elliott (chyba nikt z Was nie myślał, że Missy to jej prawdziwe imię?!) urodziła się w miejscowości Portsmouth (Virginia) 34 lata temu. Początki swej kariery związała z żeńską grupą r&b Sista, która nagrała bardzo przyzwoite demo i zyskała uznanie w oczach wielu odbiorców i dziennikarzy, ale tak naprawdę zakończyła swą działalność fiaskiem. Co prawda, dziewczyny podpisały nawet kontrakt z labelem Swing Mob (prowadzonym przez Devante Swinga, producenta grupy Jodeci), ten jednak popadł w problemy finansowe i w efekcie nigdy nie wydał materiału Sista. W efekcie grupa się rozpadła, a Missy postanowiła wziąć odtąd sprawy tylko w swoje ręce.

Przełomem okazała się pomoc okazana Aaliyah w roli ghostwritera oraz producentki przy płycie „One In A Million". Wówczas to na dobre rozkwitła przyjaźń między Missy a niejakim Timem Mosleyem, niezbyt jeszcze znanym, ale piekielnie utalentowanym producentem z Virginii. To właśnie Timbo wprowadzał Elliott w arkana sztuki producenckiej, co da się bez większego trudu usłyszeć. W końcówce 1996 roku panna Missy podpisała umowę z labelem Elektra i zabrała się do spółki ze swym kompanem do pracy nad debiutanckim krążkiem. W międzyczasie jeszcze wyprodukowała i napisała kilka hitów dla gwiazdek r&b, m.in. śliczniutkiej Giny Thompson.

Od kiedy tylko na półki sklepowe trafił pierwszy album naszego pączuszka („Supa Dupa Ely") rok po roku dostawaliśmy kolejne przeboje firmowane przez nią i coraz to lepsze wydawnictwa. Wystarczy tylko spojrzeć na listę hitów, jakie wprowadzała do czołówek list przebojów na całym świecie, po kolei: „The Rain", „Sock It 2 Me", „Beep Me 911", „She's a Bitch", „Hot Boys", „All N My Grill", „Get Ur Freak On", „One Minute Man", „Work It", „Gossip Folks", „Pass That Dutch", żeby się złapać za głowę. Mówcie, co chcecie, ale chyba nie ma osoby, która nie usłyszałaby kiedyś któregoś z wymienionych numerów i nie bawiła się przy nich. Gdyby dodać do tego gościnne udziały w kawałkach takich gwiazd, jak Total, Eve, Destiny's Child, Janet Jackson, Whitney Houston, można by z czystym sumieniem określić Missy Elliott jako największą kopalnię hip-hopowych hitów przełomu wieków.

To jednak tylko jedna strona medalu. O ile bowiem muzyczna klasa tej pani znana jest wszystkim od bardzo dawna i w zasadzie każdy wie, na co stać Missy, łatwo przegapić kilka niemniej ciekawych spraw. Po pierwsze, chociażby to, że Elliott nie ogranicza swoich albumów do schematu „3 super hity + wypełniacze". Każde z firmowanych przez nią wydawnictw jest materiałem pełnowartościowym i przemyślanym od pierwszej do ostatniej sekundy. Pełnym smaczków, eksperymentów, ucieczek w stronę elektro, funku, soulu, czasem dancehallu. Missy do spółki z Timbalandem wypracowała swe bardzo charakterystyczne brzmienie już na pierwszej płycie, ale z każdym kolejnym krążkiem nadawała mu nowego wymiaru. Pewnie – nie zawsze ich muzyczne wycieczki musiały się podobać, często sprawiało to wrażenie przekombinowania, ale nie można odmówić jej progresu.

Sprawa numer dwa. Z płyty na płytę Elliott staje się coraz lepszą tekściarką, ale też wokalistką. Nie raperką, ale wokalistką – to zasadnicza różnica. Dla niej nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli chodzi o zabawę flow, eksperymentowanie z głosem, barwą i wokalem. To musi budzić podziw i szacunek. Podobnie jak odwoływanie się do czasów złotej ery hip-hopu. Jest poniekąd znamienne, że to Missy Elliott – uznawana za jeden ze sztandarów tzw. nu-schoolowego podejścia do rapu – jako jedna z pierwszych w XXI wieku tak odważnie sięgnęła się do symboliki tamtych czasów. Wiązało się to z być może najważniejszą zmianą, jaką doświadczyliśmy w jej przypadku...

Co mam na myśli? Image oczywiście. Od początku swej kariery Elliott zyskała wielką sympatię tysięcy młodych dziewczyn za sprawą swego, hmm... – powiedzmy tak: oryginalnego wyglądu. Niska, bardzo korpulentna, śmiesznie ubrana. Udowodniła jednak, że nie trzeba mieć figury jak Beyonce, nadmuchanych cycków jak Lil' Kim czy na poły rozebranych klipów jak Foxy Brown, by zdobyć uznanie, szacunek i sławę. Jej naturalność, dystans do samej siebie i ogromny talent w zupełności wystarczyły. Missy jednak postanowiła zadbać o siebie. Poniekąd tajemnicą poliszynela jest to, że na zmianę trybu życia i podejścia do własnej figury wpłynęły przede wszystkim tragedie, jakich doświadczyła. W ciągu niespełna 10 miesięcy straciła dwie wielkie przyjaciółki – Aaliyah i Left Eye z TLC. Ponoć to właśnie nakłoniło ją do przemiany duchowej i rozpoczęcia drakońskiej diety, dzięki której w niedługim okresie straciła ponad 30 kilo. Ile jest w tym prawdy, a ile zwykłych plotek – nie mnie wiedzieć. Fakt jest jednak faktem. Proporcjonalnie do wzrostu zarobków i popularności Missy Elliott spadała waga.

Już nie pokazuje się w wielkich pokracznych ciuchach. Od 2 lat będąc jedną z firmowych twarzy Adidasa zarządziła powrót do oldskulowego odzienia. Kontrakt z producentem biżuterii też nie poszedł na marne. Każda dama w końcu lubi diamenty i błyskotki, nawet jeśli wielki złoty łańcuch pozornie średnio pasuje do superstarów i klasycznego dresiwa, a u nas często kojarzy się z wieśniactwem. Do tego bardziej wyjściowe, ale – jakby nie było – utrzymane w mocno sportowym stylu ubrania GAP. Dodać możemy jeszcze Sprite'a, by uzupełnić wyliczankę wielkich marek, jakie postanowiły właśnie na naszej bohaterce oprzeć swe kampanie promocyjne. Całkiem nieźle jak na kogoś, kto jeszcze kilka lat wcześniej zapewne miałby wielkie problemy z wejściem do malucha...

# numer raz

Numera łapiemy po wakacjach w Chorwacji, przy oporządzaniu studia na Kolejowej. Wielkie otwarcie planowane jest już na wrzesień. To jedna z wielu zmian w życiu mc, który luz ma właściwie w definicji. O rozstaniu z Wielkim Joł, Warszafskim Deszczu, animacji labelu, nowych kierunkach rozwoju, planach fonograficznych i fundacji Spoko Dzieciak przeczytacie poniżej

tekst Marcin Flint
foto Cess

**Jak czuje się człowiek, który po latach tyrania w sklepie z farbami odkrywa, że dzień robi się dłuższy o ładnych kilka godzin?**

To jest w tym wszystkim najfajniejsza sprawa. Zawsze się zastanawiałem, jak to będzie. Kiedy moi koledzy mieli wolny czas i odwiedzali mnie na Bartyckiej, ja siedziałem tam od 9 do 19 i gul mi skakał, że oni mogą sobie jeździć na rowerach i tak dalej, że mogą nagrywać w ciągu dnia kawałki. Ja niestety tego nie doświadczałem. Rok temu stwierdziłem, że nie mogę tam pracować, bo Babilon już mnie przerósł i wciągnął. W stanie, w którym teraz jestem, aż za bardzo korzystam z wolności. Śpię do pierwszej, czasem zupełnie niepotrzebnie, bo powinienem wstawać rano i korzystać z dnia. Ale mogę się obudzić, zrobić sobie kawę, napisać tekst, zrobić na komputerze beat, pogrzebać w Internecie. Wcześniej to było niemożliwe. Praca, dziewczyna... Czas się zawężał. Wreszcie mogę robić to, co chcę, wstanę, wyjdę, przyjadę tutaj do was na wywiad o godzinie 15. A tak to wy musielibyście przyjechać do mnie. Z czasem, kiedy studio się rozwinie, tak sobie ten czas ułożę, że będę miał czas na wszystko.

**Zdecydowałeś się na własne wydawnictwo. Jest przecież Wielkie Joł, wiadomo, że z Tede i Ostaszem łączy Was stara przyjaźń. Nie można było tego zrobić w ramach WJ, założyć jakiegoś sublabelu?**

Cały czas widnieję jeszcze na stronie WJ jako ich artysta i póki co to mi jeszcze nie przeszkadza. Wydałem tam jedną płytę, która od początku do końca zrobiliśmy z dj'em Zero. Nikt nam nie kazał nic robić i to był duży komfort. Mieliśmy do dyspozycji studio, w którym nagrywaliśmy jako pierwsi, które sprzętowo rozdziewiczyliśmy. Mogliśmy siedzieć w nim non stop, nagrywanie płyty było przyjemnością. Akurat tutaj pod Wielkim Joł podpisuję się zawsze z szacunkiem [illegible] ero potem zacząłem się robić niezadowolony pod względem promocyjnym. Zupełnie inaczej to rozumiałem, niż się stało. Ciężko jest mi winić Ostasza czy Jacka. Jacek zajmuje się sprawami artystycznymi i w takie kwestie nie wnika, ma swoją jazdę. A co do Ostasza, to był w WJ jego pierwszy większy projekt po Sistarsach i moim zdaniem nie do końca to ogarniał. To, czego Ostasz przy okazji mojej płyty nie zrobił, ja mogę zrobić z Piotrkiem Turkiem i to dwa razy lepiej. Jakąś pozycję sobie już wyrobiłem, czas najwyższy, żeby zrobić własne studio, firmowane po części moją ksywką. Zwłaszcza, że mamy wiedzę muzyczną. DJ Zero jest mocno wkręcony w realizowanie muzyki i żywych instrumentalistów, których poznał przez to bardzo dużo. Chcemy robić muzykę inaczej niż Wielkie Joł, mieć więcej bandów. I inne nastawienie do robienia rapu. Ja się tam nie odnajdywałem, bo wszystko było z wielką pompą, nie chcę mówić z wielkim „bouncem". Oprócz może Anatolii i Kameralu są to artyści zupełnie innego pokroju. Grrruubas, Bezele, ta otoczka mi nie pasowała. W tej chwili nie mógłbym nagrywać tam płyty, bo oni cały czas tam coś robią, nagrywają programy i tak dalej. Wczoraj spędziłem tam pół godziny i wyszedłem z wielką banką, bo tak krzyczą, i tak głośno mówią, że nie da się popracować w spokoju. Cały czas wielki chaos. Teraz liczę na to, że z Piotrkiem, Zerówką i Wiśniowym będę robił to, co uważam za stosowne. W spokoju i ciszy.

**Z drugiej strony będziesz miał więcej na głowie. Do Numera przylgnęło, że jest „zawsze spoko". Tymczasem w szołbiznesie, zawsze spoko być nie można.**

Mam od tego czarnuchaf (Numer wybucha śmiechem i odwraca się do siedzącego w oknie Piotra Turka) Lubi to robić, traktuje to nawet w ramach sposobu na życie i tak chce zarabiać na chleb. Ja z Andrzejem będę się starał ograniczać do muzyki, zagłębiać w zespoły, żeby wyszukać coś dobrego.

**Dla kogo w Waszym wydawnictwie jest miejsce?**

Dla ludzi chcących robić tę muzykę nieco ambitniej. Choć nie ma sensu brać się za coś ambitnego, co się nie sprzeda. Chcemy na tym zarobić. Moja następna płyta, która wyjdzie już tutaj, będzie identyczna jak poprzednia. W międzyczasie Piotrek z Zerówką robią 210, projekt zupełnie inny, co najlepiej prezentuje utwór „Hit", który wyczerpuje moje możliwości robienia „komercyjnego" rapu. Dużo ludzi stwierdziło, że Numer już zmienił wizerunek i poszedł w inne rymy...

**...I trudno nie przyznać im odrobiny racji. Kawałek z 210 czy ten z 12 Ławek są nawinięte bardzo szybko i dynamicznie. A słynąłeś raczej z rapów chillloutowych, rzeczy nasyconych funkiem.**

Obydwa beaty są Piotrka. Przy 12 Ławkach było takie założenie i poprosiłem go o to, by zrobił mi szybki beat przerywany wolnymi wstawkami. Dostałem to, co chciałem i zarymowałem, jak nigdy wcześniej. Tak samo na „Hicie", z tym że przy nim inwencja była Piotrka, on sugerował jak mam to zrobić. Sotówka udowodni, że się nie zmieniłem, będzie taka sama jak poprzednia, a tak to otwieram się na wszystko. Nie wiem, czy np. zaraz nie nagram z Mandaryną albo Dodą (śmiech).

**Wierzę (śmiech). Wróćmy do wydawnictwa.**

Na pewno będziemy odsiewać wszystkich złych ulicznków i najgorętszych baunsiarzy. Skupimy się na dobrej muzyce, która da się dobrze sprzedać.

**Przy okazji pracy nad raportem o rzekomym końcu polskiego hip-hopu, usłyszeliśmy od wyjątkowo w tym momencie zgodnej czołówki wydawniczej, że nie ma sensu ładowanie się w nowe twarze. Też tak do tego podchodzicie?**

Wyławiamy talenty przez Spoko Dzieciaka. Na 1000 dem fajnych jest 5, ale to 5 jest na takim poziomie, że gdyby zainwestować w nie pieniądze i zrobić dobrą promocję, to możliwe, że to tak czy siak [illegible]le. Trafi do pewnego grona. Bo co do weteranów, to nawet nie widzę kandydatów. Co lepsi są pozajmowani.

**Zawsze można ich przejąć...**

Dokładnie. Wszystko się okaże. Może się nawet zdarzyć, że trafimy na zdolną artystkę pop z super głosem. To byłaby oddzielna działka niemieszana z hip-hopem, może coś takiego pociągnie nasze studio.

**Mówiliście o fundacji Spoko Dzieciak. Co Was w niej tknęło? Głupio mi się powoływać na takie opinie, ale słyszałem nawet hipotezę, że to pralnia brudnych pieniędzy Wielkiego Joł...**

[illegible]o, musimy to dalej popchnąć (śmiech). Z jednej strony, to pewno zawiść. A z drugiej... Gdyby nasze drogi z WJ się nie rozeszły, robilibyśmy to razem. Gdyby to była pralnia, musielibyśmy mieć kupę pieniędzy. Wielkie Joł ma pewno jakieś zarobione przez siebie pieniądze, ale my jesteśmy ze Spoko Dzieciakom dokładnie na żerze. Ciężko wyciągnąć fundusze od sponsorów czy też innych instytucji. Na razie nikt w to nie wierzy, bo jeszcze mało rzeczy zrobiliśmy. Jeśli zobaczą, że coś osiągnęliśmy, wejdą w to. Będą pieniądze na ruchy. Póki co, zajmujemy się tylko muzyką, przy większych funduszach, za sprawą Kuby Perzyny, dojdzie do skorolka.

**To pytanie pewno śmiertelnie Cię nudzi, ale musi paść. W zaistniałej sytuacji szanse na kolejny Warszafski Deszcz są zerowe?**

Są zerowe, ale mam pewien pomysł. Być może Warszafski Deszcz się nagra, będzie to powrócenie do dni minimalnie sprzed czasów Wfd, może nawet w trochę innym składzie.

**Na koniec coś na wyluzowanie. Jak bawiliście się na planie 210? Tak na oko biba była gruba, a towarzystwo zacne...**

Oprócz tego, że mieliśmy do dyspozycji fajny dom z basenem, który zawdzięczamy szalonej koleżance z imprez, w tym basenie wykąpałem się w ubraniu, to wszystko było robione jak to na teledysku, sztywno. Dopiero w klubach, w Extravaganzie i w Punkcie był gruby melanż, wszyscy byli bardziej wyluzowani. Bawiliśmy się świetnie.

©2005 B3. All rights reserved. Ad: Sewer
B3 s.c. ul. Świteziankl 16 91-496 Łódź TEL.: +48 42 659 07 85 INF. HANDL. 0 502 150 727

# System of a down

## ormiańska ruletka

„Dzień po dniu gram w rosyjską ruletkę. To męski sport, a moim nabojem jest życie" – ciężka metafora. Ten, pochodzący z kawałka „Sugar", fragment oddaje jednak w dużym stopniu to, czym jest System Of A Down. Bo nazwać ich po prostu kolejną kapelą z sukcesem w historii rocka byłoby zwykłą niesprawiedliwością

tekst koval

Na początek trochę tragicznej historii. 24 kwietnia 1915 roku rządzący Turcją triumwirat: Enwer Pasza, Talaat Pasza i Dżemal Pasza, wydał rozkaz rozpoczęcia masowych wysiedleń i eksterminacji mniejszości ormiańskiej. Historia potraktowała Ormian źle. Dużo wcześniej stracili niepodległość, a zyskująca popularność w Turcji idea panturkizmu – tureckiej supremacji w rejonie – nie była do pogodzenia dla narodu ormiańskiego, który pomimo braku własnych granic, mocno podkreślał swoją odrębność. Trwająca przez lata 1915-16 gehenna przyniosła ponad półtora miliona ofiar. W 1939 roku Adolf Hitler, wydając rozkaz ataku na Polskę, mówił na odprawie dla dowódców Wehrmachtu: „Zabijajcie bez litości kobiety, starców i dzieci; liczy się szybkość i okrucieństwo. Kto dziś pamięta o rzezi Ormian?" A Turcja do dziś nie przyznaje się do popełnionej 90 lat temu zbrodni...

Cóż to ma wspólnego z rockowym bandem? Chociażby to, że Serj Tankian (wokalista, klawiszowiec), John Dolmayan (perkusista), Daron Malakian (gitarzysta, wokalista) i Shavo Odadjian (basista) są z pochodzenia Ormianami. Choć mieszkają w słonecznej Kalifornii, podkreślają swoje pochodzenie, niejednokrotnie wspominając tragedię sprzed lat. I nie jest to tylko i wyłącznie wątek dramatyczny na potrzeby wywiadów prasowych. System Of A Down śmiało można nazwać najbardziej upolitycznionym zespołem świata.

### 11.09.2001

Album, który sprawił, że świat poznał SOAD, pojawił się na rynku w roku 2001. „Toxicity" było następcą debiutu, nazwanego po prostu „System Of A Down". We wrześniu „Toxicity" zajmował pierwsze miejsce na liście sprzedaży albumów w Ameryce. Był na tym miejscu również 11 września. Właśnie tego dnia samoloty uderzyły w Pentagon i World Trade Center. Jeżeli ktoś patrzył na zespół tylko przez pryzmat ich eksperymentalnej muzyki, to w momencie, gdy polityka stała się tematem numer 1 w USA i na świecie, wiele osób zaczęło zwracać uwagę również na teksty grupy. Zwłaszcza, że dwa dni po atakach na stronie zespołu nadzorowanej przez Sony/Columbia pojawił się esej Serja Tankiana, zatytułowany „Understanding Oil".

Esej zniknął ze strony tak szybko, jak się na niej pojawił, ale już po kilku godzinach od publikacji żył własnym życiem, krążąc po tysiącach stron internetowych na świecie. Serj nie został zrozumiany od razu. Emocje towarzyszące atakom na WTC sprawiły, że jego tekst przyjęty został jako pochwała terroryzmu. Tankian miał jednak po prostu odwagę napisać, że nic na świecie nie dzieje się bez przyczyny. Że desperacki atak na wieżowce będące symbolem gospodarczej potęgi USA był swoistą odpowiedzią na politykę Ameryki wobec Bliskiego Wschodu i ekonomiczne walki tą polityką rządzące. Że ginący od wybuchających bomb giną tak samo jak ci, którzy są bombardowani z samolotów. Serj przeżywał w tamtych dniach ostre ataki na swoją osobę, ale cierpliwie wyjaśniał swoje racje. Doszło do tego, że wokalista System Of A Down został zaproszony do popularnego i odważnego szoł radiowego Howarda Sterna. Choć najpierw były bluzgi i wymyślanie przez telefon, wywiązała się dyskusja, w której uczestniczyli słuchacze.

### Kula w poduszce

Odejdźmy na chwilę od polityki. Słoneczna Kalifornia, a może najpierw Armenia i Bejrut w Libanie. W Los Angeles bowiem urodził się tylko Daron Malakian. Shavo, a właściwie Shavars, jako dzieciak przyjechał do LA z Armenii: Serj urodził się w Bejrucie, tak samo jak John Dolmayan. John lubi powtarzać swoją historię: „Kiedy miałem 5 lat, pewnej nocy obudziłem się po jakimś koszmarze. Coś mnie tknęło i poszedłem do sypialni moich rodziców. Zapytałem, czy mogę spać z nimi. Zgodzili się, a kilka minut później ktoś strzelał w okno mojego pokoju. Kula wbiła się w poduszkę na moim łóżku... Ojciec zdecydował, że musimy uciekać z Libanu". Jakiś czas później rodzina wylądowała w Toronto, skąd do LA było już zdecydowanie bliżej.

Tak się złożyło, że wszyscy muzycy System Of A Down znali się z prywatnej ormiańskiej szkoły w Los Angeles, ale w czasach nauki nie byli przyjaciółmi. Bliższa znajomość zaczęła się później, gdy w jednym z kalifornijskich muzycznych studiów poznali się Serj i Daron. Zainteresowania mieli podobne – muzyka i poezja. Muzyka – ta cięższa. Obydwaj mieli zespoły, ale postanowili zrobić coś razem. Zespół Soil powstał w roku 1993, a Shavo spotkał się z nimi, bo znał basistę grającego w zespole. On grał i na gitarze, i na basie, te pozycje były obstawione, więc w końcu został... menedżerem zespołu. Czy dlatego, że wcześniej pracował w banku? Przetasowania w zespole sprawiły jednak, że w końcu zajął się czterema strunami (a i dwunastoma, gdy potrzeba). Jakiś czas nic się nie działo, aż do zespołu trafił bębniarz John. A potem Daron przyniósł swój wiersz...

### Mocny system

Daron Malakian to przedziwny człowiek. Mały, drobny, wymalowany, w dziwnych kreacjach. Ale w głowie ma sporo muzyki i słów. To on komponuje większość utworów zespołu, czasami w nich nawet śpiewając. Choć Serj dysponuje zdecydowanie lepszym głosem, czę-

sto uzupełniają się bardzo kreatywnie. Ale miało być o wierszu. Nazywał się „Victim Of A Down". Zrobił wrażenie na pozostałych członkach zespołu i uznali, że jego tytuł to niezły materiał na nazwę. Słowo System wydało im się jednak mocniejsze, podkreślające, że często cierpią nie pojedyncze jednostki, ale większe skupiska osób.

## I przyszedł Rubin...

To był rok 1995. Zespół grał najczęściej w małych klubach LA i okolic, ale zaczynało robić się o nim głośno. Przez ściany przelaczał się początek fali zespołów określanych mianem „nu metalowych", a to „nu" było otwarciem na eksperymenty, łączeniem rockowych, mocnych gitar z innymi gatunkami muzyki, nowoczesnymi aranżami, odważnymi rozwiązaniami wokalnymi. Nu metal to określenie, które zupełnie nie pasuje naszym bohaterom, ale głośno zrobiło się o nich dlatego, że w swojej muzyce nie bali się łączyć elementów na tyle karkołomnych, iż być może nikt inny nie zdecydowałby się na to.

Jaka jest ta muzyka? Jest w niej sporo prostych, dosadnych gitarowych riffów, ale też niespotykana przy tak surowych dźwiękach melodyka. Niespodziewane zmiany tempa i umiejętność poruszania się właściwie po wszystkich muzycznych rejestrach. W ich muzyce jest i miejsce dla kultywowania rockowej klasyki, bo słychać tu fascynację Led Zeppelin czy Black Sabath, ale też dużo późniejsze rozwiązania towarzyszące narodzinom i latom sukcesów muzyki trash. Odejścia w stronę glam rocka i brudna, punkowa ekspresja. Są i impresje jazzowe, i klimaty etniczne. SOAD denerwują się, gdy nazywa się ich muzykę „ormiańskim rockiem". „Nie ma czegoś takiego i nigdy nie było" – podkreślają. „To, że czasami korzystamy z pewnych nawiązań do muzyki tego regionu, o niczym nie świadczy, jest tylko poszukiwaniem." A poszukują naprawdę sporo. Choćby w kwestii wokaliz. Bo czy często zdarza się, że po spokojnie prześpiewanej zwrotce, ryk w refrenie przypomina dokonania wokalistów death metalowych? A innym razem Serj potrafi spore części tekstu melodeklamować, by już za chwilę śpiewać niemal falsetem (choć te „cienkie" wokalizy to raczej domena Darona). A najciekawsze w tym wszystkim pozostaje to, że SOAD grają muzykę mocną i ciężką, ale nie mają problemów z wejściem na wysokie miejsca list przebojów. Serj powiedział kiedyś: „To dla nas ważne, że nie słuchają nas tylko metalowcy czy ludzie lubiący ciężki rock. Staramy się dotrzeć z naszą muzyką do wszystkich".

Ale najpierw musieli z nią dojść do kogoś, kto by to wszystko poprowadził. Jest więc rok 1995, a na jeden z koncertów grupy trafia legendarny Rick Rubin. Facet, który wylansował i Beastie Boys, i Slayera, i Public Enemy, i Red Hot Chili Peppers. Serj wspominał później, że podczas koncertu dojrzał charakterystyczną postać Rubina i trochę go spięło. Niepotrzebnie – producent był zachwycony i niemal z miejsca postanowił dać SOAD szansę w swojej wytwórni American. Szansę nie byle jaką, bo płyta System Of A Down miała być pierwszą premierą wytwórni po fuzji z Columbia Records.

## Buraki i „pedały"

SOAD szansę wykorzystali. Latem 1998 roku ich album pojawił się w sprzedaży. Chwilę potem zespół ruszył w trasę ze Slayerem, w tym samym roku grając również na Irasie Oztesi. Ich występy robiły wrażenie. Przedziwne przebrania, makijaże, wyjątkowa ekspresja na scenie. To zresztą sprowadziło na nich kłopoty w naszym buraczanym kraju, bo gdy supportowali Slayera przed polską publicznością, zostali okrzyknięci „pedałami" i zmuszeni do zejścia ze sceny. W innych miejscach świata ekscentryczny wizerunek zespołu zaskarbiał im jednak rzesze fanów. 500.000 na całym świecie kupiło pierwszą płytę, ale to miało być dopiero preludium. Wypuszczony na rynek w 2001 roku „Toxicity" sprzedał się multiplatynowo. I sprzedaje się do dziś.

## Teczka Tankiana

O polityce już było. Ale o polityce w ich przypadku nie sposób przestać. I nie chodzi tylko o wspomniany „Understanding Oil", ale też o niemal każdy wywiad. Rzecznikiem zespołu jest głównie Serj, który lubi mówić o tym, że pod przykrywką demokracji i wolności słowa USA są państwem policyjnym, a instytucje władzy nadużywają jej w stosunku do obywateli. Głośno mówią o nierównościach społecznych i o tym, że Ameryka chce podbić świat, a wszystkie konflikty rozpętane przez nią mają za zadanie napędzanie gospodarki, a nie niesienie demokracji. Że demokracja może i jest czymś pięknym, ale w obecnym świecie pozostaje mitem. Tankian wypalił raz, że na pewno ma założoną teczkę i w każdej chwili ktoś może wykorzystać pewne fakty przeciwko niemu.

Przeciwko zespołowi w każdym razie zwrócili się piraci, którzy znaleźli dostęp do archiwalnych materiałów z sesji płytowych pierwszego i drugiego albumu grupy. Dlatego zespół postanowił puścić te kawałki oficjalnie w obieg, wydając płytę „Steal This Album!". Jedna z wersji okładki przypomina czyślą płytę cd, z nabazgranymi flamastrem tytułami kawałków na białym tle (dla kolekcjonerów są jednak również cztery dodatkowe wersje okładek, zaprojektowane przez muzyków grupy). Wypuszczenie albumu okazało się kolejnym sukcesem. Bo odrzuty z obydwu sesji złożyły się w wyjątkowo spójną płytę, promowaną nawet singlem „Innervision".

## Złośliwcy zamilkną?

Okazało się, że zespół dalej chce działać niestandardowo. Niedawno ukazała się płyta „Mezmerize", a już na wrzesień zapowiedziana jest kolejna – „Hypnolize". Złośliwi nie szczędzą komentarzy, że System Of A Down wykorzystuje w pełni swój czas i koniunkturę na swoje granie. Muzycy odpowiadają, że nie chcą marnować materiału, którego podczas ostatniej sesji nagrali sporo, a który uważają za wart tego, by ujrzał światło dzienne. I że wydanie „Steal This Album!" bardzo szybko po „Toxicity" było niejako przypadkiem, natomiast dwie części z roku 2005 skomponują się w całość. Z pewnością, jeżeli wrześniowy album choćby tylko dorówna niesamowitemu „Mezmerize", krytycy i złośliwcy zamilkną.

## Jest jakiś plan?

Eksperymentalny rock, polityka, przebrania. Rock zawsze był w pewnym stopniu prowokacją, w ten kanon więc System Of A Down wpisują się bezbłędnie. Rock jednak czasami miał też charakter, jakby to nie brzmiało, misyjny. I z pewnością ciekawe jest, że zespół, który podbija listy przebojów, często przepędzając z nich całuśnych castingowców, ma do powiedzenia tak wiele i tak ostro. SOAD podkreślają, że wierzą, iż swoją muzyką otworzą ludziom oczy na pewne sprawy. I że nauczą ich tego, by muzyki nie klasyfikować, tylko po prostu ją odbierać. Łączenie gatunków i odwaga w komponowaniu już wiele lat temu okazały się wyjściem z palu, gdy coraz więcej osób powtarzało, że nic nowego już się nie pojawi. Pewnie można by tym ludziom puszczać kolejne płyty System Of A Down i jednocześnie prosić, by oceniali ewolucję zespołu. Bo jak naprawdę, to trochę strach przed tym ich kolejnym albumem. Dlaczego strach? Bo na „Mezmerize" pokazali, że nie istnieją dla nich żadne bariery. Jeśli więc pójdą jeszcze dalej, czy nie nastąpi chaos i anarchia? No, ale to są przecież określenia mocno powiązane z polityką. Czyli wszystko idzie zgodnie z planem?

Paweł Kopczyński
bs tailslide
Ostropolis Bratyslawa

K[illegible]a Bączkowski
nose slide Pomnik Piłsudskiego
Katowice

# CORTOZ LANDO BOARD EXPEDITION TOUR 2005

**Już po raz drugi firmy Cortoz i Lando zdecydowały się zorganizować wspólny wyjazd dla swoich teamów. W tym roku trasa wycieczki znacznie różniła się od tej sprzed dwunastu miesięcy. Tym razem mieliśmy sprawdzić południowe rubieże naszego kraju i zahaczyć o stolicę Słowacji, Bratysławę. Elitarną jednostkę deskorolkowców tworzyli: Kuba Bączkowski, Przemek Cymbalski, Paweł Kopczyński, Michał Kulczyński oraz Tomkowie Milan i Szkiela**

tekst tOi Oi
foto Gabor Nagy

Pierwszym przystankiem było rodzinne miasto firmy Cortoz, czyli Opole. W stolicy polskiej piosenki można najlepiej pojeździć w skateparku. Tam właśnie poszły pierwsze tourowe triki. Oczy wszystkich (a szczególnie dwunastoletnich dziewczyn) były skupione na Michale Kulczyńskim, największym polskim skateparkowcu. Kulczyn w każdym tego typu obiekcie czuje się jak ryba w wodzie i w Opolu jeździł bez przerwy. Po kilkugodzinnej rozgrzewce powiedziano skateparkowi opolskiemu „dosyć" i szalony bus wyruszył do następnej stacji, czyli Gliwic.

Miasto to zupełnie nie kojarzy mi się z deskorolką i miejscówkami. Wywodzi się stąd, co prawda, kilku znanych w Polsce skateboarderów, ale mieścina ta ze spotów nie słynie. Wiedzieliśmy, że na pewno jest tam blaszany skatepark. Po dojechaniu na miejsce okazało się, że faktycznie stoi tam tor do jazdy i mimo że nie należał on do najbardziej wypasionych w kraju, wszyscy głodni nowych miejsc rzucili się na niego. Cymbi z Kulczynem atakowali funbox. Michał pykał sobie bez trudu stylową olkę, natomiast Przemek postanowił potrenować naprawdę wysoko z mute grabem. W tyle nie pozostawali lokale, szczególnie jeden z nich wiedział, do czego służy funboxowe wybicie. Zrobił on kilka popisowo wykonanych flipów, których nie powstydziłby się nikt. Po kilkugodzinnej jeździe zapakowaliśmy się do naszego dużego środka lokomocji i udaliśmy do naszej noclegowni w Cieszynie. Okazał się nią opuszczony dom, należący do jednej z koleżanek firmy Cortoz, Ani. Od kilku lat nikt tam już nie mieszkał, a na co dzień budynek służył do urządzania imprez. Wygląd, a raczej stan techniczny naszego lokum, dostarczył nam wielu powodów do śmiechu (czasem był to śmiech przez łzy). Trzeba było trzeba było wypić kilka piw, żeby tam zasnąć, ale czego się nie robi dla dobra sprawy....

Następnym miastem na naszej trasie były Katowice. Tam pierwsze kroki postawiliśmy na Paderewie. Po trwającej kilka godzin jeździe zmieniliśmy spot na Pomnik Piłsudskiego. Znajduje się tam zajebisty marmurowy murek przy pięciu schodach. Od razu przypadł on do gustu każdemu. Jedynym mankamentem był nieco przykrótki rozpęd. Ale co to dla ekipy Cortoz & Lando. Po dłuższej chwili bardzo zadowolonymi osobami byli: Tomek Szkiela (po zrobieniu croocked grinda), Paweł Koczyński (po zrobieniu tail slide) i Kuba B., który wskoczył flipem na wheelie. Po tej sesyjce wszyscy mieli zadowolone miny. Miejscówka była dla wszystkich nowa, a nic tak nie cieszy, jak numery w nowym miejscu. Jednak w miarę upływu dnia miny nam powoli rzedły. Wiedzieliśmy, że czeka nas jeszcze nocleg w naszej uroczej ruderce w Cieszynie. Pocieszał nas fakt, że po pierwsze, był to już nasz ostatni tam nocleg, po drugie, będziemy mieli co opowiadać swoim wnukom.

Następnego dnia los przywiódł nas do Rybnika. Nie znaleźliśmy tam jednego dużego spotu, ale kilka pojedynczych miejscówek. Na jeden trik dawało radę. Najlepiej w tym mieście odnalazł się Kopiec, który zapisał się w historii Rybnika robią serię 5-0 grindów na hubbie. Po Rybniku już tylko na nocleg odwiedziliśmy Bielsko-Białą, gdzie całkiem udanie zamelanżowaliśmy.

Następny dzień upłynął pod znakiem drogi do Bratysławy. Odcinek ten dłużył nam się niemiłosiernie. Podróż trwała, delikatnie mówiąc, przydługo. Koniec końców, na miejscu byliśmy bardzo późno, tak że na zwiedzanie miasta trzeba było poczekać do następnego dnia.

Bez trudu znaleźliśmy główną bratysławską miejscówkę, Istropolis. Znajdują się tam super marmurowe murki, ogromna platforma do manuali i pięć schodów. Możliwości na wykorzystanie miejscówki jest masa, wystarczy posiadać tylko trochę wyobraźni. Nic więc dziwnego, że spędziliśmy tam prawie cały dzień. Spotkaliśmy tam Ondreja Leskowianskiego, gościa, który miał pokazać nam lokalne miejscówki. Najpierw pokazał nam skatepark, gdzie musieliśmy załatwić kilka ciemnych interesów i po zakupie udaliśmy się na spot w pobliskim parku. Tam ujrzeliśmy bardzo długą drewnianą ławkę, na której niestety pod koniec dnia Kuba B., najbardziej zapracowany człowiek na wyjeździe, skręcił nogę. To wielka szkoda, bo był on osobą, która najbardziej nakręcała wszystkich do jazdy. Praktycznie przez cały czas trwania touru nie siedział, tylko jeździł. Cóż, shit happens, miejmy nadzieję, że to nic poważnego... W międzyczasie Ondrej pokazał nam, jak jeździ się na railu przy jedenastu schodach, robiąc tam w kolejności: board, feeble, croocks i bs. 50/50. Drugi dzień w Bratysławie rozpoczęliśmy też Istropolis. Tamto miejsce wyraźnie przypadło Polaczkom do gustu. Milan jak zwykle czarował swoimi manualami, Cymbi atakował schody, a Szkiela robił z siebie głupka...

Kiedy mieliśmy już dość Istropolis, Ondrej pokazał nam bardzo fajne osiem schodów, przed którymi respektu nie czuł Kopiec. Po kilku próbach i drobnej kłótni z miejscowym ochroniarzem odjechał po czyściutkim fs. flipie. W planie mieliśmy jeszcze jedno miejsce: Kolarko, czyli plac z zakręcającymi marmurowymi murkami, jednak nie było dane nam tam pojeździć. W chwili, gdy tam przyjechaliśmy, zaczął padać drobny deszcz, który szybko zamienił się w ulewę. Dlatego w nienajlepszych nastrojach skierowaliśmy swe kroki do naszego szalonego busa i powoli zaczęliśmy myśleć o długiej drodze powrotnej do domu...

Wszystko, co dobre, musi się niestety kiedyś skończyć, tak stało się i z tourem Lando & Cortoz. Było to sześć szalonych dni, które na pewno zapamiętam na długo. Dzięki dla organizatorów i oby tak dalej...

# fantastic four
## czterej pancerni

„Nużący i traumatyczni". Mniej więcej tyle do powiedzenia o Fantastycznej Czwórce, wymyśle Stana Lee i Jacka Kirby'ego, miał sprzedawca w warszawskiej Komikslandii. Kiedyś już zrobiono o nich film – tylko dlatego, by uniknąć monstrualnej finansowej kary za wieczne przekładanie czasu realizacji. Teraz wchodzi na ekrany stosownie „wypasiona" wersja. Czy jest więc aż tak źle? Tak, jest źle, bo to bohaterowie, którym od twarzy trudno odkleić uśmiechy rodem z reklamy proszków, z kwaterą w środku Manhattanu, zapleczem rządowym, z dużą ilością tworzonych przez lidera gadżetów, ale z małą ilością duszy

tekst Marcin Flint

### Promienny Uśmiech

Streszczenie historii w paru sarkastycznych zdaniach: Reed Richards ma pociąg do kosmosu i potężne pragnienie dotykania stopami planety Mars. Ma również pociąg do (w zamierzeniu) aktorki Susan Storm, którą najchętniej dotknąłby czymś więcej, bo w końcu jest jego dziewczyną, jednak ta wszędzie włóczy się ze swoim nastoletnim bratem Johnnym. Proponuje im międzyplanetarny rejs, ale wciąż potrzebuje pilota. Najlepszym jest zasłużony żołnierz, a zarazem przyjaciel Reeda z czasów szkolnych – Ben Grimm. Ben robi problemy, dopóki nie zaczyna lecieć na... Susan. Mamy więc do czynienia z jedną wielką oblesną rodziną, która aż prosi się o solidną dawkę promieniowania. Autorytety ostrzegają – to może się zdarzyć. Ale co tam po autoryletach i ich zdaniach, przecież to Amerykanie.

Kosmiczne promienie przedzierają się przez pancerz statku i zamiast zaserwować im coś normalnego pokroju bolesnej śmierci albo chociaż raka skóry, oczywiście aktywują mutację. Susan robi się niewidzialna, zostaje Invisible Girl. To znaczy widać ubranie, nie widać ciała (co potem jest zmienione, z czasem Sue zyskuje umiejętność tworzenia energetycznych pól). Trudno się więc dziwić, że Reed wiotczeje, staje się jak guma. Jak to w wypadku gumy bywa (niedowiarkom polecam wizyty w określonych dzielnicach Hamburga czy Amsterdamu), zdolny jest przybrać dowolne kształty. Jego nowa ksywka przybiera zaś formę odpowiednią dla płynu do zmywania naczyń – Mr. Fantastic. Ben staje się wielki i nieporęczny i wkurza wszystkich naokoło, co w wypadku starych pilotów jest właściwie normą (a na dodatek wycierają się napisy na przyciskach). To teraz Thing – Potacy z trzycyfrowym IQ mówią Stwór, zaś z dwucyfrowym – Rzecz. I tylko Johnny aka Ludzka Pochodnia jest zajarany. Chwile podnie-

cenia kończą się tym, że zaczyna płonąć, robi się lżejszy od powietrza i zdolny do przelotów. Jak to w wypadku nastolatków bywa, trwa to jedynie pięć minut.

Wersja „Ultimate" przedstawia zagadnienie szerzej. Reed nie ma łatwo. Sadystyczni koledzy w szkole (przed którymi chroni go wyrośnięty Ben), nadopiekuńcza matka i porywczy ojciec, gotów do ciśnięcia rozkręconym przez syna mikserem w środek właśnie podanej mu zupy. Nie przeszkadza to dzieciakowi w odkryciu... nowego wymiaru, jednego z tych nas otaczających. Ben patrzy na to sceptycznie, a Reed zastanawia się, czy w owym wymiarze są inne formy życia, czy aby antymateria tego nie uniemożliwia. Chciałby im wysłać batonik. To wiele mówi o jednej drugiej Fantastycznej Czwórki. Druga połówka pojawia się, kiedy Reed zostaje wychwycony na szkolnym konkursie talentów. Prezentuje na nim swoje teorie teleportacyjne i na dowód teleportuje samochodzik. Tymczasem w innym miejscu Nowego Jorku, w szkole dla geniuszy, naukowiec dostaje szału, bo w odkrytej przez niego przestrzeni pojawiają się... małe samochodziki. To profesor Storm, któremu asystuje słodka blond córeczka Sue i jej brat Johnny.

Historia napromieniowania też jest tu zupełnie alternatywna. W Nevadzie przeprowadzany jest eksperyment dotyczący technologii przemieszczającej, nad którą Reed pracował wraz z Victorem Van Damme'em (zbieżność z Victorem Von Doomem, najsłynniejszym wrogiem czwórki oczywiście jest nieprzypadkowa, za to zbieżność z Jeanem Claude'em Van Damme'em aka „Nie gram w dobrych filmach", owszem). Kiepsko dobrał sobie współpracownika, bo w ten w ostatniej chwili zmienia koordynaty i... niespodzianka! Ben, już jako Thing, odnajduje się w Meksyku, Johnny jako Pochodnia we Francji, a Sue w paskudnych podziemiach w rękach Mole Mana, jednego z ustawicznych wrogów grupy.

## Faceci w rajtuzach

„Osobno są mili. Razem są bólem w dupie" – głosi wstęp do crossoveru między Human Torchem a Spider-Manem. Problem w tym, że dewiza da się rozszerzyć na całą Fantastyczną Czwórkę i sposób, w jaki planowane są komiksy z jej udziałem. Powstała niestety w okresie renesansu superbohaterów, erze triumfu Justice League, kiedy to pracująca dla DC (wówczas National) Julie Schwartz widziała cały świat pełen Green Lanternów (pozostaje współczuć). Filozofia gromadzenia i dodawania herosów odczuwalna jest tu w przykry sposób. „Przez lata istnienia FF miało także innych członków, m.in. She-Hulk (Jennifer Walters), Ant Man II (Scott Lang), Luke Cage, Ms. Marvel II (Sharon Ventura; Zupełnie nieporozumienie, znane także jako She-Thing – przyp. F) oraz Medusa i Crystal" – informuje strona x-men.pl. Nie zapomnijmy jeszcze o plątających się pod stopami dziwadłach pokroju robota HERBIE czy Lockjawa – niby to pies, ale być może mutacja rasy, która oddzieliła się od głównego pnia człowieczeństwa 25 tysięcy lat temu (tzw. Inhumans). Dodatkowym problemem jest to, że Czwórka ma pełną swobodę rozmnażania się między sobą. Pomijam już to, że Invisible Girl stanowi wkurzającą syntezę kochliwości a zarazem nadopiekuńczości – ma z Reedem dwójkę dzieci: Franklina i Valerie, a w jednym z komiksów straszyła go trzecim. To już prawie Inhumanoci. Oprócz tego, nieustająca współpraca czy też utarczki, z kim tylko się da. Lista jest długa i sięga od X-menów, Hulka, Nicka Fury, Kapitana Ameryki i Spider-Mana (niezliczone spotkania), aż po Daredevila, Iron Mana i Gen13.

Zbierzmy więc fakty. Fantastyczna Czwórka to grupa w całości odtwórcza. Human Torch jest wzorowany na „Flame being" znanym ze starej Ligi Sprawiedliwości, Invisible Girl zaś mocno inspirowana Wonder Woman, postacią wprawdzie zupełnie dobrze widoczną, ale za to z niewidzialnym odrzutowcem do dyspozycji. Thing to potwór jakby żywcem wyciągnięty z serii komiksowych horrorów Marvela. Mr. Fantastic czerpie zaś z wymyślonego przez Jacka Cole'a Plastic Mana. Idziemy dalej – Fantastyczna Czwórka opiera się na stereotypach. Bogaty naukowiec z poczuciem misji, tracący kontakt z rzeczywistością. Biedny jak mysz kościelna szorstki brutal, sporadycznie okazujący wielkie serce. Nieco zarozumiały, za to zupełnie pozbawiony rozwagi nastolatek. W końcu, rozdarta wewnętrznie kobieta, która stara się utrzymać tę menażerię w ryzach normalności. Następnie mamy nieustanne „mruganie do czytelnika", a przecież nawet postacie komiksowe potrzebują trochę powagi, by wytworzyć odrobinę dramaturgii. Tymczasem mamy takie „Hard knocks" konfrontujące Thinga i Hulka. Banner spotyka się z Grimmem na odludziu wciśniętym w westernową scenerię, by wspominać sobie dawne czasy. Bryła granitu i poszukiwany niemal we wszystkich stanach zielony potwór podgrzewają swe sentymenty żłopiąc kawkę! Owszem, zdarzały się idiotyzmy: Hulk wraz z Fantastyczną Czwórką był na przykład przenoszony w czasie, żeby odnaleźć skarb piracki, ale to bije wszelkie rekordy.

Przywoływany już crossover Human Torcha ze Spider-Manem zaczyna się od ciekawego pomysłu: Peter Parker zostaje fotografem głodnego sławy Johnny'ego, by móc zapłacić rachunki cioci May, ale żeby nadążyć za latającym człowiekiem-pochodnią, skrada się za nim korzystając z mocy i kostiumu Spider-Mana. W pewnym momencie Torch wbiega z wrzaskiem, mówiąc, że świat się kończy. Podczas uwalniania się z bryły lodu, w którą wkomponował go Von Doom, wypadły mu bowiem zadbane blond włoski i świeci łysiną. Superbohaterstwo przy takiej prezencji nie ma już dla niego sensu. Wreszcie cała seria „Unstable Molecules", gdzie Reed Richards wygłasza stwierdzenie, że „nauka to tekstylia, nie podróże w czasie", koncentrując się na polimerach, Johnny wzdycha przy komiksach patrząc na obcisłe kostiumy Vapor Girl, Sue narzeka na zbliżający się okres, a Ben Grimm tkwi w nudnawym związku i nawet nie może wyskoczyć wieczorem z kumplami na walkę bokserską. Kapitalna sprawa, ale lepiej odzierać z magii coś, co tę magię ma. FF malują się w efekcie jako postacie, których nie daje się nasączyć emocjami. Saga X-Men funkcjonuje jako traktat o nietolerancji, Batman przekaże ci to, że zemsta nie rekompensuje strat, tymczasem Fantastyczna Czwórka może co najwyżej pchnąć Kevina Smitha do tego, by jeden z bohaterów jego filmów zapytał o giętkość przyrodzenia Reeda i to, czy Thing ma je z kamienia. Przykre o tyle, że jedyne większe wydawnictwo o „czwóreczce" wydane ostatnio Polsce, czyli „1234", podejmuje próbę wydobycia czegoś więcej. Próbę skazaną na niepowodzenie.

## 1234, 1602, 2005

O „1234" krytyk Esensji pisze, iż jest w połowie dramatem psychologicznym. Dzieje się sporo: mamy do czynienia z partią czterowymiarowych szachów rozgrywanych żywymi figurami przez Reeda i psychologicznego naukowca reprezentującego wyimaginowany kraj Latverię, głównego przeciwnika grupy – Victora Von Dooma. Scenarzysta podgrzewa w bohaterach wszystkie utajone żale, Susan dopuszcza się zdrady, a Ben Grimm zostaje poważnie okaleczony psychicznie i fizycznie. Jarek Obważanek zwraca uwagę na to, że mamy właściwie do czynienia ze studium głębokiej samotności całego kwartetu, pisze też o tym, że Jae Lee celowo zostawia w rysunkach puste dalsze plany, by wyobcowanie to podkreślić. Ale nawet w tym wypadku wszystko to obserwuje się na chłodno, a to, co powinno być przejmujące, jest udziwnione i odległe. Co do udziwnień, nic nie przebije „1602" przenoszącego światek Marvela do mrocznych czasów Anglii, konkretnie do końca panowania Elżbiety I. Patrzenie, jak scenarzysta głowi się, by wepchnąć całą galerię bohaterów w sprytny sposób, a w dodatku uzupełnić ją wydarzeniami i postaciami historycznymi, daje jednak kupę radości, może dlatego, że jest nim sam Neil Gaiman. Daredevil, któremu przypada rola niewidomego barda, wznosi w lawernie pieśń o „czwórce z «Fantasticka»": „Cztery śmiałe dusze / w świat pożeglowały / Fantastick zwał się / okręt ich wspaniały.../ był pośród nich kapitan / był również i Lord / był też młodzieniec porywczy / za pasem miał kord / a na końcu dziewica / o licu bladym, ach bladym...". Analogia do żeglarzy jest trafna, bo FF ratuje świat od złoczyńców niejako przy okazji, przede wszystkim chodzi jej o odkrywanie, przemierzanie nowych światów, galaktyk. Ładnie podkreślony jest też związek z czterema żywiołami, z którymi połączone są moce czwórki. Tylko szkoda, że sama ona wypada w tych barwnych puzzlach nijako. Show kradnie jej nie tylko Daredevil, ale nawet tak mało istotne dla fabuły postacie, jak Peter Parker (a raczej Parquagh, tu w roli mało lotnego służącego, który nawet nie potrafi... się wspinać) czy absolutna druga liga universum Marvela – Thor. Nie dość, że Fantastic Four nieustannie otaczana jest innymi bohaterami, to czynią z niej oni tło. Szkoda, bo nawet z pozoru nieciekawego Grimma – twardego, wychowanego na kapuście i wołowinie chłopaka, który odziedziczył po bracie miejsce w ulicznym gangu – da się już sporo wykrzesać. Potrafi być naprawdę zabawny, czego przykład daje seria X4. Niestety, nie jest od gadania, o czym scenarzyści przypominają non stop. Na wstępie X4 musi pobić się z Wolverine'em, którego wita czułym „Siemka, małole". Co z tego, że w dawnych czasach pilotował samolot mając na pokładzie właśnie Logana, że razem pracowali dla kanadyjskiego departamentu H i odbyli na radzieckim terytorium misję szpiegowską pod kierownictwem osławionego Nicka Fury. Bitka musi być. Jeden z fanów wspomina, że w jednym z nich Wolverine o mało co nie odciął Grimmowi twarzy. Budujące, prawda?

Dlatego idąc do kina na Fantastic Four raczej nie będzie się szło na fajną opowieść, a po to, by sprawdzić, jak Ben rozwala wszystko na około, a grana przez Jessicę Albę Sue kręci tyłkiem. Dystrybutorzy określili z góry odbiorcę, zapowiadając jedynie wersję dubbingowaną. Jeden ze scenarzystów pracował wcześniej przy Hulku i Punisherze, co napawa zgrozą. Z drugiej strony mamy prawie 60 mln $ w pierwszy weekend w USA i potwierdzoną drugą część. Ja zaryzykuję kupno biletu, choć nie oczekuję niczego fantastycznego...

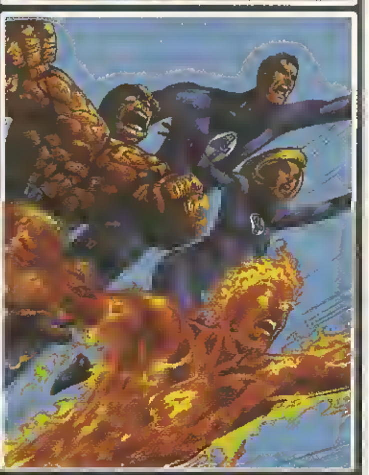

# total chaos

## VIDEO MIESIĄCA

### Adio „Rock"

Minęło trochę czasu od ukazania się pierwszego video firmy Adio. Nagle niespodziewanie ukazała się produkcja nr 2. To, co mi się w niej podoba, to odejście od schematu typowego filmu deskorolkowego – początek, przejazdy poszczególnych teamriderów, końcówka. „Rock" jest podzielony tematycznie, mamy więc relacje z wyjazdów, specjalną część poświęconą lataniu helikopterem i szukaniu spotów. Już na pierwszy rzut oka widać, że Adio wyłożyło trochę pieniędzy na produkcję filmu. Stać ich było na egzotyczne wyjazdy czy wypożyczenie śmigłowca. Twórcy bardzo przyłożyli się do strony graficznej. Jeśli chodzi o jazdę, to bardzo mocna jest część amatorska. Jak w każdej innej firmie amatorzy chcą koniecznie prześcignąć prosów i próbują dużo trudniejszych trików. Najbardziej podobał mi się przejazd Briana Browna, który bardzo spokojnie – ale i pewnie – robi super trudne numery. Na uwagę zasługuje też stosunkowo nowy nabytek w Adio Steve Nesser, którego część ogląda się z zapartym tchem. Szkoda tylko, że dużo materiałów można było zobaczyć w starszych numerach magazynu 411, ale co tam...

Film ten jest bardzo dynamiczny, nie ma w nim ani chwili zamułki znanej z innych produkcji. Wszystko tu się dzieje bardzo szybko i konkretnie. Nie będę pisał o trikach, bo to trzeba po prostu zobaczyć! Uwaga!! Film ten można kupić razem ze specjalnym wydaniem magazynu „Ślizg" – „Ślizg Limited Edition". **pc skate**

### 411

Zmiana wyglądu wyszła na dobre „czterysta jedenastce". Drugi numer w nowej formule jest bardzo miły dla oka i ogląda się go bardzo dobrze. Liczne animacje dodają trikom lajnego klimatu, film nie nuży tak jak poprzednie produkcje. Chaos jest bardzo dobry, występują w nim m.in. skaterzy z nowego teamu Listen, czyli Montoya, Rob G, Brian Brown i Petersen, prezentując bardzo ciekawe numery. Jeżeli oglądaliście film DVS „Skate more" i mieliście pewien niedosyt, to w tym numerze 411 macie „more skate more", czyli cały dział poświęcony teamowi DVS. Najlepsze są jednak w filmie przejazdy – mają je: Kurtis Colamonico, Graham Bickerstaff i Chris Haslam. Zachęcam do sprawdzenia części tego ostatniego – nie ma tam ani jednego triku, który można by określić mianem normalnego. Wszystko jest chore, pojebane i szalone. O dziwo 411 w nowej formie fajnie ogląda się jako całość i nie trzeba robić tego wybiórczo. Szczerze mówiąc, mile byłem zaskoczony po obejrzeniu... **pc skate**

### Final Countdown

Jest to film zrobiony przez kamerzystę 5Boro, Toma Colabraro. Video to nie jest jednak oficjalną produkcją tej firmy, tylko niezależnym projektem. Przedstawia on głównie skaterów z East Coast. Jeśli szukacie tu znanych nazwisk, to marny wasz trud. Nie znaczy to, że film ten jest kiepski. Posiada on to, co każde dzieło ze wschodniego wybrzeża, czyli specyficzny klimat jazdy. Goście ci dużo jeżdżą po ulicach, jarają się dziwnymi miejscówkami, na których się na co dzień nie jeździ. Jednak Final Countdown to nie tylko street. Film posiada bardzo solidną porcję skateboardingu na mini rampach i poolach. Ostatni przejazd ma człowiek, który wygrał Best Trik Contest na naszym Mentorze, czyli Joey Tookmanian. W chwili nagrywania filmu nie jeździł jeszcze dla 5Boro, ale poziomem nie ustępował już profesjonalistom. Powiem tylko, że to, co zrobił w Toruniu, to nie był przypadek, tylko malutki procent jego możliwości.

Muzyka w filmie jest bardzo kontrowersyjna. Zdarzają się bardzo dobre kawałki jak i totalne gówno w stylu MTV. Nie wiem, jakim kluczem kierował się Mr. Colabraro przy wyborze muzyki, ale nie był to majstersztyk. Jednak ze spokojem mogę polecić wam ten film, a sam czekam na nową produkcję Toma, czyli następne video 5Boro. **tOi tOi**

### Digital „Divercity"

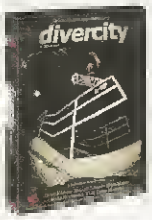


Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem fanem produkcji spod znaku Digital. Zawsze je oglądałem, ale robiłem to trochę z obowiązku. Nie przekonywało mnie nic, co było zawarte w tych produkcjach – zawsze brakowało mi tam klimatu. Najnowsze dzieło duetu Weiss – Crum tylko potwierdza mój osąd. Film jest według mnie całkowicie bezbarwny i pozbawiony jakichkolwiek wibracji (zarówno negatywnych jak i pozytywnych). Jazda, jaką serwują nam skaterzy zaproszeni do udziału filmie, za wyjątkiem Enrique Lorenzo, to typowa papka amerykańsko–ekstremalna, czyli poręcze, schody, poręcze, skalpy, poręcze, poręcze... Ile można takich filmów oglądać? Niestety, Digital w niczym nie różni się od setki innych filmów i dlatego zapomnę o nim następnego dnia po obejrzeniu. Występują: Mark Gutterman, Enrique Lorenzo, Pierre Luc Gagnon, Lewis Marnell i Zered Basset. Każdy z nich bardzo postarał się przy nagraniu, niejeden na pewno otarł się o śmierć w czasie kręcenia i dlatego efekt jest bardzo ekstremalny, ale mało oryginalny. **tOi tOi**

### Wax Mystery

Sami wiecie, jak często przydaje się świeczka deskorolkowcowi, szczególnie jeśli wszystkie murki dookoła są bardzo tępe. Jednak nic tak nie pomoże długim slide'om i grindom jak świeczka Mystery w kształcie serca. Od tej pory w każdą ewolucję będziecie wkładać i własne serce. Byleby nikt go wam nie złamał!!!

### footbag Element

Jeżeli jesteście skejcikami, a do tego lubicie sobie pyknąć w zośkę, ten gadżet jest przeznaczony dla Was. Uważajcie tylko, żeby grać w czystych butach, bo w przeciwnym razie to piękne logo pobrudzi się i ze szpanu nici. Pamiętajcie, że gadżet ten tylko wtedy jest trendy, gdy logo jest dobrze widoczne...

co was kręci
na sportowo
Już we wrześniu rozpoczynamy przygotowania do sezonu snowboardowego. A to ze względu na Igrzyska Turyn 2006, w których wystąpi poważna polsko ekipo freestylowa, no czele z Pauliną i Mateuszem Ligockimi. W każdym programie spora dawka relacji ze snowboardowych spotów na całym świecie - Chile, Kanada, USA. Kończy się amatorski sezon kite'owy i windsurfingowy - w programach podsumowonie tego, co działo się przez cotą wiosnę i lato na akwenoch Polski i nie tylko. Oprócz tego:
deskorolka, wspinaczka, skimboarding, mountainbike, mountainboard,
a także czysta ekstrema, czyli rajdy poduszkowców!
w każdą sobotę 11-13
Hanka Dołęgowska i Tomek Burnos
www.polskieradio.pl/bis
bisms 2100
bis
POLSKIE RADIO

# TOTAL HAŁAS

## MAŁY ESZ ESZ
### w świecie klipów

Siemka!

To znowu my, niezmordowane mrówy. Nie oznacza to, że nie czekamy na chwilę wytchnienia nad fajną wodą z dala od natłoku i miejskiego zgiełku. Zanim jednak oddalimy się, mamy dla Was gościa, z którym pogadamy właśnie na temat teledysków.

**Jesteś dość oryginalnym gościem w naszej rubryce, bo jesteś artystą, który wydał płytę, nie produkując do niej teledysku. Co spowodowało, że nie oglądamy go jeszcze w stacjach muzycznych?**

Pomysł na teledysk jest od dłuższego czasu w mojej głowie. Wydaje mi się, że jest fajny i będę się starał go kiedyś zrealizować. Niestety, fundusze, jakie zostały przeznaczane przez wytwórnię na promocję płyty, nie wystarczyły na pokrycie kosztów realizacji teledysku. Moim celem jest zrobienie zajebistego teledysku, który promuje, a nie deprymuje. To się mija z celem, takie teledyski są z reguły słabe, niczego nie wnoszą i szybko się o nich zapomina, nie mówiąc o tym, że taki teledysk ma marne szanse na emisję w telewizji muzycznej. Jednym słowem, na pewno nie zrobię teledysku za wszelką cenę tylko po to, aby był.

**Skoro jesteśmy przy temacie teledysków słabych i szybko zapominanych, to może jest teledysk na polskim rynku, który tym razem zrobił na Tobie ogromne wrażenie i możesz powiedzieć o nim, że jest super.**

Jasne jest taki. To na pewno klip Kasty do kawałka „Rzucam". To rzadki przypadek przy produkcji teledysku technologią bluebox, gdzie wszystko tworzy całość, to znaczy tło i postacie na nie nałożone współgrają ze sobą. Fajne kolory, stylizacja tła i sam pomysł robi wrażenie i zostaje w głowie. Kolejnym ciekawym teledyskiem, który pozostał w mojej głowie, jest klip do numeru z pierwszej części składanki RBK Hip-Hop Tour „U Ciebie w mieście I". Fajne kolory, spokojne ujęcia bez górnolotnego pomysłu z kilkoma smaczkami. Daje to naprawdę dowód na to, że sukces leży w prostocie. Jest to jeden z niewielu teledysków emitowanych w zachodnich stacjach telewizyjnych, który nie odstaje od teledysków amerykańsko-budżetowych. Trochę innym, ale bardzo fajnym teledyskiem, jest klip Mesa i Blefa do kawałka „List". Tym razem obrazek czarnobiały z nieżytym patentem odwrócenia połowy ekranu, tak aby część obrazka cofała się, a druga była w normalnym tempie.

**A może masz teledysk, który jest tzw. kasztanem, czyli teledyskiem ewidentnie słabym?**

Na pewno jest takich kilka, ale nie będę o nich mówił, bo w moim przypadku nie byłoby to na miejscu, a poza tym łatwo jest krytykować, a trudniej coś konkretnego zrobić.

**A powiedz, jak zapatrujesz się na teledyski, w których obrazek przedstawia dokładnie tekst kawałka?**

Nie przepadam za taką formą, na pewno powinien przedstawiać podobne emocje, ale sama historia przedstawiona obrazkiem nie musi dokładnie odzwierciedlać tekstu. Dobrym przykładem jest teledysk Fisza do numeru „Sznurowadła", w którym to Fisz goląc się, po raz piąty podrzyna sobie gardło. W tym przypadku obraz całkowicie odbiega od treści kawałka zajebiście oddając emocje utworu. Wiesz, swoją drogą to żałuję, że ten teledysk został tak szybko zdjęty z anteny, bo to był dobry, hardcore'owy teledysio.

**OK. Zostawmy innych pogadajmy o Tobie. Pamiętam, że brałeś udział w projekcie Szybki Szmal i zrobiliście do niego tetedysk. Jak teraz z perspektywy czasu oceniasz ten klip?**

Tak, to był pierwszy teledysk, w którym brałem udział. Pierwszy i chyba ostatni, którego scenariusz został wymyślony bez mojego udziału. W efekcie końcowym jest mnie bardzo mało w tym klipie, bo nie mogłem pogodzić się z zamysłem reżysera. Oczywiście, są tego i dobre strony. Mogłem zobaczyć, jak wygląda praca przy teledysku, wiedziałem, czego nie zrobię w następnym i po raz pierwszy zobaczyłem siebie w produkcji telewizyjnej. Patrząc jednak z perspektywy czasu, to cieszę się, że nie śmigał zbyt często.

**Jedno z ostatnich pytań. Może wyda się dość proste, ale... Wymień tytuł jednego teledysku hip-hopowego, może być zagraniczny, który powalił Cię na kolana?**

Tylko jeden?!

**No właśnie, bo jest to „ale". Tak, tylko jeden.**

Mam! Na pewno to jest teledysk The Roots „What they do". Dla mnie ten teledysk, to swoista ikona. Ten klip, jak i kawałek, towarzyszy mi od dłuższego czasu i całkowicie pokrywa się z moim postrzeganiem hip-hopu, łączą się z nim osobiste wspomnienia. Zawsze, kiedy jest emitowany, nie pozwalam nikomu zmienić kanału, ale niestety oglądanie tego teledysku w mojej obecności przez inne osoby nie należy do przyjemności.

**A to dlaczego?**

Znam ten teledysk od deski do deski i, jak się domyślasz, nie mogę się powstrzymać, aby nie uprzedzać o tym, co zajebistego za chwilę będzie.

**A czy pamiętasz jakąś śmieszną historię z planów teledysków, w których brałeś udział?**

Śmieszną? Nie. Tych drugich, mniej śmiesznych, było znacznie więcej i wynikały one głównie z niedogadania pomiędzy artystami albo pomiędzy reżyserami i artystami, ale i te przemilczę.

*No i jak, dobrali[illegible] jak tak, to zapraszamy za miesiąc, a teraz czas na relaks.*

PZDR redAnt

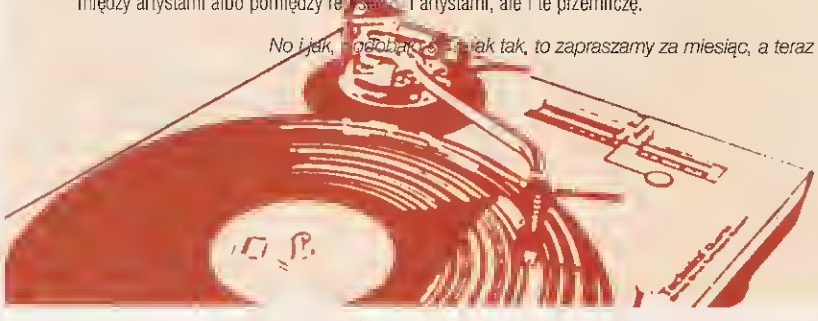

# HIP-HOP W PIGUŁCE

**czyli o czym każdy słuchacz wiedzieć powinien...**
**Część 3. W cieniu...**



## Phife Dawg

A Tribe Called Quest było grupą genialną i z pewnością jedną z najważniejszych w historii rapu. Koniec kropka, bez dyskusji. Q-Tip to z kolei na pewno jeden z tych raperów, o których sympatycy hip-hopu i dziennikarze zajmujący się tym gatunkiem nigdy nie zapomną. Phife Dawg był zawsze w cieniu Tipa, to też nie podlega dyskusji. Czy słusznie? To już temat jak najbardziej do polemiki. Pochodzący z Queens Malik Taylor (rocznik 1970) pierwsze kroki na scenie stawiał jako młody poeta, uczestnicząc w licznych kontestach i konkursach. W 1988 r. wraz z Ali Shaheedem, Jarobim i Q-Tipem założył A Tribe Called Quest. W grupie obecny był od jej pierwszych do ostatnich dni, jednak jego rola malała z każdym albumem. W międzyczasie po prostu rozmijała się wizja muzyki, jaką mieli członkowie grupy. To najlepiej dało się usłyszeć, gdy już po rozpadzie ATCQ obaj raperzy wydali solówki. O ile Q-Tip na „Amplified" poszedł w mocno hitową stronę, o tyle Phife Dawg krążkiem „Ventilation: Da LP" z 2000 r. powrócił do klimatu, z jakiego znaliśmy Tribe. Wspierając się produkcjami Pete Rocka, Hi-Teka czy Jay Dee, nagrał płytę bardzo ciepłą, nawiązującą do oldskulowych korzeni, pełną humoru i pozytywnych, optymistycznych rymów. Później zajął się pomocą młodym talentom, poświęcając też swój czas pomocy trudnej młodzieży. Czasem udziela się gościnnie, m.in. na płytach Will. I. Ama i Truth Enoli.

***Dyskografia:*** *Ventilation: Da LP (2000, Groove Attack)*



## Originoo Gunn Clappaz

Trio będące członkiem Boot Camp Click, znajdujące się jednak zawsze w cieniu filarów BCC – Black Moon'a i Smif-N-Wessun. Starang Wondah, Louieville Sluggah i Top Dog założyli O.G.C. w 1995 r. za namową kolegów z grupy Heltah Skeltah. Wspólnie powołali supergrupę The Fabolous Five, której szczytowym osiągnięciem okazał się fenomenalny singiel „Lellaui Leflah Eshkoshka", okrzyknięty jednym z najlepszych utworów lat 90. W 1996 r. Originoo Gunn Clappaz wydali debiutancki krążek „Da Storm". Promowany kapitalnym singlem „No Fear" materiał był wyprodukowany w ogromnej większości przez członków Da Beatminerz, z małą pomocą E-Swifta (Tha Alkaholiks) oraz Lorda Jamara (Brand Nubian). Płyta uzyskała bardzo dobre recenzje. Doceniono zarówno świetną muzykę, jak i ciekawe rymy tria, jednak nie przełożyło się to na spektakularną sprzedaż albumu. Szkoda – bo „Da Storm" to z pewnością jeden z najlepszych krążków połowy lat 90. Nie da się tego powiedzieć o drugiej płycie zespołu, wydanej już pod skróconą do O.G.C. nazwą. Album „The M-Pire Strikez Back" pozbawiony produkcji Da Beatminerz był po prostu słaby i poza dwoma, trzema utworami nie warto o nim pamiętać. Po wydaniu tej płyty słuch o grupie zaginął.

***Dyskografia:*** *Da Storm (1996, Priority), The M-Pire Strikez Back (1999, Priority)*

## Organized Noize

Producenckie trio, w skład którego wchodzą Rico Wade, Tay Murray i Pat „Sleepy" Brown. To właśnie ich zasługą jest to, że w połowie lat 90. Atlanta zaznaczyła swą obecność na mapie najważniejszych ośrodków hip-hopu i r&b, zdobywając pozycję, jakiej już nie oddała. Zasługą Organized Noize są bity na pierwszych, przełomowych przecież krążkach Outkastu i Goodie Mob, jak również wielkie hity r&b pokroju „Waterfalls" żeńskiego tria TLC. Styl ich produkcji oddawał klimat stanu Georgia – jest to nieskrępowane, odważne i nader eklektyczne łączenie takich gatunków, jak blues, soul, country i nawet gospel. Często bitmejkerzy sięgają w swych produkcjach po żywe instrumenty. W 1996 r. stanęli na czele sub-labela hip-hopowego podległego Interscope, odpowiadając za ściąganie i produkowanie płyt młodych wykonawców. Niestety, po trzech latach współpraca ta się zakończyła, po tym jak (bardzo dobre swoją drogą) krążki m.in. Witchdoctora i Cool Breez'a nie sprzedały się w dużym nakładzie. Wciąż obecni na rapowej scenie, od kilku lat pracowali z powodzeniem hiciory m.in. dla Bubby Sparxxxa, Ludacrisa i...Lil Jona. Warto o nich pamiętać, bo nie da się ukryć, iż wielkie sukcesy TLC, Outkastu czy Goodie Mob nie byłyby możliwe bez ich udziału.

**Andrzej Cała**

# SIŁA DŹWIĘKU

Siła Dźwięk to duet ciekawy, niestety mało u nas znany, choć w historię hip-hopu wpisany szeroko za sprawą barwnych biografii twórców w jej skład wchodzących. Spike, producent i DJ, związany był ze stołecznymi weteranami 2CW – choć obecnie trudno sobie trudno to wyobrazić – wespół z Wigorem (obecnie Mor W. A., lada moment w Prosto płyta z Jurasem) i Wujkiem (Stare Miasto, Embargo Nagrania). W szerszej pamięci skład zapisał się numerem „Dwukrotniecałkowiciewyczesany" z legendarnej składanki Smak Beat Records. Jak widać, zanim część towarzystwa nie poszła w stronę hardcore'ową, druga zaś w trueschoolową, dało się robić coś razem bez dąsów i etykietek. A nasz Spike wkrótce dał się zapamiętać jako DJ Wzgórza Ya-Pa-3, a potem dobry duch gramofonów miasta stołecznego Warszawy. Nigdy nie było wiadomo, jaką będzie mieć fryzurę, nie dało się przewidzieć, co zagra na imprezie, za znak rozpoznawczy służył szeroki uśmiech i sto wariackich pomysłów na minutę. „Jest gościem freakowym na maxa, ale kocham go za jego spontaniczność, pomysłowość i niebanalność", mówi o koledze Kliat, znany opinii publicznej dzięki tańczeniu w zasłużonej koszalińskiej formacji N.A.S.A. I oczywiście występowi przed Janem Pawłem II. B-boying nie jest jednak dla niego obecnie pierwszoplanowy. „Ja troszeczkę odbiłem od tańca ze względu na wiek i kontuzje (...) Nie ma sensu na ślepo gonić młodych, a to oni rządzą na scenie breakowej. Nie będę robił z siebie wariata i się zabijał. Nie można tańczyć całe życie, a całe życie trzeba żyć", zauważa. A jako że nie ma tego złego, co na dobre by nie wyszło, więcej dystansu do breakdance'u pozwoliło rozwinąć bardziej drugą pasję. „Jestem człowiekiem, który lubi sobie dużo porozmawiać, niektórzy mówią nawet, że mam za dużą wyobraźnię. Trochę rapowałem, ale to było gdzieś z tyłu, na drugim miejscu po tańcu. Freestyle w klubie Alfa z Wujkiem Samo Zło, pierwsze imprezy do poprowadzenia, pierwsze nagrane numery. To rosło sobie w siłę". Zanim wyrosło ostatecznie jak ciasto i zmaterializowało się do konsumpcji pod postacią „Funkkrok24" minęło jednak sporo czasu.

Wcześniej mieliśmy do czynienia z fercetem („Nie przetrzymaliśmy próby, nie mogliśmy znaleźć kompromisu. Samoczynnie się to wypaliło" – oto komentarz do pokojowego rozstania z Jaśkiem), mającym za godło cztery elementy hip-hopu. „Wychowywaliśmy się w najlepszych czasach, kiedy to wszystko powstawało, to było najpiękniejsze. Dziś się to kończy, na pierwszy plan wyszły pieniądze, a zabawa została gdzieś w tyle", wspomina Kfiat z nutką nostalgii. Wtedy były zaś koncerty w małych klubach reklamowane własnoręcznie projektowanymi, utrzymanymi w duchu graffiti ulotkami, eksperymenty z żywymi instrumentami i szalony klip do „Raprezentacji Polski", pełen księży, ambulansów, kolorów i zawrotnego tempa. Swoją drogą numer ten wyprodukował nikomu wówczas nieznany (a i dziś niedoceniany, mimo mody na upajanie się jazzującymi brzmieniami) Praktik. Jak na burą i prawilną wówczas do bólu scenę, było sporo zamieszania, z którego, niestety, niewiele wyniklo. „Materiał na płytę, która nie wyszła, był ukończony w całości, ale ze względu na to, że Janek odpadł z zespołu, nie widzieliśmy sensu, żeby go ogrywać. Spalił się i trafił do śmietnika. Potem zrobiliśmy nielegalną płytkę na Internet i dla znajomych – nazywała się „Przedsmak". To sobie fruwało. Mieliśmy też problemy ze studiem, stricte finansowe problemy", wyjaśnia Kfiat. „Aż w końcu powolutku, własnym sumptem zbudowaliśmy swoje. Tak powstał Funkkrok24".

Płyta nazywa się podobnie jak studio. „Album miał być dwupłytowy. Koniecznie chcieliśmy zawrzeć jak najwięcej Siły Dźwięk. Żeby było coś dla tych, co słuchają rapu, albo nie słuchają go w ogóle, ale by chcieli i coś dla b-boyów, którzy teraz przy tym tańczą i trenują, więc, jak widać, na coś się przydało" mówi o jego genezie jeden z twórców. Więcej przeczytacie w recenzji, ale zdradzę, że motorem napędowym jest funk. Bo „jest w nim esencja. Jest na tyle rozbudowany, że jeśli masz słuch i kochasz muzykę, to na sto procent znajdziesz w tym coś dla siebie". Funk niespokojny, pełen niespodzianek, żywy i szorstki. Spike odcisnął w produkcji osobowość, przecież nie mogło być inaczej. Kliatowi było z takim brzmieniem po drodze – „tańczyłem do muzyki funkowej, do Jamesa Browna, do breakbeatów i te dźwięki się zakorzeniły, choć nie stronię od brzmień hardcore'owych", twierdzi.

Cóż, polecamy wam „Funkkrok24", bo to płyta, na której zamiast wielkiego logo Eski mamy na okładce stylowy tag, której reklamą jest odpowiednio zagospodarowany kawałek służewieckiego numeru, nie spot na Vivie. Być może to ostatnia z tak zajawkowych płyt na legalu. Niezdecydowanych odsyłam do recenzji, a na www.slizg.com.pl możecie przeczytać wywiad, który stał się podstawą do tego mini reportażu.

**Flint (CS)**

**UWAGA KONKURS** – 5 osób, które jako pierwsze wymienią choćby jednego gościa obecnego na tej płycie, zostanie nagrodzonych egzemplarzem płyty Siły Dźwięk. Odpowiedzi przesyłajcie na adres mailowy slizg@slizg.com.pl. Powodzenia!

# PASJA:

## ŁONA

O pasji, od której nie ma ucieczki (bo kto zakupił tego typu wehikuł, chce czy nie chce, musi poświęcić mu wiele wolnych chwil i nieustannie koncentrować na nim uwagę) opowie Wam szczeciński raper, znany z nagrywek z Wiele CT i dwóch solowych płyt wydanych nakładem Asfaltu – Łona:

„Cała rzecz zaczęła się wiele lat temu. Nie pomnę, kiedy dokładnie kupiłem za okrągłe 380 złotych polskich zdewastowanego trabanta kombi, nieświadom heroicznych czynów, jakich będę się musiał podjąć, by to cudo w ogóle ruszyło. Po dwóch bez mała miesiącach, przy - co warto podkreślić - zupełnie bezinteresownej pomocy niejakiego Pawła Smolińskiego vel Smolisia, Trabanta udało się uruchomić. Imię Helmut nie jest jakoś szczególnie uzasadnione, nadałem mu je z uwagi na jego wschodnioniemiecką proweniencję. Obecnie miejsce Helmuta zajął Helmut jr, Trabant sedan, którego jego autorzy przewrotnie nazwali trabantem limuzyną. Po dłuższej przerwie spowodowanej spotkaniem ze sztaplarką wraca mozolnie do formy, znów przy czyjejś bezinteresownej pomocy, tym razem mojego zioma z podstawówki, niejakiego Krystiana, by w nowych barwach i z odnowionym wnętrzem, ruszyć niedługo na polskie drogi.

Już od pierwszych dni Helmut wykazywał znacznie więcej rozwagi i umiaru od jego nieopierzonego kierowcy. Setki razy wybawił mnie od śmierci, bądź to wychodząc w tajemniczy sposób z beznadziejnych pozornie poślizgów, bądź omijając z własnej inicjatywy niezauważone przez mnie przeszkody. Zacząłem już wtedy podejrzewać (dziś jestem przekonany), że konstruktorzy zainstalowali w nim SILNIK, czyli System Inteligentnego Lekceważenia Nieudanych Inicjatyw Kierowcy.

Trabant jest w istocie żywym zaprzeczeniem kierunku, w jakim rozwija się współczesna motoryzacja, bowiem podczas gdy wszyscy dążą do budowania samochodów o maksymalnie prostej obsłudze, prowadzenie Trabanta wymaga nie lada koncentracji, począwszy od egzotycznie usytuowanej dźwigni zmiany biegów, poprzez analogowy immobilizer, czyli konieczność przekręcenia odpowiedniego kranu, by benzyna mogła w ogóle popłynąć z baku, skończywszy na nieustannym wirtualnym liczeniu ilości spalanej benzyny (Helmut nie ma żadnego wskaźnika poziomu paliwa), że nie wspomnę o karkołomnych wyczynach matematycznych, by przy każdym tankowaniu dolać mu olej w odpowiedniej proporcji. To zresztą tylko wierzchołek góry lodowej, na, że tak powiem, górę właściwą, składają się nieustanne naprawy.

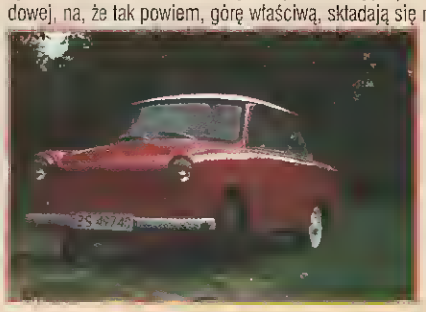

Głównym instrumentem naprawczym jest oczywiście sznurek, można nim np. przywiązać odpadający wydech, o ile się go oczywiście uprzednio nie zgubiło (ja – 2 razy), można również naprawić nim gaźnik, przywiązać drzwi, które nie chcą się zamknąć, bądź przywiązać do siedzenia co bardziej strachliwych pasażerów. O tych ostatnich zaś nielrudno: Helmut już przy prędkości 80 km/h sprawia wrażenie, jakby miał się za chwilę rozpaść, co potęguje jeszcze dramatyczny skowyt silnika. Tu warto jednak obalić ów szkodliwy stereotyp: trabant nie rozpada się pędząc 80 km/h, robi to bowiem przy znacznie mniejszych prędkościach, jak np. mój, któremu udało się zgubić koło wraz z tylnym zawieszeniem przy prędkości 20 km/h.

Pasażerowie i ich zachowania są odrębnym zagadnieniem, warto poświęcić mu nieco więcej uwagi. Webber na przykład, osoba niezwykle często podróżująca Helmutem, po pierwszym przypadku, gdy na zakręcie niespodziewanie otworzyły się prawe drzwi, zawsze zapobiegliwie otwierał okno i mimo moich zapewnień, że już wszystko naprawiłem, przytrzymywał drzwi od zewnątrz, skądinąd słusznie. Rymek zaś swego czasu postanowił poprowadzić Helmuta, co jak już wspomniałem łatwe nie jest, zajął więc miejsce kierowcy, ja zaś usiadłem obok i w ten sposób udowodniliśmy empirycznie, że trabant jest jedynym bodaj samochodem na świecie, który z powodzeniem można prowadzić z siedzenia pasażera. Webber prowadził Helmuta już samodzielnie, ujawnił przy tym swoje rajdowe zacięcie, paląc gumy na każdym biegu. A propos palenia: nietuzinkowy schemat elektryczny często prowadzi do spięć, Helmut więc płonął ze trzy czy cztery razy, jednak większych szkód nie odnotowałem. Niejednokrotnie zdarzało się również, że silnik - w sobie tylko znany sposób - chodził mimo wyciągnięcia kluczyków ze stacyjki. Nie trwało to jednak nigdy długo, gdyż pojazd ów pije paliwo jak smok, ja zaś w baku rzadko miałem więcej niż litr. Co ciekawe, nikt nigdy nie próbował go ukraść, mimo że drzwi można było otworzyć pięciogroszówką, względnie dłuższym paznokciem.

Helmut, jak każdy samochód z duszą, psuje się tylko wtedy, kiedy może. Nigdy nie nawalił, gdy się gdzieś spieszyłem, podczas dłuższych tras również spisywał się dzielnie. Reaguje, gdy się do niego mówi, trzeba to jednak robić powoli, nienatarczywie i w zasadzie po niemiecku, choć opanował już podstawowe zwroty po polsku, jak np. „Helmut, kurwa!"

Trabant jest, nie ukrywajmy, samochodem śmiesznym. Jego kształt, konstrukcja, osiągi i moc są iście żartobliwe. Również literatura nie jest do końca poważna, naczelną książką naprawczą jest słynna pozycja o wymownym tytule „Jeżdżę samochodem trabant", zaś znakomity satyryk, a zarazem posiadacz trabanta Jerzy Dobrowolski miał rzekomo w planach napisanie książki „Mój trabant nie ma przede mną tajemnic". Z tej pierwszej pozycji zapamiętałem zdanie mniej więcej takie: „Jeżeli Twój trabant przyspiesza do 80 km/h w czasie dłuższym niż 38 sekund, należy się udać do stacji diagnostycznej". Trudno się zatem dziwić niezliczonej ilości tzw. trabant-jokes, z których warto przytoczyć choćby ten, jakże bliski smutnej prawdy:

– Z czego głównie składa się instrukcja obsługi do trabanta?

– Z aktualnego rozkładu jazdy autobusów."

wysłuchał Flint (CS)

# BITWA O ANGLIĘ VOL. 2

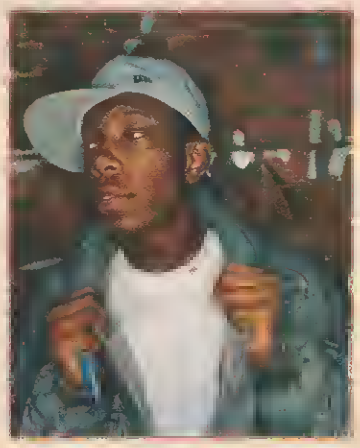

## Dizzee Rascal

Były kiedyś takie czasy, że telewizyjni Indianie mówili po niemiecku, co dla ówczesnych scenarzystów kabaretowych było nieusłającym źródłem żarcików. Teraz Indianie nie za wiele mogą powiedzieć, bo zgodnie z najnowszymi doktrynami demokratycznymi mieszkają w „przytulnych" i „bezpiecznych" rezerwatach, ale to nie o nich dziś będzie mowa. Co jednak mają wspólnego niemieckojęzyczni Indianie z Dizzee Rascalem, dzisiejszym bohaterem naszego cyklu? Otóż, kiedy słyszy się wschodniolondyński akcent tego czarnoskórego dwudziestolatka, odczuwa się dysonans podobny do tego wywołanego przez „ojre rotte frojde" Winnetou. Charakterystyczny sposób mówienia stał się jednym z wielu, ale nie najistotniejszym powodem, dla którego Dizzee przyrównywany jest do przedstawianego Wam miesiąc temu Mike'a Skinnera. Inne podobieństwa między tymi panami to przede wszystkim brzmienie, czyli świetna synteza wszystkich najpopularniejszych brytyjskich odmian muzycznych, a także wyspiarskich evergreenów rockowych, absolutna samowystarczalność twórcza. Rascal to producent i raper (dla tych, którym to drugie negatywnie się kojarzy – wykonawca własnych tekstów), warto też dodać, że jego kariera sceniczna zaczęła się 5-6 lat temu od epizodu turntablistycznego na imprezach... drum'n'bassowych. Ponieważ jednak ten szalony londyńczyk, o definitywnie niejednostajnym flow (nie polecam słuchania go osobom rozstrojonym nerwowo) jest nadpobudliwym dzieckiem ulic i podwórek, kilkukrotnie wyrzucanym ze szkół (podobno za złe ukierunkowaną aktywność – stąd zresztą jego przydomek „rascal", co znaczy tyle, co łobuz czy rozrabiaka), nie usłyszymy w jego utworach „rozmemłania" i użalania się nad sobą. Owszem, jest egocentryczny i lubi opowiadać o sobie, jak każdy artysta związany choć trochę z hip-hopem, dodatkowo jest też zadziorny i nieprzewidywalny. Nie krępuje się nawinąć o tym, że w razie problemów mógłby przyłożyć jakiejś suce. Sympatię Brytyjczyków zjednał sobie za sprawą singla „I luv U", w którym porusza problematykę stosunków damsko-męskich z wrodzonym wdziękiem i oczywiście szczyptą szowinistycznej bezczelności. Ostatecznie dzięki debiutanckiemu albumowi „Boy In Da Corner" (wbrew temu, co mówi jego tytuł), Rascal zmienił się z podziemnego wykonawcy w pieszczocha mediów i ulubieńca publiczności. Od Greenwich po Nowy Jork recenzenci wychwalali progresywne brzmienia, i bezkompromisowość Brytyjczyka, widząc w nim przyszłość dla muzyki. Zauważyli go nie tylko pismacy z opiniotwórczego w USA „Rolling Stone'a", ale i trzymający rękę na pulsie reporterzy z większych dzienników. Jury decydujące o przyznawaniu prestiżowych nagród Panasonic Mercury Music Prize doceniło talent rapera wręczając mu w 2003 roku czek na 20000 funtów. Oczywiście sytuacje takie zawsze dopingują wszelkich hejterów internetowych – na forach rozgorzały dyskusje o wyższości pozostałych nominowanych, o beznadziejności, o odtwórczości brzmienia garage czy hip-hopu, o poprawności politycznej i o tym, czy ta nagroda w ogóle coś znaczy. Dizzee ogólnie miał Jo gdzieś, o samej nagrodzie dowiedział się dopiero, gdy otrzymała ją Ms. Dynamite (o której, mam nadzieję, kiedyś Wam napiszę), a hajs przydał się do nagrania kolejnej płyty.

Drugi album, „Showtime", gotowy był w niecały rok po debiutanckim krążku i wywołał podobne zamieszanie na rynku muzycznym. O tym, że Rascal nie zasypia gruszek w popiele, można się przekonać obserwując nie tylko jego dynamicznie rozwijającą się solową karierę, ale i rosnącą popularność Roll Deep Crew – grupy, z którą związany jest zarówno Dizzee, jak i Wiley, o którym także mimochodem już wspominałam w poprzednim Ślizgu (obiecuję, będzie go więcej!). Wspólny album wschodniolondyńskiej grupy wpisuje się w tak zwany nurt muzyki grime, a nawet wynosi go na nowy poziom. Czym jest grime? Jeszcze o tym będzie, ale pokrótce – następcą tego, co w latach 80. określano mianem electro, house'u i techno, a w latach 90. drum'n'bassu czy garage'u. Proste? Pewnie niekoniecznie, ale może chociaż odrobinę przybliża Wam dość zróżnicowany charakter twórczości Dizzee'ego, przynajmniej na tyle, by sięgnąć po jego nagrania.

Cess (CS)

# mentor skate session

**To już czwarta edycja MSS. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze kilka lat temu nie było u nas imprezy deskorolkowej z prawdziwego zdarzenia. Teraz po raz pierwszy Mentor miał w Polsce konkurencję w postaci zawodów Etniesa w Krakowie, gdzie stawiła się cała europejska elita skateboardingowa. Do Torunia jak zwykle ściągnęła cała plejada polskiej deskorolki. Z gości zagranicznych przybył team Globe, Anglicy, Szwedzi, Niemcy i ekipa 5-Boro, która wyjechała najbardziej zarobiona (ale nie uprzedzajmy faktów...)**

**tekst Pc skate**
**foto Wojtek Antonów / WZRR**

Skatepark w stosunku do poprzednich lat był trochę zmieniony, jednak większość różnic polegała na zamianie miejsca przeszkód bądź zwiększeniu wysokości murków. Nowe wielkości nie za bardzo przypadły do gustu leniwym Polaczkom, którzy nie lubią utrudnień, ale za to wcale nie przeszkadzały gościom którzy śmigali po nich jak wściekli. Dzięki Bogu, że przyjechało tych kilku skejcików z zagranicy, bo gdyby nie oni, zawody wyglądałyby następująco: croocked, smith, upadek i flip na banku. Przyjezdni pokazali, że do jazdy można też wykorzystywać inne rzeczy oprócz murków.

Piątek jak zwykle był dniem rozgrzewek. Muszę powiedzieć, że od razu zauważyłem różnicę w jeździe Polaków i gości. Nasi jeździli przez cały piątek bez przerwy, tak jakby ktoś miałby im zabrać tor. Natomiast przyjezdni przyszli sobie na dwie godzinki, sprawdzili skatepark, zrobili kilka niezłych trików i zawinęli się robić ciekawsze rzeczy. Rezultat tego był taki, że w sobotę większość Polaków nie mogła wstać ze zmęczenia (jak również ze względu na morze procentów przyswojonych na wieczornych imprezach – ale to nie tylko Polacy).

Sobota była dniem kwalifikacji i – tradycyjnie – najnudniejszym etapem imprezy. W poprzednim roku miałem przyjemność sędziować te zawody i dlatego mam ogromny respekt dla ludzi, którzy muszą przez cały dzień gapić się na nieudane próby croocked grindów i smithów. W tym roku, co prawda, nie było już takich mistrzów, którzy nie umieli dille, ale mimo tego zapisywali się do startu, jednak momentami było bardzo nudno. Sytuacja się ożywiała, gdy tylko pojawiał się jakiś bardziej znany zawodnik – wtedy niezależnie od wyników jazdy publika biła brawo.

## mentor skate session toruń 2005

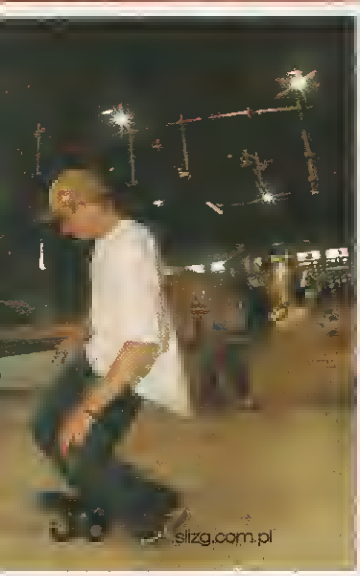

Tomek Bieteniuk
kick flip

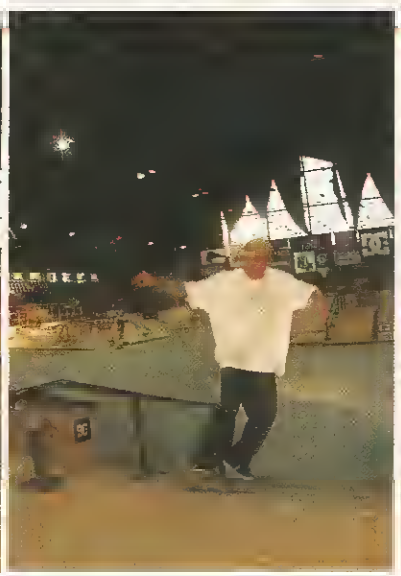

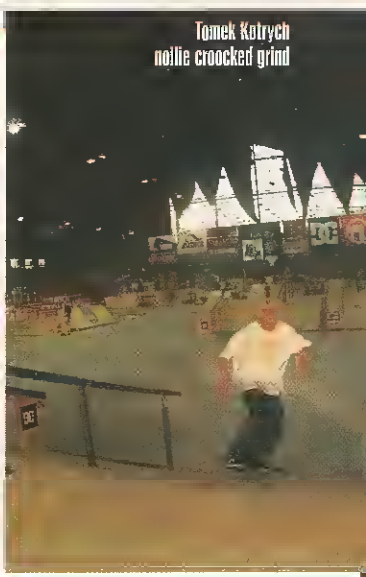

Tomek Katrych
nollie croocked grind

# mentor skate session

Joey Tookmanian
sw. bs. tail slide

To już nie były te czasy, gdy do następnej rundy przechodzili wszyscy, którzy jako tako trzymali się na desce. W czwartej edycji zawodów poziom się nieco podniósł i dlatego żeby awansować, trzeba było się trochę wysilić. Najśmieszniejsze było to, że „główne gwiazdy" kontestu, czyli teamy 5 Boro i Globe, przyszły tylko na swoje przejazdy, a po skończeniu własnego startu od razu wynosili się z imprezy – to się nazywa rutyna. Oczywiście nie przeszkodziło im to w zajęciu wszystkich czołowych miejsc w półfinale.

Niedzielny finał, w którym rzecz jasna zabrakło reprezentantów naszego kraju, przebiegał zgodnie z oczekiwaniami, czyli było bardzo ciekawie. Zagraniczni skaterzy dopiero tego dnia zaczęli naprawdę się starać, wiedząc, że można wygrać całkiem niemałą sumkę. Wysoko latał król niemieckich kontestów, Tobias Albert. W swoich przejazdach jak zwykle łączył ogromne flipy z grabami. Czarnoskóry Georges z Francji jeździł bardzo skupiony, jego triki różniły się jednak od tego, co proponował Albert. Francuz pokazał typową streetową, europejską jazdę pełną grindów i slide'ów. Najbardziej zapamiętałem jednak przejazdy dwóch Amerykanów. Pierwszy z nich to Brandon Westgate, który należy do tego samego gatunku skate-robotów, co Rodriguez, Herman czy Spanky, bo wychodziło mu absolutnie wszystko. Zaprezentował on to, z czego słynie amerykański skateboarding: prędkość, precyzję i wysokie flipy. Zupełnie inaczej jechał jego kumpel z teamu, Willy Akers. Jego styl to totalny luz i przyjemność z jazdy. Był on najbardziej kreatywną osobą w skateparku, atakował przeszkody w taki sposób, jak nikt inny – skatepark miał dla niego zupełnie inne zastosowanie niż dla pozostałych. Nic dziwnego, że to właśnie jemu przypadło pierwsze miejsce.

Najlepszą częścią zawodów był best trik. Rzadko się widzi takie numery, jak w tym czasie w Toruniu. Aktorów tego przedstawienia było dwóch: Joe Tokmahian i Tobias Albert – reszta się nie liczyła. Tych dwóch panów stoczyło śmiertelny bój na triki. Joe upodobał sobie największą hubbę, natomiast Tobias ogromną ścianę do wallride'ów. Rezultat był taki, że Amerykanin zrobił prawie wszystkie triki na switch (sw. bs tail, sw. bs 5-0, sw. bs smith...), a Niemiec blunt to fakie na ścianie śmierci. Do końca nie było wiadomo, kto ma wygrać, jednak zwycięzcą został Joe i chyba dobrze się stało.

Czwarta edycja MSS udowodniła, że i Polak potrafi (przynajmniej organizować imprezy) i mimo delikatnych potknięć uważam ją za bardzo udane przedsięwzięcie. Oby tak dalej.

# will smith

## stać mnie

Na okładce nowej płyty aktor i raper Will Smith stoi z opuszczoną głową przy drogowskazie, którego jedno ramię wskazuje West Philly, drugie zaś Holywood. Nie ma co jednak dramatyzować, na razie idzie w obie strony. I ma powody do uśmiechu, zresztą jakby nie miał, to pewno i tak by się uśmiechał...

tekst Marcin Flint (CS)

### Ironia i zazdrość

„To, o czym mówi Jazzy Jeff i tego typu raperzy, jest fałszywe, człowieku", twierdził MC Ren w wywiadzie danym szesnaście lat temu „Los Angeles Times". „Oni nie mówią o tym, co tu dzieje się naprawdę. Mówią o tym, z czym biały świat i białe dzieciaki mogą się identyfikować. Jeśli jesteś czarnym małolatem z ulicy i ktoś nawija o niezrozumieniu rodziców (a wtedy Jazzy Jeff i Fresh Prince dostali właśnie nagrodę Grammy za kawałek na ten temat – przyp. red.), to śmiejesz się z tego. Mogłeś nie mieć rodziców albo mieć takich, którzy wpadli w crack i prostytucję".

Kiedy przeczytałem ten wycinek we wkładce do płyty NWA, zacząłem zastanawiać się nad tym, jaki los jest perfidny. Po pierwsze, gangsta rap w wydaniu NWA to jeden z większych magnesów dla białych przedmieść, które słuchały z wypiekami na policzkach tego, co zabronione, co powszechnie potępiane i co było jedynym hardcore'em w ich wygodnych i cokolwiek nudnych życiach. Świetnie parodiował to w swoim czasie zespół Offspring za pomocą klipu „Pretty fly for a white guy". Wywożony biały małolat w przydużych ciuchach kupił w nim płytę Vanilla Ice, bo akurat nie mieli Ice Cube'a. A to Ice Cube był właśnie mózgiem NWA i podobno autorem większości tekstów zespołu. A kim jest po latach? – cokolwiek zapomnianym rap weteranem i aktorem „błyszczącym" w mizernej kontynuacji „xXx" – takiego młodzieżowego Bonda. Will Smith zaś wciąż jest grany i wciąż gra. Jego klipu do „Switch" wciąż trudno uniknąć w muzycznych telewizjach, a występy aktorskie nie schodzą nigdy poniżej pewnego poziomu, ciesząc publiczność. Nie wygląda jak wkurwiony owłosiony pączek, a raczej jak ktoś, komu się udało. Ktoś, kogo stać na dużo, a nawet jeszcze więcej. A że niektórzy nigdy nie będą go szanować za emceeing... Cóż, kiepsko być raperem w momencie, gdy garnitur leży na tobie, jakbyś się w nim urodził, a twój wdzięk osobisty działa jak magnes. Masz na karku czterdziechę, ale za cholerę tego nie widać. Wtedy budzisz nie uznanie, a zwykłą zazdrość.

### Kolejny Smith?

Na początku nie był ani fresh, ani prince, ot, kolejny czarny Smith na ulicach. Dzieciak tzw. klasy średniej w zachodniej Filadelfii, syn właściciela firmy produkującej lodówki. Ścisły umysł. Od dwunastego roku życia był tego wzrostu co Jeraz, za to ważył potowę mniej. Pomyślcie, jak musiał wyglądać. Nie dziwne, że dziewczyny obiecywały wielkiemu ołermie ostatni taniec i niknęły w ramionach innych. Sam mówi, że seks-symbolem stał się dopiero po „Bad Boys" i śmieje się, że gdyby miał „zapominacz" z „Men in Black" użyłby go do seksu, a raczej po nim: „Po wszystkim mógłbym go użyć i powiedzieć: hej, byłem najlepszym jakiego miałaś". Obie jego żony to zresztą aktorki poznane na planach filmów, ale z drugą, Jadą, połączył go hip-hop. Jadąc wozem na randce, puścił „Apache" Sugarhill Gang, a Jada zareagowała wrzaskiem, bo okazało się, że to jej ulubiona piosenka. Co ciekawe, podczas gdy pani Pinkett-Smith jest rozpoznawana z roli w sequelach „Matrixa", Will odrzucił rolę Neo – a przecież wydawałoby się, że to marzenie wielu adeptów sztuki aktorskiej. Ostatnio odrzucił propozycję gry w pełnometrażowym „Miami Vice" (dodajmy, że jego partnera, Sony'ego Crocketta, miał grać sam Colin Farrell). Cóż, można być wybiednym mając 20 milionów zielonych plus 10 procent od zysków za „Men in Black 2" (choć podobno zrobił to głównie dla syna, bo przecież każdy dzieciak chce, żeby jego stary wciąż był facetem w czerni), dwadzieścia milionów plus 20 procent (!) za drugą część „Bad Boys", 28 baniek za „Ja, Robot". Nie stać go?!

### Programowo grzeczny

Ale jest to coś, co powoduje, że Smith przyjeżdża do Londynu na premierę filmu i zapodaje ludziom rap z czerwonego dywanu dla vipów. Coś, co sprawia, że w pokoju hotelowym nagrywa kawałek na swoim laptopie, a lecąc samolotem w kolejne miejsce – miksuje go. Trzeba jakoś realizować potrzebę wolności. Reżyser mówi ci, co masz robić, w rapie decydujesz o tym sam. A jeśli robisz go, odkąd skończyłeś 13 lat, to może być nawet jak nałóg. Bo jak to się właśnie zaczęło. Will miał 13, ale jego przyszły producent i DJ już żyli dziesięć. „Pracowałem z 2000 ekip zanim znalazłem tego maniaka!", mówi Jeff. Bo bohater artykułu nie tylko nagrywa rapy, których słucha jego własna matka. Owszem, można się śmiać, kiedy tłumaczy w utworze, że nie przeklina, bo chce być praworządny, by nie zawieść Boga, a kiedy w emocjonalnym utworze o narastającym napięciu „Tell me why" zdarza mu się „fuck" – jest wypikane. Przede wszystkim nagrywa dobre rapy z jedną skazą – nawet jeśli są bitewne, brzmią jak impreezowe hity. Może chciałby inaczej, mówi o tym w tekstach, że czasem chciałby pojechać po oponach jak hołubiona czołówka mc, ale nie może, bo on jest po prostu tym grzecznym chłopcem, tym uśmiechniętym, dobrotliwym, szczęśliwym typem, którego zawsze spotykamy w filmach, nigdy zaś w autobusach. A rap definiuje jako stuprocentową szczerość wobec siebie. Ale usłałmy jedno – nie jest słaby. Jeżeli razem z Jeffem gra 65 koncertów z Run D.M.C., to nie jest to przypadek. Jeżeli przez jego albumy przewijają się Camp Lo, Biz Mark, Slick Rick, MC Lyte, Kool Moe Dee, Eve, Snoop Dogg, czyli kawał wciąż żywej historii hip-hopu, a na najnowszym krążku w jednym z tracków wokale podbija mu legendarny DJ Kool, zaś w innym przy muzyce pomaga Raphael Saadeeq, to też nie jest przypadek. Albo go szanują, albo stać go na to, żeby ich szacunek sobie kupić. Choć policzyli mu pewno po znajomości, bo bawili się przecież kiedyś na takich samych block parties.

### Z pozycji siły

Jest w tym jego stylu coś bezczelnie amerykańskiego – po pierwsze pewność siebie, po drugie argumentowanie z pozycji z siły. W dużej mierze ekonomicznej, bo słynie z wersów w rodzaju „ciężko się ukryć, kiedy żyjesz tak grubo", „bez miłości dla hejterów, hejterzy / oni się wściekają, bo na meczu Lakersów siedzę na podłodze przy linii boiska", „czytałem, że w Rap Pages określają mnie jako miękkiego (ang. soft) / Ja, bardziej, jak Microsoft" i tak dalej. To ktoś, kto w stronę pyskatej i nienawistnej dziennikarki może postać punch w stylu „Dziewczynko, zostaw mnie w spokoju / zanim nie kupię twojej rozgłośni i nie wyślę cię na trawkę". Co więcej, to ktoś, kto może wprowadzić swój wers w życie! Patrząc na katalog sampli na płytach, widać, że ich „czyszczenie" musiało kosztować więcej niż czyszczenie obrzeży autostrad z puszek i kondomów. The Clash, Stevie Wonder, Duke Ellington czy motyw przewodni z serialu o Spider Manie – na Jo nie może pozwolić sobie każdy. On tak. Bo właściwie może wszystko – stać go na autoironię i grę w filmie, w którym główny bohater bezlitośnie miesza jego rap z błotem jak w „Jersey Girl" Kevina Smitha. Stać go, by nagrać płytę taką jak „Born To Reign", która cechowała się sporym muzycznym wysublimowaniem i o ile w miarę zadowoliła krytyków, to jej sprzedaż podeszła ledwo pod ćwierć miliona egzemplarzy. Stać go na rozpętanie burzy poprzez krytykę własnego prezydenta w zagranicznej prasie, choć przy jego pozycji, image'u i odbiorcach to zagranie ryzykowne. Stać go na to, by nie przejmować się czymkolwiek. Czego pozostaje nam wszystkim sobie życzyć.

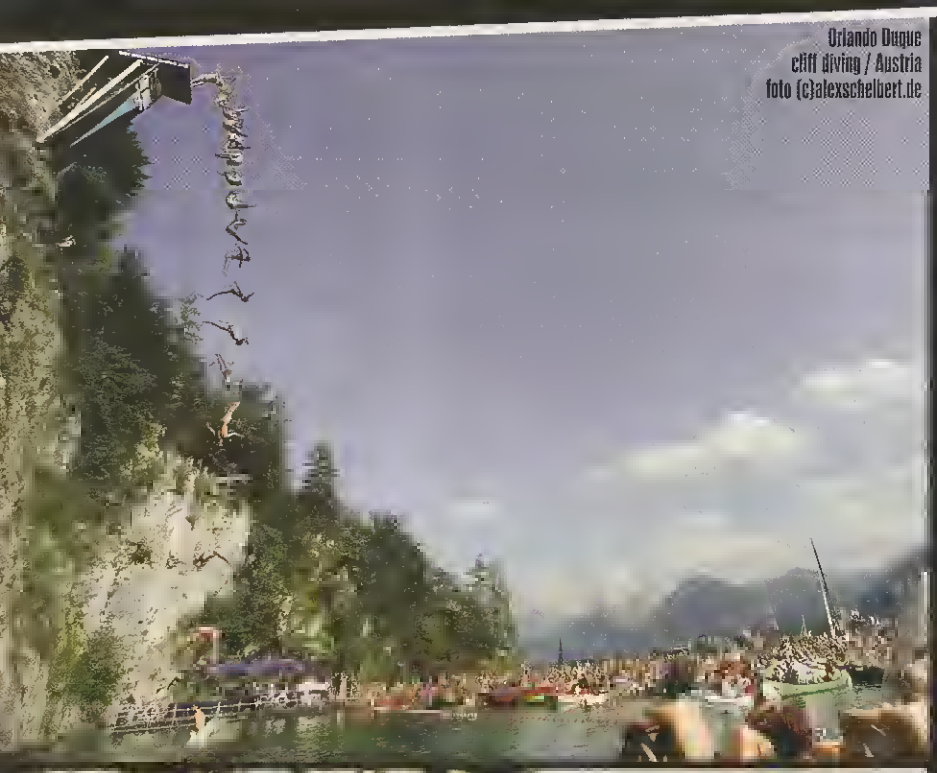

Orlando Duque
cliff diving / Austria
foto (c)alexschelbert.de

Dustin Webster
cliff diving / Włochy
foto (c)Ku

# ADRENA

tekst Wojtek Antonów / WZRR

Adrenalina. Słowo klucz w świecie sportów ekstremalnych. W świecie, w którym trwa ciągła pogoń za nowymi wyzwaniami, za przełamywaniem nowych barier, w którym trwa ciągła pogoń za adrenaliną. Tylko czym tak naprawdę jest adrenalina? Według biologii, jest ona ubrana w tadną regułkę mówiącą o pobudzeniu receptorów alfa, które powodują wzrost ciśnienia krwi, przyspieszają pracę serca i oddychanie. W przypadku, który nas interesuje, czyli sportów i innego rodzaju wariactw powoduje po prostu podniecenie. Serce wali tak, jakby miało wyskoczyć z piersi i niektórzy kochają to uczucie ponad wszystko i za wszelką cenę dążą do tego żeby być pobudzonym właśnie w ten sposób. W niektórych przypadkach można wręcz mówić o „uzależnieniu" od adrenaliny – jest to możliwe, gdyż w wyniku jej działania wzrasta u człowieka poziom dopaminy, endorfiny i serotoniny, które dają efekt „podobny" do działania narkotyków. „Kiedy stoję na wysokości 20 metrów, na samym skraju skały, pod sobą mam tylko wodę, koncentruję się maksymalnie, przestaję widzieć wszystko dookoła, wiem tylko, że muszę skoczyć. Serce wali mi jak oszalałe, na swój sposób się boję, ale jest to przyjemne, bo wiem, że za chwilę pokonam swoją słabość i polecę w dół. To walka z samym sobą, swoim ciałem i przestrzenią. Uwielbiam to czuć" – mówi jeden z włoskich skoczków do wody biorący udział w imprezach Red Bulla polegających na skokach do wody z 20-, 30-metrowych skał.

Skoki do wody są tylko jednym z wielu sportów ekstremalnych, dzięki którym można poczuć ten szalony przypływ adrenaliny. Tak naprawdę granicę naszych możliwości i uczucia temu towarzyszące można osiągnąć w praktycznie dowolnej dyscyplinie. Ważne, żeby była to kombinacja szybkości, wysokości i dużego ryzyka. Czy możemy spłynąć kajakiem, gdy na drodze staje nam trzydziestometrowy wodospad? Oczywiście. Musimy tylko do tego mieć sporą dawkę odwagi, odpowiedni sprzęt i dużo szczęścia. Skoki na gumowej linie – skoki bungee – są ni-

Felix Baumgartner
B.A.S.E. Jumping / Messina, Włochy
foto (c)Bernhard Spöttel

czym innym jak „maszynką" do wyzwalania przypływu adrenaliny. Przed skokiem człowiek się boi, ale skacze, w locie czuje rosnące podniecenie i ogarniające go uczucie euforii, po udanym skoku czuje po prostu szczęście i zaraz chce skakać jeszcze raz, żeby poczuć tę karuzelę uczuć ponownie.

Oczywiście, podniety tego typu nie działają na każdego, ale dla wielu „szaleńców" zajmujących się różnymi dziwnymi formami aktywności fizycznej są celem samym w sobie. „Kiedy stoję na jednej z tych mega wielkich ramp, zastanawiam się – w co ja się władowałem? I modlę się, żeby tylko przeżyć. Po czym jadę, skaczę, robię trik, lądują i... jestem tak naładowany adrenaliną, że znowu biegnę na górę i... znowu zadaję sobie to samo pytanie – co ja tu do cholery robię? I tak w kółko. Adrenalina pcha mnie do góry, a strach każe zjechać mi na dół!" Tak Danny Way, skater który przełamał wszystkie możliwe rekordy w skokach na deskorolce, opowiada o swoich uczuciach nakręcających go do kolejnych prób.

Do takich wyczynów trzeba być oczywiście bardzo dokładnie przygotowanym, pewnym swoich umiejętności, posiadać odpowiedni sprzęt i mieć wszystko zaplanowane od a do zet. I do wszystkiego trzeba dochodzić powoli.

Alain Robert, francuski wspinacz, który uprawia najtrudniejszy rodzaj wspinaczki – bez asekuracji – uprawia ten sport od ponad dwudziestu lat. Od początku miał talent, jednak to, co uczyniło go sławnym, przyszło dużo później. „Pokonałem wszystkie najtrudniejsze drogi wspinaczkowe w Europie i większość na świecie. Szukałem wyzwania dla siebie i będąc w Nowym Jorku, widząc wszystkie te drapacze chmur dookoła, poczułem się jak w dolinie otoczonej nie zdobytymi ścianami". To było to. Alain Robert zaczął wspinać się po wszystkich największych budynkach na świecie. W samym Paryżu zaliczył ich około 20. W Chicago wdrapał się na słynny Sears Tower mierzący ponad 400m. Tam też przeżył najcięższe chwile w swojej karierze, wisząc na krawędzi ostatniego piętra przez półtorej godziny z powodu ciężkich warunków, wiatru i mgły. „Wspinaczka bez lin, w górach i na budynki, jest czymś, co naprawdę lubię, jest moim życiowym wyborem. To dla mnie źródło głębokich przeżyć wewnętrznych, odczuć nieosiągalnych w życiu codziennym. Boję się raczej przed wszystkim, bo w czasie wejść jestem bardzo skoncentrowany i myślę jedynie o sposobie poruszania się do góry. Adrenalina, chęć zdobycia szczytu i moje umiejętności pozwalają mi na osiągnięcie celu i pokonanie wszelkich przeciwności", mówi Robert o swojej pasji. W 1998 roku Alain wspiął się po 140-metrowej szklanej elewacji hotelu Marriott w Warszawie. Jeszcze jedną ekstremalną stroną jego wyczynów jest to, że prawie za każdym razem po zdobyciu „szczytu" jest aresztowany i w przypadku wejścia na budynek w Chicago groził mu aż rok więzienia.

W podobnej sytuacji jest najsłynniejszy skoczek spadochronowy świata, Felix Baumgartner. Jemu także przestały wystarczać „zwykłe" skoki spadochronowe i zajął się B.A.S.E. jumpingiem – skokami ze spadochronem ze skał, budynków i innych konstrukcji. W swojej karierze Felix zaliczył już między innymi skoki ze słynnej Petronas Tower w Malezji, z figury Jezusa w Rio de Janeiro i mostu łączącego Amerykę Północną i Południową w Panamie. Prawie wszędzie po skokach czekała na niego policja z kajdankami.

Takie właśnie atrakcje i towarzysząca tego rodzaju sportom otoczka przyciąga kibiców, fanów i – co najważniejsze dla sportowców – sponsorów, bez których nie mogliby oni w tak widowiskowy i beztroski sposób uprawiać swoich szaleństw.

Tak więc adrenalina oprócz tego, że nakręca ludzi do różnego rodzaju szalonych działań, może też być dobrze sprzedającym się towarem i sposobem na życie. Sposób na życie? Skacząc z dachów najwyższych budynków na świecie? Hmm, dość ryzykowne zajęcie. Dlatego ci, którzy tworzą ekstremalny świat, wiedzą, co robią i są ekspertami w dziedzinach, którymi się zajmują. Felix tak mówi o sobie i swoim życiu: „Zajmuję się tym od wielu lat i nigdy nie miałem żadnego wypadku. Podchodzę do tego bardzo profesjonalnie, ale ludziom wydaje się, że robię szalone rzeczy i nie przejmuję się swoim życiem. Wiem wszystko o tym, czym się zajmuję, o tym, jak się przygotować do moich skoków. Nie jestem narwanym szaleńcem szukającym tylko podniety, możliwości zarobienia pieniędzy, zrobienia szumu wokół siebie. Dla mnie najważniejsze jest rzucenie wyzwania i za wszelką cenę zwyciężenie, a nagrodą jest uczucie, które temu towarzyszy". Uzależniony od adrenaliny?

Jednym z pionierów adrenalinowego szaleństwa był słynny Evil Knievel, motocyklista, który w latach 70. w Stanach zapoczątkował freestyle na motorach. Jako jeden z pierwszych ludzi skakał na swym motorze przez samochody, autobusy, cały czas zwiększając odległość i szukając nowych wyzwań. Jako podsumowanie tego raportu o adrenalinowych szaleńcach niech posłuży jego odpowiedź na pytanie „Czemu to robisz, Evil?" postawione w jednym z licznych wywiadów, których udzielił: „Po prostu muszę to czuć, bez tej prędkości, bez tej adrenaliny nie byłbym sobą. Robię to dla siebie, potrzebuję tego i to kocham". Amen.

# ADRENALINA

„... W ten sposób mogę naładować się adrenaliną i żyć przygodą, to lepsze niż picie czy wstrzykiwanie sobie czegokolwiek, tak jak to robią niektórzy ludzie"
– **Alain Robert alias Spiderman** o tym, co robi.

„Wszyscy mamy limity, nie wszyscy jednak je akceptują"
– motto **Felixa Baumgartnera**

Juan Ventura Sanchez Finger
B.A.S.E jumping / Alicante, Hiszpania
foto (c)DanielGrund.com

# trzy powody

**Wszyscy wiemy, kim jest Nasir Jones. Natomiast część z nas może zastanawiać się, co przyczyniło się do jego sukcesu. Moim zdaniem, ma on trzy zasadnicze powody**

tekst Marcin Flint (CS)

### Pierwszy powód

Pierwszy powód to styl. Kool Moe Dee pisał w swojej książce, że o ile Jay-Z czerpał z flow brudnego południa i przeniósł jego dokonania na pole Nowego Jorku, to Nas ostatecznie spopularyzował rapowanie offbeatowe. Fakt, był tak „nasty", że nawet werble nie trzymały go w ryzach, ale to tylko techniczny aspekt. Mówiło się wiele i pisało o unikalnym zderzeniu szorstkości z liryzmem, choć nie można z tym przesadzać, bo poezja jest tu jak cenna przyprawa, o której wiadomo, że należy ją oszczędnie dawkować, by smakowało tak jak potrzeba. Ambicje Nasa idą w stronę scenariuszy i książek, potrafi zaskoczyć swoimi horyzontami, ale nie zapomnijmy, że jednak na „Illmaticu" lubił być tym, co drze cudzoziemcom zielone karty i kroi ich z portfeli i biżuterii, żeby było na solidnego skręta z haszyszem. Jego atutem jest tajemniczość uzyskiwana poprzez nagromadzenie symboli, krótkie, plastyczne, niewyjaśnione szerzej odwołania. Choć często jest u niego z tym jak z historią u Dana Browna, czerpie to, czego potrzebuje, by być efektownym. Pamiętacie go ukrzyżowanego na klipie do „Hate me now"? Widzieliście apostołów na okładce „Street's Disciple"? Zauważyliście, że album ma 27 piosenek, tak jak Nowy Testament ma 27 rozdziałów? Świetnie, z tym, że otoczony przez chrześcijan Nas był przez moment bliski Islamu, obecnie nie związany zaś jest z żadną religią, tak więc nie wynika to specjalnie z jego duchowości. Ale za to intrygująco się prezentuje, podbudowując jeszcze i tak już rozbudowane ego. Główną zaletą jest jeszcze co innego. Na pewno kojarzycie słynny, bardzo popularny w dj'skich cutach wers: „Nigdy nie śpię, bo sen jest kuzynem śmierci". Słuchając tego rapera można było uwierzyć, że nie spał, a czas uzyskany w ten sposób przeznaczał na myślenie i na przyglądaniu się swojemu miastu. Osiągnął ten „nowojorski stan umysłu" (swoją drogą, słowo „state" ma 21 znaczeń). Pozornie zwykła rzecz, jak zarymowanie listu do przyjaciela z więzienia, była większym szokiem niż rapowanie historii od tyłu kilka płyt później. Ale ten koleś tak wyłapał esencję z codzienności, że zimny pot z miejsca oblewał plecy. W wywiadach określa tę umiejętność jako „nową społeczną świadomość". Ostatnio kunszt obserwacji ugiął się trochę pod ciężarem moralizatorstwa, ale i tak jest bardzo, bardzo dobrze.

### Drugi powód

Nas poznał szybko prostą zasadę – dajesz respekt, to i otrzymujesz respekt. Sprawdziło mu się to na niwie rodziny, sceny lokalnej, wreszcie na globalnej hip-hopowej arenie i pośród panteonu legend. Nie sprawdziło zaś w wypadku Kelis, która musi znosić gorące wersy o ex-panienkach w imię artystycznej wolności wybranka i w wypadku publiczności w Europie, która została wystawiona ostatnio w wyniku kłótni artysty z menadżerem, ale to przecież detal. Ojciec Olu Dara był, jak to się mówi, niespokojną duszą, która nigdzie nie mogła zagrzać miejsca. Ale zagrzał je zarówno na pierwszej płycie w „Life's a bitch", gdzie jego solo na trąbce kończy numer, jak i na ostatniej płycie, gdzie w porywającym „Bridgin the gap" ma już rozbudowaną partię wokalną. Podczas gdy Jay-Z wyciągał łapy po koronę Nowego Jorku, gdy jeszcze nie zdołano przebadać wszystkich kul, które przerobiły Notoriousa na sito, Nas wykazał opanowanie i nie omieszkał wytknąć „wielkoustemu" nachalnego głodu sławy. A zarazem mówił, że jedynym raperem, który wyróżniał się „duchem wojownika" był Tupac Shakur. Wśród tych, którzy tymże duchem się wyróżniali, wymieniał jeszcze Lumumbę, Malcolma X, Alego i legendę komików, Richarda Pryora, więc towarzystwo miał Pac nieficie. Kokieteryjnie nieco zauważał, że mając 10 lat więcej niż on, nie osiągnął choćby w przybliżeniu tego stanu ducha. Mniejsza o to. Nowojorskie Queens konsolidowało swoje szeregi? Jones szedł w pierwszym rzędzie. Scena zapomniała nieco o Rakimie? Nas nagrał jego „nieautoryzowaną biografię", będącą hymnem pochwalnym. I już zapowiedział podobną w wypadku KRS-One'a. Wiadomo – o Nasie trzeba pamiętać, tak jak on pamięta o innych. To przecież dobre kontakty z rodziną Wu zaowocowały przydomkiem Escobar. Odnotujmy jeszcze występy u Likwit Crew (co prawda tylko w skicie u Alkaholiks, ale zawsze), Ruff Ryders i tych, o których swojego czasu było bardzo głośno, choć umiejętności często nie szły tam w parze z ogromnym hajsem: Bad Boy, So So Def, a nawet No Limits. Slick Rick wracał? Nas był zaproszony. Lil Jon czy Cassidy mają swoją chwilę w blasku fleszy? Jones ma u nich zwrotki. Piękna sprawa.

### Trzeci powód

Nasir Jones miał niesamowitą rękę do producentów. Na pierwszej płycie Premier spotkał się z Pete Rockiem i Large Professorem i rzeczywiście była to wielka trójka w wielkiej formie. Drugi album i obok Havoca z Mobb Deep znajdujemy samego króla Kalifornii u szczytu sławy, Dr. Dre. Ale zarazem sporo rzeczy wyprodukowało Trackmasters. Renoma tych beatmakerów była znana i jasne było, że nie otrzyma się od nich niczego kreatywnego, czyszczenie użytych sampli będzie kosztować fortunę, ale za to nic technicznie nie będzie brzmieć lepiej i na pewno znajdą się single z tendencją do okrywania się platyną. Artyści tacy jak Will Smith czy Jay-Z z R. Kellym, jednym słowem vipy niemogące sobie pozwolić na komercyjne wpadki i szczególne eksperymenty, wiedzieli, że dobrze mieć taki team pod ręką. Nas był sprytny, a w każdym razie sprytnie zabezpieczył się przed tzw. syndromem drugiej płyty (stanowiącej zwyczajowo największą próbę dla artysty), a przy tym pokazał się masowemu odbiorcy, utrwalając pozycję na ulicach wciąż niemogących podnieść szczęk po debiucie. Problem w tym, że Nas uległ wkrótce temu, co przeważnie zdarza się mainstreamowym gwiazdom: poważnej deewolucji gustu przy wyborze beatów. I podczas gdy fani rwali włosy z głowy, zaczęło się rozmienianie na drobne. Trzecia płyta z rzeczy godnych odnotowania przyniosła kooperację z Timbalandem, mistrzem nowych brzmień i oczywiście „Nas is Like" na prawdziwym rzeźniku spod ręki Preemo, który właściwie uratował tyłek średniej płycie pokaleczonej dodatkowo przez przedwczesny wyciek części kawałków do sieci (w efekcie którego co lepsze usunięto). Z czasem słuchacz musiał przywyknąć do sampli ze słodkich hitów lat 80., a nawet muzyki klasycznej przerabianej na coś na kształt monotonicznych dzwonków.

Paradoksalnie, odświeżający okazał się beef z Jayem-Z. Panowie zaczęli się przelicytowywać swoją uliczną wiarygodnością. Pomińmy może wyścig w kwestii tego, kto więcej razy pokaże się z grattiti poświęconym Pacowi, Big Punowi albo Notoriousowi w tle, bo to akurat ciut żenujące. Przystopowano natomiast nieco z lansem odwołując się dla odmiany nie do mas, a do fundamentów, na których wybudowali swoją sławę. Do klipów wróciły charakterne dzielnice, przy boku stanęły zaś żywe legendy. Oczyściła się atmosfera do robienia muzyki, w efekcie Carter nagrał w 2003 „Black Album", a Jones rok wcześniej wypuścił „God's Son" i obie pozycje wpisały się na listę klasyków. Punktem honoru dla producentów było je zremiksować. Poza tym, potwierdziła się zasygnalizowana już poprzez „Stillmatic" zwyżka formy Nasa. To ważne, bo na czwartym „Nastradamusie" zanotował spadek, po którym mógł się już nie podnieść. Podniósł się, zrozumiał chyba, że jeżeli jego styl jest tajerwerkiem, to dodatkowych tajerwerków nie potrzeba, zwłaszcza że zdarzały się już i niewypały. Na „God's Son" obok paru pewniaków od Alchemista, dominował Salaam Remi, autor kozackiego „Made you look". Jemu właściwie oddał Nas najnowsze podwójne „Street's Disciple", osiągając stabilność i pewną harmonię. Reakcja była pozytywna, a opinie w stylu: „Rap dla dojrzałych odbiorców, a nie tych omamionych infantylnym gównem" stały się normą. Można wreszcie odetchnąć.

Tomek Warzecha

PODIUM®
FOOTWEAR AND APPAREL

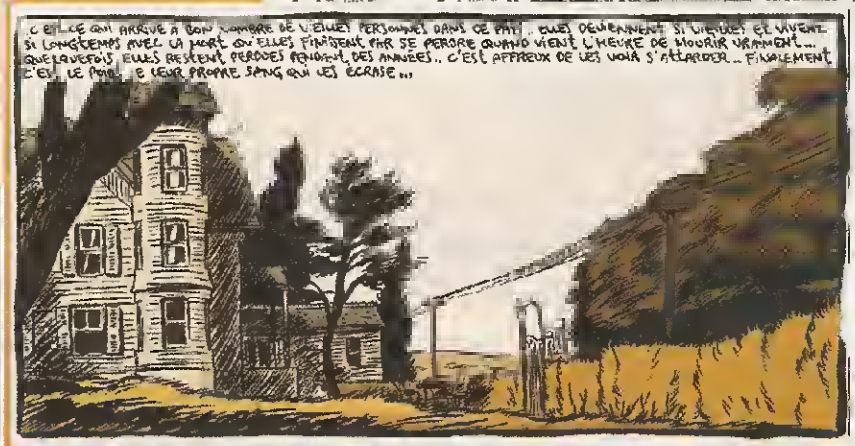

# frederik peeters

## nastrój i emocje

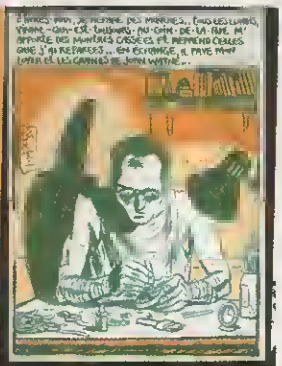

Frederik Peeters to szwajcarski ilustrator i projektant, który w komiksie karierę zaczął całkiem niedawno, bo w połowie lat 90. Współpracował z kilkoma magazynami, takimi jak „Le Drozophile" czy „Spirou", jednak rozgłos przyniósł mu album „Niebieskie pigułki" oparty na własnych doświadczeniach. Obecnie tworzy autorską serię „Lupus" (jej pierwszy tom ukazał się niedawno w Polsce) i cykl „Koma", rysowany do scenariusza Pierre'a Wazema

rozmawiał Karol Konwerski

**To już twoja druga wizyta w Polsce i drugi album nagrodzony w polskiej edycji festiwalu Alph-Art. Jakie znaczenie ma dla Ciebie nagroda przyznawana przez polskich licealistów?**

Ma ogromne znaczenie! To naprawdę fantastyczne drugi raz z rzędu otrzymać pierwszą nagrodę na tym festiwalu, a fakt, iż przyznają ją młodzi ludzie, cieszy mnie tym bardziej, bo jest to nagroda czytelników, czyli tych, dla których piszę i rysuję.

**„Niebieskie pigułki", pierwsza z Twoich prac, która ukazała się w Polsce, to album autobiograficzny. Mówisz w nim o sobie, o swojej partnerce – Cati, o Waszej miłości. Skąd pomysł na tego rodzaju fabułę?**

Pomysł na tę historię wziął się stąd, że byłem już zmęczony komiksami, które robiłem dotychczas. Zmęczony brakiem zaangażowania emocjonalnego w fabuły przeze mnie ilustrowane. Chciałem przeżyć historię, którą rysuję, a najłatwiej jest opowiadać o sobie, wtedy przeżywam tę samą historię kilkakrotnie: po raz pierwszy, gdy dzieje się ona naprawdę, po raz drugi, gdy rysuję album i ciągle odkrywam ją na nowo poprzez opinie czytelników.

**W Polsce wielu dziennikarzy i czytelników traktuje „Pigułki" jako komiks o AIDS. Dla mnie jest to przede wszystkim historia o wielkiej, niespodziewanej miłości, kwestia AIDS to rzecz poboczna... Czym dla Ciebie jest ta opowieść?**

Bardzo dziękuję. Dokładnie o tym „Pigułki" są, czy też ja bardzo chciałbym, aby były odbierane w ten sposób. Wiem, że w Polsce HIV to temat drażliwy… Komiks ten ma mówić o czymś innym, o miłości ponad tym, ponad chorobą…

**Czy nie bałeś się, że pokażesz i powiesz za dużo o sobie i swoim związku? Po wydaniu tego albumu praktycznie każdy może przeglądać i oceniać Twoje zachowania i emocje, które tobą kierowały…**

Po pierwsze, opowiadanie o sobie i o swoich najbliższych nigdy nie jest łatwe. To prawdziwe wyzwanie. Jednak mimo wszystko efekt końcowy, czyli książka, którą trzymasz w ręku, nie jest moim życiem. Fakty się zgadzają, słowa w większości są tymi, które padły rzeczywiście, jednak nie jest możliwe pokazanie wszystkiego tak, jak wyglądało naprawdę. Swoją historię musiałem sklejać w jeden ciąg fabularny, tak aby poszczególne epizody zetknęły się ze sobą. Nawet gdybym zainstalował w domu kamerę i przez 3 miesiące filmował siebie i swoich najbliższych, zawsze pozostanie to tylko zapisem, tak jak w obrazie René Magritte – „to nie jest fajka, to tylko przedstawienie fajki".

**Czy cenzurowałeś sam siebie w celu uniknięcia zbytniego ekshibicjonizmu? A jeśli nie, to czy taka pamiętnikarska wręcz praca nie kusiła Cię do lekkiego koloryzowania? Przedstawiania siebie bądź Cati w lepszym świetle?**

Dokładnie tak się stało! Ale w sposób przeze mnie niezamierzony. Pracując nad tym albumem musiałem przecież wymyślić pewien „scenariusz". Ale zrozumcie, że „Niebieskie pigułki" powstawały w ciągu trzech miesięcy. Oznacza to, że dziennie musiałem narysować co najmniej trzy plansze, dzięki temu nie miałem czasu na myślenie o tym, jak przedstawiam siebie czy moich bliskich. Starałem się być jak najbliższy rzeczywistości. Mimo to, kiedy trzymałem już książkę w ręku, z przerażeniem odkryłem, że to przecież nie ja! Ktoś zupełnie inny, ale było już za późno na poprawki.

**Czy czytałeś inne komiksy autobiograficzne przed lub po pracy nad NP?**

I przed i po oczywiście. Nie czuję się jednak reprezentantem żadnego trendu czy stylu. Wiem, że w ostatnich latach komiksy osobiste osadzone na prawdziwych wydarzeniach są bardzo popularne, tak wśród czytelników, jak i autorów. Jednak to, co się dzieje w komiksie dzisiaj, jest poza mną. Przyznaję, że „Niebieskie pigułki" nigdy by nie powstały, gdyby nie pewien element zewnętrzny, czyli po prostu nowe niezależne komiksy. Jednak staram się trzymać z dala od trendów i mód. To, co mnie interesuje, to rozwijanie możliwości komiksu jako medium, a bycie przedstawicielem jakiejś szkoły czy stylu to ogromne ograniczenie…

**Niedawno ukazał się Twój nowy komiks, „Lupus", nagrodzony na zeszłorocznym festiwalu Alph-art. O czym jest ta historia?**

W dwóch słowach: to opowieść o dojrzewaniu w wersji SF. O przechodzeniu w wiek dorosły, w którym na progu nowego życia tytułowy bohater musi podjąć trudne, ale ważne wybory. Sztafaż SF tak naprawdę nie jest istotny, ma mi pomóc w opowiadaniu tej historii, wyciąganiu na wierzch emocji i wciągnięciu czytelnika w kosmiczną opowieść drogi...

**Jakiś czas temu przeczytałem Twój krótki komiks w antologii „Top Shelf ask big questions". Uderzyły mnie różnice w sposobie opowiadania w Twoich historiach. W „Niebieskich pigułkach" rysunek jest równie istotny dla opowieści co słowa – w tym samym stopniu opisuje wydarzenia, natomiast ten short to klasyczne ilustracje. Jaki w takim razie jest „Lupus"? Czy dalej idziesz tą drogą łączenia tekstu i rysunku?**

Jeśli chodzi o „Lupusa", to jest to historia, którą rozpisałem na cztery albumy, właśnie skończyłem rysować trzeci. To „rozpisanie" historii jest mylące, bo opowieść ta nie ma scenariusza. On powstaje w trakcie pracy nad kolejnymi planszami. Oczywiście w ogólności mam zarys tej historii, wiem, jak się zakończy, ale moim zamiarem było pójść o krok dalej niż w „Pigułkach". Odpowiadając na twoje pytanie: chciałbym połączyć te dwa rodzaje kreowania opowieści. Z jednej strony poszerzyć tę ulotność i chwilowość z „Niebieskich pigułek", z drugiej strony zachować statykę ilustracji, którymi zajmuję się od dawna.

**Czy podobnie jak „Niebieskie pigułki" ta seria powstaje także pod wpływem jakiegoś impulsu?**

Jak najbardziej! To, co porusza mnie już od dawna, to mistrzowie „czarnego" kina. Tworzyli oni prawdziwe pełnokrwiste światy, zaludniali je bohaterami, którzy może byli papierowi, a historie z ich udziałem – pretekstowe, ale obrazy, które powstały, są pełne emocji, przesłąknięte niesamowitym nastrojem. To niezwykłe: oglądać i przeżywać historie, które z prawdą nie mają nic wspólnego, jak prawdziwe wydarzenia!

**Co oprócz kina noir Cię inspiruje?**

Generalnie nie mam listy nazwisk, bo nawet gdybym taką przedstawił, to będzie ona chwilowa. Jutro, gdy zapytasz mnie o to, podam zupełnie inne nazwiska, tytuły... Inspiracja to wszystko i nic. Każdy przedmiot, każde zdarzenie ma swoją historię: zakupy, kino, gotowanie obiadu. Wspólnie z przyjaciółmi nazywamy to umysłową trampoliną, czyli przeskakiwaniem od emocji do emocji, od wrażenia do wrażenia, byle dalej i więcej przeżyć, zobaczyć i odczuć. Ciągle obracając w sobie to wszystko, co dzieje się wokół. W efekcie moje życie staje się moją pracą…

WISHOT
Skateborn by California
Z PASJĄ,
BEZ KOMPROMISU
...I PO BETONIE!
Z PASJĄ, BEZ KOMPROMISU ...I PO BETONIE!
WISHOT
SZUKAJ
W OZNACZONYCH
SKLEPACH
www.wishot.pl

Joey Tookmanian
sw. bs. 50/50 w Katowicach

Brandon Westgate
50/50 Opole

# 5boro tour

**Niewątpliwie jednym z ciekawszych wydarzeń tych wakacji stał się tour nowojorskiej firmy deskorolkowej 5BORO. Organizacją całego wydarzenia zajęły się osoby, o których mogliście zapewne przeczytać w poprzednich numerach „Ślizgu", czyli dystrybucja SOUL**

tekst i foto Gabor Nagy

To właśnie dzięki ich wysiłkom i ciężkiej pracy pewnego lipcowego dnia na polskiej ziemi stanęła grupka Amerykanów. Brandon, Joey, Willie oraz kamerzysta Tom usilnie zapragnęli poznać polskie miejscówki, skaterów oraz imprezki. W zdobywaniu starego kontynentu towarzyszyli im; odpowiedzialny za całokształt touru Piotr N., SOUL DYSTR. TEAM, Daniel K. jako kamerzysta, no i Gabor N., pełniący rolę fotografa.

Pierwszym przystankiem na naszej trasie były Katowice. Niestety, niepewna pogoda pokrzyżowała nam troszkę plany, oczywiście pojeździliśmy trochę po Paderewie (tu między innymi odbył się best trick), ale następne spoty okazały się zbyt mokre do skate'owania. Przymusową przerwę spę-

dziliśmy więc w wegetariańskiej knajpce, położonej w urokliwym miejscu tj. tuż przy dworcu kolejowym. Tak mijały nam kolejne minuty katowickiego skate'ingu. Kiedy w końcu rozgrzany naszą zajawą asfalt zaczął schnąć, pokierowaliśmy busa na miejscówkę ze stromym i dość wysokim murkiem hubba. Mimo panujących tu ciemności znaleźli się chętni do jazdy w tak ekstremalnych warunkach. Spocik przypadł do gustu Joeyowi, który w kilku próbach skleił tu sw. bs 50-50, a po kilkunastu następnych sw. bs 5-0, co wprawiło wszystkich zebranych w niezły szok!

Kolejny dzień to ponowne godziny i obijanie kręgosłupa na drogach prowadzących w kierunku Wrocławia. Tu w towarzystwie lokalnych deskorolkowców spędziliśmy dzień na miłym chilloutowym skateboardingu, którego miejscem był betonowy skatepark. Poleciały tu przeróżne triczki: k-flip bs smith na wysokim murku, przeróżne graby przez największy funbox w wykonaniu Willie'ego oraz 36 flipy itp. itd. przez mniejszą piramidkę. Ten udany deskorolkowy dzień zakończyliśmy w jednym z klubów, gdzie zabawa trwała do białego rana...

Kolejnym miastem zaznaczonym na mapie 5boro touru okazało się Opole. Był to naprawdę krótki stop w dalszej drodze do Częstochowy, a tricki, które tu zobaczyliśmy, poleciały w naprawdę ekspresowym tempie. Gwoździem skate'owego programu w tym miejscu okazała się czarna rurka przy siedmiu schodach, gdzie bez wymaganych przez jakąś „działaczkę" zezwoleń i podpisów burmistrza, Brandon skleił 50-50, 5-0 oraz nose grind, a wszystko to w typowym dla siebie luźnym stylu.

Kolejny busstop to Częstochowa. Tutaj niestety pojeździliśmy tylko na pomniku przypominającym kształtem dwa olbrzymie quaterpipe'y. Chłopakom z Nowego Jorku widać przypadł on do gustu i jednocześnie podkreślali zadziwienie, że ktoś mógł wybudować taki perfekcyjny skatespot! Na tej miejscówce Joey pykał sobie bs flipy i 360 ollies przez przerwę w bardzo wysokim punkcie pomnika. Brandon zaskoczył wszystkich alley oop bs flipem, Willie skleił frontflipa oraz wielkie ollie nad głowami odlanych z brązu żołnierzy. Po tych wszystkich trickach ustąpiliśmy miejsca deszczowej pogodzie i zapakowaliśmy się do busa, aby ruszyć w kierunku Łodzi. Na nasze nieszczęście pogoda tutaj okazała się bardzo letnia, a asfalt w skateparku niedostosowany do takich temperatur. Mimo tych niedogodności zostało zorganizowane tu mini demo oraz contest na best trick. Po kolejnym dniu deskorolki spędziliśmy wieczór w towarzystwie Bartka Mielczarka, jego dziewczyny oraz wyśmienitej pizzy.

Nazajutrz obudziliśmy się w Warszawie! Pobyt w stolicy okazał się miksem dobrej deskorolki oraz imprez do białego rana. Ale Was interesują przecież triki... Joey skleił czyściutkiego nosegrinda pop out na Witosowym murku przy 4 schodkach. Willi na bródnowskich bankach za pomocą swojego smithgrinda to lake pokazał, co to znaczy stuprocentowa skuteczność. Ponownie Joey przy kortach Warszawianki postanowił skoczyć ollie w kąt przez olbrzymie raile. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że lądowanie miało być na whellie! Chłopaki dali także demo w Blue skatepark, po czym ruszyliśmy na Mentor competition, którego wyniki już zapewne znacie. Jestem pewien, że hasłem na tegoroczne wakacje niewątpliwie powinien stać się okrzyk sympatycznego starszego Pana z Łodzi, który dostał zań kilka nalepek i batona Lion: „5 BOOROOOOOOOO!"

# wsz/cne

## duet ze wszech miar pozytywny

Znacie ich na pewno – od lat nagrywają rap, od lat prowadzą w Vivie programy poświęcone hip-hopowi. Już za kilka tygodni wydadzą swój drugi album, co stanowiło dobry pretekst do dłuższej rozmowy z duetem WSZ -CNE. Rozmawialiśmy jednak przede wszystkim na temat kilku kontrowersji, jakie narosły wobec tych postaci. No, ale o tym przekonacie się sami, czytając wywiad

rozmawial Calak
foto Wojtek Antonów / WZRR

**Jak to się stało, że traliliście z Warnera do Wielkiego Jot, jakaś transakcja wymienna za Sistars?**

CNE: He, wielu osobom się tak zdaje, a bylo inaczej. Warner w związku z trudną sytuacją na rynku zdecydował się do minimum ograniczyć katalog polskich artystów, z resztą zaś, czyli m.in. nami, Onarem i Ośką czy też grupą Negatyw polubownie rozwiązano kontrakty.

WSZ: Co bylo nam w sumie na rękę. Mieliśmy umowę na dwie płyty, wydaliśmy jedną u nich, ale i tak zdążyliśmy poznać te niezbyt pozytywne aspekty bycia u majorsa.

CNE: No i w wyniku lego wszystkiego trafiliśmy do Wielkiego Jot – to są jakby nie było nasze ziomy i cieszymy się, że dla nich nagrywamy.

**Wyjaśnijmy zatem pewne kwestie. Nagrywacie płyty, jesteście w środku tej sceny, ale zarazem jako prowadzący hip-hopowe programy w Vivie do pewnego stopnia wpływacie na wizerunek tej muzyki w Polsce. Na pewno macie jakieś wpływy na to, jakie klipy lecą, kto jest mniej lub szerzej prezentowany. Jednocześnie Waszą menedżerką jest osoba, która w tej telewizji zajmuje ważne stanowisko, zajmując się zarazem prowadzeniem innych artystów z Wielkiego Jot. Czy to Waszym zdaniem normalna sytuacja?**

CNE: No właśnie, to dobry moment zatem, żeby pewne sprawy wyjaśnić. Menedżera szukaliśmy od dawna i rzeczywiście rozmawialiśmy też z Ewą Czekałą, ale – co należy podkreślić – już wtedy, gdy odeszła ona z Vivy i nie ma jakiegokolwiek wpływu na rotację. Część koncertów załatwiamy sobie sami lub pomagają nam w tym różni ludzie, np. Plej Entertejment, Ostasz, Eeel-X. Nigdy nie pozwolilibyśmy na sytuację, by pójść

do kogokolwiek z Vivy i powiedzieć, że oczekujemy jakiś tam specjalnych warunków, mamy być traktowani na specjalnych prawach.
WSZ: Poza tym, powiedziałeś o kreowaniu wizerunku. To trochę nie tak. Jaki ten hip-hop jest, każdy widzi, a Viva takim go pokazuje. Oczywiście odnosi się to w jakimś stopniu do tego, jakie klipy telewizja pokazuje, co wchodzi na rotację, a co jest odrzucone.
**Czy macie w ogóle wpływ na to, jakie teledyski pokazujecie, co będzie „latało" z rapu, a co nie?**
CNE: Ja mam swój głos w gronie producentów. Jest nas dziewięć osób, każdy ma prawo do jednego głosu.
WSZ: Aczkolwiek music manager ma podwójny głos.
CNE: Dokładnie. Raz w tygodniu się zbieramy i dokonujemy wyborów, jakie nowe klipy wchodzą. To cała moja decyzyjność, oczywiście oprócz naszych programów, które są audycjami autorskimi i tu mamy pełną dowolność.
WSZ: Aczkolwiek autorskim programem jest też tramwajowa lista, ale jeśli chodzi o propozycje do niej, to ustale je producent programu.
**Czyli tak naprawdę poza Rap Kanciapą i Megazinem macie śladowy wpływ.**
WSZ: Niewielki, to prawda. Szczególnie, że jestem tylko prezenterem, na tym w zasadzie kończy się moja rola. Tomek ma trochę więcej do powiedzenia.
CNE: Ja w ogóle chciałem na łamach prasy powiedzieć, że boli nas sytuacja, w której często ludzie mają pretensje do nas o to właśnie, co leci i jest prezentowane w telewizji. Od nas tak naprawdę niewiele zależy i nasze sympatie, antypatie nie mają tu nic do gadania.
**Da się jakoś wyjaśnić kwestie tego, dlaczego np. teledyski z Wielkiego Joł, Prosto mają doskonałą rotację, a np. część artystów z labeli takich jak Asfalt (Łona, Tworzywo Sztuczne, Afroni) bądź Embargo (Grammatik, 247, Praktik) już nie przebija się na antenę z dużą częstotliwością?**
WSZ: Np. 247 miało patronat MTV, co jest utrudnieniem w rotacji. Powiedziałeś o Prosto i Wielkim Joł, a co z UMC i Camey Studio? Te teledyski też dostają wysokie rotacje, bo akurat wymienione wytwórnie zwracają bardzo dużą uwagę na to, jakie teledyski robią. Łatwo zauważyć, że przykładają do nich dużą wagę i to owocuje tym, że większości widzów one się podobają.
CNE: Dokładnie, szczególnie, że teraz łatwo to sprawdzić za pomocą obserwowania tego, co ludzie wybierają w „Get The Clip". Chcąc nie chcąc, telewizja taka jak Viva to medium z założenia komercyjne i dostosowane pod to, co chcą widzieć widzowie. My im możemy coś zaproponować, zaoferować, ale ostateczny wybór zależy tylko od nich.
**Powiedzcie teraz kilka zdań na temat nowej płyty, kiedy się ukaże, kto zajął się produkcją, jakie są główne różnice między tym krążkiem a „Te-Rap-Ja"?**
WSZ: Album „Jeszcze raz" ukaże się we wrześniu, za moment będzie można zobaczyć drugi kawałek promujący płytę. Produkcją podzielili się niemal w całości Mateo i eRali (nie mylić z Rafim z PDG). Na pewno jest to album dojrzalszy, mniej jest na nim elementów reggae'owych, są za to ciekawi goście.
CNE: Na pierwszej płycie chcieliśmy przede wszystkim pokazać swoje możliwości i umiejętności, więc w zasadzie nie było kawałków nagranych z gośćmi. Teraz mamy Bezeli, Kaliber 44 (w pełnym składzie!), ale też Anię Sool, Jajonasza i HST. Muzycznie jest w połowie eksperymentalnie, a w połowie klasycznie hip-hopowo, można by powiedzieć, że hiciarsko (śmiech).
**Wujek, a jak tym razem było odnośnie tekstów? Wciąż wszystkie rymujesz na wolno, czy tym razem uciekłeś się do pisania ich już w – że się tak wyrażę – klasyczny sposób?**
WSZ: Tak, tym razem już używałem kartki i długopisu.
**A jak odnosisz się teraz do freestyle'u? Wiele osób zauważyło, że poczyniłeś postępy w tym, a zarazem wciąż zdarzają Ci się problemy z utrzymaniem nerwów na wodzy w czasie pojedynków bądź już po ich zakończeniu.**
WSZ: Pewnie chodzi Ci o Poznań – WBW. Były pogłoski, że chciałem pobić organizatora, który wtedy akurat siedział w jury. Zależało mi na tym, aby pokazać się z dobrej strony, a dostałem od niego temat, który był hasłem reklamowym sponsora. Myślę, że ci, którzy śledzą polski freestyle, wiedzą, że ja lepiej jadę na temat niż bitewnie na przeciwnika. Nie zawsze łatwo jest się czasem pogodzić z werdyktem, ale w końcu trzeba będąc poważnym człowiekiem. Jedynym plusem tego zamieszania były zmiany w regulaminie zawodów. Szkoda, że po czasie.
**Powiedzcie mi jedną rzecz. Jesteście na scenie już wiele, wiele lat, w samym jej środku – czy to jako twórcy, czy prezenterzy. Jednak można mieć wrażenie, że muzycznie jesteście jakby w cieniu, nie udzielacie się na płytach innych wykonawców, nie gracie za często koncertów itp. Nie czujecie się z tym trochę dziwnie?**
CNE: Nie, zupełnie. Wynika to przede wszystkim z tego, że praca w telewizji pochłania nam naprawdę dużo czasu, a gdy do tego dochodzi jeszcze siedzenie nad własnym materiałem, nagrywki na kolejne wolumiiny DJ BUHHA, na mixtapy Feel-X'a, na Baku Baku produkcje, to nie mamy już na dobrą sprawę możliwości współpracy gościnnej z innymi. Nie da się robić dobrze zbyt wielu rzeczy na raz, ale to wcale nie znaczy, że czujemy się na uboczu.
WSZ: Poza tym ostatnio akurat graliśmy trasę i okazało się, że naprawdę mamy grupę swoich fanów, ludzi, którzy śpiewają z nami kawałki, znają dokładnie teksty. Nie czujemy się wcale „dziwnie", udzielamy się na płytach naszych znajomych, a co do bycia w cieniu, to lubimy się tam skryć przed upałem z gibonkiem (śmiech). Nie nam to oceniać. Mamy nadzieję, że nowy album okaże się najlepszą odpowiedzią na te głosy.
**3 lata, które dzielą „Te-Rap-Ja" od „Jeszcze Raz" to niby niewiele, ale jednak sytuacja na rynku sprzedaży płyt zmieniła się bardzo – na minus. Nie obawiacie się, że to i w Was uderzy?**
WSZ: Jesteśmy już za długo w środku tego, by wierzyć, że możemy na płycie się dorobić w nie wiadomo jaki sposób. Wiadomo, że włożyliśmy w pracę nad albumem dużo sił, czasu i samych siebie, jednak każdy widzi, jak w tej chwili wygląda sprzedaż płyt i podchodzimy do tego realistycznie.
CNE: Fajnie, jakby ludzie docenili, że jest to lepszy album niż nasz debiut i kupili go w sklepie. Masz jednak rację, że wtedy łatwiej było przekroczyć jakąś tam granicę sprzedaży niż teraz, gdy mp3, Internet tak mocno działają. Prawie każdy słuchający muzyki ma w domu szybkie łącze. Jednak w momencie nagrywania płyty w ogóle o tym nie myśleliśmy, chcieliśmy to po prostu zrobić jak najlepiej, by Ci, którzy kupią krążek w sklepie, byli z niego całkowicie zadowoleni.
**Może Was aż tak to nie denerwuje, bo macie jednak ślatą pracę i nagrywacie przede wszystkim z potrzeby, zajawki, pasji.**
CNE: Na pewno ma to znaczenie i sprawia, że łatwiej nam się z tym pogodzić. Nigdy nie powiem, że popieramy przegrywanie płyt czy ściąganie albumów z sieci, no chyba, że płacąc za mp3, ale też powiedzmy sobie jasno – co nasze zdanie tutaj może zmienić?!
**No to tak już zbliżając się ku końcowi – co byście chcieli przenieść ze starszych czasów, waszych początków na scenie hip-hopowej do jej obecnego stanu?**
CNE: Hmm, moim zdaniem jest dobrze tak, jak jest. Podziemie żyje i wciąż pokazuje nowe twarze, weterani mają się dobrze, na koncerty przyjeżdżają do Polski naprawdę doskonali artyści ze Stanów, poziom teledysków – to wszystko poszło naprawdę do przodu.
WSZ: Każdy powinien walczyć o taki hh jaki kocha, ale bez fanatyzmu proszę... No i mniej spinania w przybranych sztucznych pozach, więcej uśmiechu, spontaniczności i pozytywnej energii.
**Jak tak patrzę na Was od wielu lat, to wiem, że komu jak komu, ale Wam na pewno jej nigdy nie zabraknie. Dzięki za rozmowę.**

rozmawiała Cess (CS)

**Pierwsze pytanie jest dosyć oczywiste. Jak doszło do wspólnych nagrań?**

Juras: Około półtora roku temu Wigor złożył mi propozycję, żebym nagrał swoją solową płytę w studiu Drugi Dom, gdzie zespół Mor W.A. tworzył swój ostatni projekt. Ja z przyjemnością ją przyjąłem. Wigor dograł się do kawałka, jednego, drugiego... I tak zaczęła powstawać płyta. W trakcie nagrywania zdecydowaliśmy się na to, by zrobić ją razem. Wigor chciał też zrobić coś poza Morwą.

Wigor: Wszystko wydarzyło się w odpowiednim miejscu i czasie, dogadaliśmy się...

**Generalnie na płycie jest kilka optymistycznych utworów, jednak te pesymistyczne mają znacznie silniejszy wydźwięk i wywołują mocniejsze emocje.**

Juras: Trzeba przyznać, że te pozytywne kawałki były nagrane po części dla zrównoważenia tych negatywnych. W pewnym momencie stwierdziłem, że płyta zaczyna iść za bardzo w pesymistyczną stronę. Na szczęście Wigor wniósł dużo optymizmu. Te pesymistyczne kawałki charakteryzują się tym, że to ja je wymyśliłem (śmiech), ale taki akurat miałem pogląd na życie i nie chciałem na siłę wymyślać czegoś super wesołego, kiedy czułem smutek albo miałem kłopoty.

Wigor: Moim zdaniem ta płyta nie jest przesycona negatywami. Po prostu ukazuje pewne realia.

Juras: Jest prawdziwa. Odzwierciedla to, co czujemy, jak postrzegamy świat. I ogólnie wiadomo, hip-hop to jest taka muzyka, która ma wiele odgałęzień, są więc i takie kawałki, i inne. Chcieliśmy, by płyta była różnorodna i podkreślamy to na każdym kroku.

**Nagraliście utwór o podrabianych hip-hopowcach...**

Wigor: „Poza konkurencją", bo my właśnie jesteśmy poza konkurencją tego tandetnego rapu. Zrobimy wszystko, żeby tak było. Dajemy ludziom do zrozumienia, że nie sprzedamy się, bo wolimy nie grać koncertów na ilość i sprzedawać tylu płyt, ale robić dobry rap.

Juras: A jak brzmiało pytanie?

**Mówicie o „raperach z PGR-ów", wszyscy wiemy, o kim mowa, natomiast czy nie jest to w obecnej chwili kopanie leżącego, bo na swój sposób sami się pognębiają kolejnymi nagraniami i działaniami...**

Wigor: Podobno raperzy z PGR-ów jeżdżą zajebistymi furami i są bardzo szczęśliwi, że im się udało.

Juras: Zebrali śmietankę i teraz się delektują. A przecież pojawili się w chwili, kiedy nastąpiła największa moda na hip-hop, w negatywnym rozumieniu słowa moda, czyli lansowanie jakichś trendów, kopiowanie na chama z zachodu strojów i zachowań.

**Jak oceniacie kondycję polskiej sceny hardcore'owej, której jednak jesteście częścią.**

Wigor: Najwięcej mogę powiedzieć o naszej rodzinie warszawskiej, bo w końcu z niej pochodzimy. Cieszę się, że ci, którzy zawsze byli blisko nas i z którymi zawsze wspieraliśmy się nawzajem, do tej pory nie zeszli na dziwne kursy, peryferie rapu, tylko robią konsekwentnie swoje, a przekaz jest wciąż rzetelny. Ja wiem, że taki człowiek nie wciska kitów, bo go znam po prostu i najlepiej mi się takiego człowieka słucha. Mam też takie psychologiczne podejście, że jestem w stanie po tekstach dużo wywnioskować o człowieku. Nie muszę znać takiego rapera ani go widzieć na oczy, a już mogę powiedzieć coś więcej na jego temat, czy on taki jest, czy żeni farmazony, bo to słychać.

Juras: Kiedy człowiek słyszy kawałki o samym sobie, o swoim życiu, potrafi się z tym utożsamić i czuje dreszcze albo włosy mu się jeżą na całym ciele, to jest prawdziwe, tak właśnie można poznać dobry, prawdziwy przekaz. Ja na przykład poznaję dobre kawałki po tym, że mi przechodzą ciary po plecach.

Wigor: Boom już minął, ale nasza scena bardziej podziemna i uliczna nadal będzie funkcjonować i jeszcze bardziej umocni hip-hop. Nie zniknie.

Juras: Są „regionalne nagrywki ogólnodziełnicowe". Ci ludzie, którzy to nagrywają, po jakimś czasie dojdą do takiego etapu swojego rozwoju, że będą to chcieli wydawać legalnie. Myślę więc, że sporo jeszcze wyjdzie dobrego, prawdziwego rapu. Póki co, młodym często brak samokrytyki. Po co robić hip-hop na poziomie takim, jaki był przed pięciu laty. Trzeba iść naprzód, trzeba się rozwijać, szukać nowego flow, nowego sposobu składania słów, a nie powtarzać rymy, których ktoś użył już po sto tysięcy razy. Dla mnie to niepojęte, ale skoro małolaci chcą nawijać, nikt im przecież nie może tego zabronić.

Wigor: Już od dawna nie słyszałem dobrych debiutantów. Jest tak, że po prostu ci, którzy już są na tej scenie, robią to coraz lepiej, młodym wciąż brakuje do czołówki. Większość jest wtórna, wszystko to już gdzieś słyszałem, każdy już to mówił i oni są tak zapatrzeni w innych, że nie potrafią znaleźć pierwiastka siebie i oryginalności.

Juras: Starzy wyjadacze wprowadzają nowe twarze. Kiedy ja na przykład zaczynałem 4 lata temu rapować i nagrywać z kumplami ze Śródmieścia, Jeż nie mieliśmy zbyt wielu perspektyw, natomiast Koras i Fu wsparli nas.

**Od premiery albumu WSP minęło dużo czasu, co się dzieje teraz z zespołem?**

Juras: Minęły dokładnie trzy lata. Oficjalnie na tą chwilę zespół nie istnieje. Pierwszą osobą, która odeszła, byłem ja, miałem swoje powody muzyczne i pozamuzyczne. Czas pokazał, kto jest kim. Nie chciałem być w grupie ludzi, na których kilkakrotnie się zawiodłem. Po prostu, jeżeli w kawałkach rapujemy o przyjaźni, wsparciu i jedności, a życie weryfikuje to w negatywny sposób, to trzeba odejść. Wiem, że chłopaki nagrali ze 30 kawałków, ale mieli problemy z wydaniem tego.

**Wiem, że jesteście wymagający i krytyczni wobec swojego materiału. Dużo utworów odrzuciliście lub zmieniliście?**

Juras: Oj tak, byliśmy razem bardzo krytyczni.

Wigor: To jest tak, że praktycznie nie odrzuciliśmy żadnego utworu, bo kiedy nagrywamy kawałek, to chcemy, żeby się znalazł na płycie. Zmieniliśmy co najwyżej muzykę.

Juras: To zdarzało się bardzo często. Niektóre kawałki były nagrywane po pięć razy co najmniej, pod różne bity.

Wigor: Lubimy sobie kombinować. Zdarzało się tak, że nie mieliśmy bitu, a tekst był gotowy. Nagrywaliśmy go więc pod dowolny podkład, żeby przynajmniej sobie przeanalizować jak rozłożyć oddechy, czy flow pasuje, a potem okazywało się, że pojawiali się nowi producenci, nowe bity i trzeba wszystko nagrywać jeszcze raz, a potem znowu pojawiał się jeszcze lepszy bit i tak w kółko.

Juras: W pewnym momencie stwierdziliśmy, że te bity, które mamy, to pewniaki, zamykamy materiał. Najwyżej zabieramy się za nowe rzeczy.

**Planujecie działać razem dalej?**

Wigor: Czas wszystko pokaże. Jeśli będziemy grać, jeździć w Polskę, poznawać ludzi, mieć okazję przeżyć niezapomniane chwile, to na pewno będziemy przy okazji nagrywać nowe rzeczy, bardzo byłoby fajnie nagrać następną płytę. Mam nadzieję, że się nie pożremy (śmiech)...

**...a koledzy z Morwy się nie obrażą...**

Wigor: Nie, akurat z tym nie ma najmniejszego problemu, bo w Morwie mieliśmy zawsze jasno powiedziane, że każdy z nas może sobie nagrać solówkę. Ja mogę nagrać sobie płytę z Jurasem, tak jak Peper może sobie nagrać płytę z innym raperem. Raczej cieszą się, że wykorzystałem w ten sposób wolny czas, w którym oni robili coś innego. Tysego akurat teraz nie ma, gorąco go pozdrawiam, bo jest na innym kontynencie. Chłopak sobie radzi, nowe życie układa. Mam nadzieję, że wróci niedługo i nagramy nową płytę, ale różnie to może być.

**A jak zachęciłibyście ludzi do „Wysokich lotów"? Czym się ten album wyróżnia?**

Juras: Płyta jest spojrzeniem dwóch młodych ludzi na życie, na realia z perspektywy ich dorastania. Są utwory o próbie odnalezienia się w jakiejś dziedzinie. Są kawałki o kondycji polskiego społeczeństwa, są kawałki o tym, jak ludzie są sterowani przez mass-media, jak przez telewizję, radio, gazety kształtuje się światopogląd człowieka, który jest w dzisiejszych czasach na maksa zniewolony. Są kawałki, które pokazują, jak się wyzwolić z kieratu, z tej społecznej hipnozy, są kawałki ośmieszające współczesną scenę pseudohip-hopową. Jest kawałek o tym, że wszystko przemija i trzeba jak najwięcej korzystać z życia, bo za chwilę może go zabraknąć, doceniać ludzi, których się ma wokół siebie, bo zauważa się ich dopiero w momencie, kiedy odchodzą.

Wigor: Tytuł „Wysokie loty" wziął się z tego, że nabieramy ciągle pewności siebie i chcemy szybować jak najwyżej, być wysoko, ale nie po to, by patrzeć na rzeczy z góry... Chcemy mówić o rzeczach, których większość unika. Szukamy źródeł, jak jak w utworze o tym samym tytule na albumie. Szukamy drogi rozwoju intelektu, odpowiedzi na wiele pytań, które gdzieś tam nam się kłębią w głowach. Wiadomo, że człowiek może szukać sensu życia cały czas i nigdy go nie znajdzie, ale też nie ma co się pogrążać w filozofiach. Trzeba znać swoje miejsce na Ziemi i wiedzieć, z jakimi ludźmi i w jaki sposób nawiązywać kontakty. Trzeba też umieć być człowiekiem.

Juras: „Wysokie loty" dlatego, że uważamy, że nasz rap jest na tyle dobry, że potrafi oderwać człowieka na chwilę od jego codziennego życia, potrafi go zabrać w inny świat, przynajmniej na czas włączenia płyty. Tytuł płyty jest odzwierciedleniem tej magii, która jest w hip-hopie.

*Pełny zapis rozmowy wkrótce na www.slizg.com.pl*

es

p.j._ladd

the team is_the best part

# stretcharmstrong

## codzienne bitwy zwykłych ludzi

Rozmawiając z Chrisem McLane'em, wokalistą Stretch Arm Strong i ex-nauczycielem, zastanawiałem się, jakim pedagogiem był jeden z najbardziej charyzmatycznych krzykaczy na scenie hardcore. Sądząc z jego otwartości, serdeczności i typowych dla amerykańskich Południowców nienagannych manier, doszedłem do wniosku, że musiał przynosić chlubę bakalarskiej profesji.
Niestety dla systemu oświaty, a na szczęście dla hardcore'u, nauczycielstwo to w życiu McLane'a zamknięty rozdział. Chris z ciężkim sercem zrezygnował z pracy w liceum w swej rodzinnej Columbii w Karolinie Południowej, by poświęcić się muzyce i razem z pozostałymi członkami SAS propagować pozytywne wartości na koncertach, z których każdy jest erupcją energii i niezwykłej werwy.
Właśnie po jednym z takich występów – na festiwalu Warsaw Mosh Day – przeprowadziłem z Chrisem poniższy wywiad. Usiedliśmy pod klubem otoczeni przez piękną letnią noc i unoszące się w powietrzu przychylne fluidy, jakimi emanuje naładowana uczuciami muzyka Stretch Arm Strong

rozmawiał Sebastian Rerak

**To prawdziwa przyjemność ponownie gościć Was w Polsce. Czy Europa stała się już drugim domem dla Stretch Arm Strong?**
Zdecydowanie tak. To już nasza szósta wizyta w Europie. Kilkakrotnie graliśmy w Europie Wschodniej, a dzisiejszy koncert był naszym trzecim zagranym w Polsce. Jest świetnie, stary! Dzieciaki tutaj sprawiają, że czujemy się, jakbyśmy grali przed publiką z naszego rodzinnego miasta.
**Już niebawem Wasz płytowy dorobek powiększy się o piąty album, „Free At Last". Poprzednia płyta, „Engage", była bardzo urozmaicona muzycznie. Czy i tym razem postawiliście na zróżnicowanie?**
Tak. Myślę, że nowa płyta zawiera wiele elementów stylu znanego z poprzednich materiałów, np. „Rituals of Life" i „Revolution Transmission". Wszyscy dojrzewamy, a ponieważ gramy razem od tak dawna, naturalną koleją rzeczy próbujemy różnych nowych dźwięków. Komponowaliśmy przez ostatnie dwa lata – czy to brzdąkając sobie na gitarze w vanie, czy też w studiu lub naszej sali prób. Materiał z nowej płyty jest jednym z najlepszych, jakie napisaliśmy. Spędziliśmy pięć tygodni w studiu, więc mogliśmy nagrać taką płytę, jakiej zawsze pragnęliśmy. Myślę, że wysiłek się opłacił. „Free At Last" ukaże się trzynastego września.
**Często jesteście kojarzeni z chrześcijańską sceną hardcore, mimo że sami odżegnujecie się od związków z nią.**
Wielu ludzi uważa nas za zespół chrześcijański, ponieważ nagrywaliśmy dla wytwórni Solid State (wytwórnia płytowa skupiająca chrześcijańskie zespoły HC/punk – przyp. aut.). Ja często chodzę do kościoła, moja córka uczęszcza do chrześcijańskiej szkoły, a moja żona uczy w tej szkole. Nie używamy przekleństw w naszych tekstach i staramy się pisać o sprawach, które są budujące i pozytywne. Ja jestem straight edge'owcem, ale Stretch Arm Strong nie jest zespołem straight edge. Niektórzy z chłopaków z zespołu piją piwo, ale to nie czyni nas alkoholowym zespołem. Jesteśmy po prostu piątką kolesi grających muzykę i podróżujących z nią po świecie. Ludzie mówią o nas wiele rzeczy, a my nie mamy powodu, by obrażać się o nazywanie nas chrześcijańskim zespołem hardcore. Ale nie jesteśmy religijną grupą, po prostu przyklejono nam taką łatkę. Ludzie często nas określali w ten sposób i przylgnęło to już do nas.
**Nie byliście też nigdy zbyt polityczni, tymczasem na nowej płycie znalazło się miejsce dla piosenki „Hearts on Fire". Dzisiaj przed jej wykonaniem mówiłeś o konieczności wycofania wojsk okupacyjnych z Iraku. Czy uważasz, że nastał właściwy czas na polityczne deklaracje?**
Myślę, że wiele zespołów staje teraz po stronie większości, krzycząc „precz z Bushem!", „precz z USA!" itd. My nie mieliśmy takich intencji. Ale w październiku koncertowaliśmy w Serbii i po przyjeździe do Belgradu zobaczyliśmy zniszczenia pozostawione przez wojnę domową i siły rozjemcze. W centrum miasta oglądaliśmy leje po bombach zrzuconych przez NATO-wskie samoloty. To było straszne! Kiedy widzisz takie rzeczy w telewizji, nie zdajesz sobie sprawy z tego, że w to wszystko uwikłani są niewinni ludzie. Wielu ludzi odradzało nam przyjazd do Polski, przekonując nas, że to przerażające miejsce, gdzie na poboczach dróg czają się bandyci gotowi nas obrabować. Ale będąc tu,

możemy się przekonać, że mieszkają tu zwykli ludzie, są hotele, kluby, baseny (Chris wskazuje na budynki w okolicy – przyp. aut.). Częściej grywamy w amerykańskich miastach, które są naprawdę niebezpieczne. Nasze nowe piosenki są polityczne w tym sensie, że dotyczą zwykłych ludzi staczających codzienne bitwy. Ci ludzie giną, są pozbawiani podstawowych wolności, uciskają ich rządy krajów, w których żyją. Zobaczyliśmy to na własne oczy i nie mogliśmy o tym nie napisać. To prawda, że nie jesteśmy zespołem politycznym, ale podróżując po świecie widzieliśmy wiele rzeczy, których nie można zobaczyć w telewizji.

**Nagraliście także inną zaangażowaną piosenkę, „Face the Nation". Czemu nie ukazała się na żadnym wydawnictwie?**

To była piosenka z taśmy demo nagranej tuż po wydaniu albumu „Engage". Mieliśmy wiele przygotowanych utworów, które nie znalazły się na nowej płycie. Z całej masy piosenek, które napisaliśmy, wybraliśmy te najlepsze. Mamy chyba jeszcze z pięć-sześć takich odrzuconych kawałków, które nie znalazły się na płytach. Możliwe, że jeszcze kiedyś się ukażą. Wszystkie je mamy na kasetach, więc jeszcze się okaże, jakie będą ich dalsze losy (śmiech).

**Dziś na scenie powiewał baner Stretch Arm Strong z logo organizacji PETA (People for Ethical Treatment of Animals – Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt). Czy PETA jest sponsorem tej trasy?**

Nie, ale sponsorowała trasę, którą odbyliśmy latem ubiegłego roku. Ja jestem wegetarianinem, a David, nasz gitarzysta, jest weganem. Współpracujemy z PETA, a ona wspiera nasz zespół. Jesteśmy po prostu mocno z nią związani, wierzymy w to, co robi, a ona wierzy w nas. PETA ufundowała nam ten baner, więc wieszamy go na scenie podczas koncertów.

**W Waszej najbardziej hymnowej piosence, „For the Record", pojawia się wers: „W Karolinie Południowej flaga wciąż pokazuje zniewolenie naszych umysłów". O jaką flagę chodzi?**

Na gmachu parlamentu stanowego w Columbii, naszym rodzinnym mieście, wisi flaga Konfederacji. Dziś na koncercie pierwszy zespół miał taką flagę zatkniętą na wzmacniaczu. Tam, skąd pochodzimy, jest to symbol ucisku i rasizmu. Pod tą flagą walczyli konfederaccy żołnierze w czasie wojny secesyjnej, która w istocie była wojną o niewolnictwo. Konfederacki sztandar wciąż powiewa na dachu naszego parlamentu stanowego i widzimy go codziennie, ilekroć jesteśmy w centrum miasta. Pewna grupa ludzi wciąż chce używać tej flagi przez wzgląd na ich dziedzictwo. Dla nas to oznaka ignorancji, rasizmu i uprzedzeń. Piosenka „For the Record" dotyczy naszego dorastania w Karolinie Południowej. Niezgoda na te konfederackie tradycje była wówczas jednym z elementów naszego życia i sporo o tym rozmawialiśmy.

**Wspomniałeś, że jeden z zespołów wywiesił dziś na scenie flagę Konfederacji, ale w Europie wielu ludzi traktuje ten sztandar jako symbol rock'n'rolla lub rebelii. Co o tym sądzisz?**

Nie biorę tego do siebie. Graliśmy kilka koncertów w Europie, gdzie widzieliśmy miejscowe zespoły używające tej flagi. Myślę, że dzieje się tak dlatego, że ludzie tutaj nie zdają sobie sprawy z pełnego jej znaczenia. Wątpię, by chcieli wyrazić coś poprzez samo jej użycie. Ale my pochodzimy z Południa Stanów Zjednoczonych i odbieramy ją jako symbol „białej siły". Nie popieramy korzystania z konfederackiej flagi, ponieważ w naszych rodzinnych stronach rasizm jest prawdziwym problemem. Zapewne tutaj ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co oznacza ten sztandar, ale dla nas jest to zdecydowanie negatywny symbol.

**A propos Południa... Można łatwo zauważyć, że zespoły z południa USA, takie jak Stretch Arm Strong, Avail czy Hot Water Music są bardziej naturalne – nie dbają o wizerunek tak bardzo, jak np. grupy z Zachodniego Wybrzeża.**

Ludzie na Zachodnim Wybrzeżu mają inny sposób życia niż my. Są bardziej progresywni i ciekawi świata, podczas gdy Południowcy są bardziej ułożeni. Przyjaźnimy się z wieloma zespołami z Południowej Kalifornii, np. Throwdown czy Eighteen Visions. Jeżeli muzyka jakiegoś zespołu nie jest pozbawiona treści, to sprawy wizualne są nieistotne. Teraz nawet w popularnych zespołach, muzycy mają podarte spodnie i szalone fryzury. Zespoły mogą robić, co chcą, ale jeśli ich muzyce brakuje treści, możesz to natychmiast zauważyć. Cała ta moda wyblaknie bardzo szybko, jeśli muzyka i ludzie, którzy ją grają, nie mają w sobie nic. Ale to prawda, zespoły z Zachodniego Wybrzeża zawsze były bardziej zainteresowane modą. To ich sprawa. Mamy i wśród nich wielu przyjaciół.

**Coś do dodania?**

Bardzo doceniamy polskich hardcore kids. Cieszymy się z każdej możliwości, by pojawić się w Polsce i wrócimy do Was najszybciej, jak to tylko możliwe.

# max cavalera

Maxa Cavalerę zna chyba każdy, kto kiedykolwiek interesował się metalem. Założyciel Sepultury, obecnie lider Soulfly, to zapewne jeden z najlepiej rozpoznawalnych Brazylijczyków na świecie (pomijając całe pokolenia genialnych piłkarzy). Niedawno gościł ponownie w Polsce, wkrótce ukaże się najnowsza, piąta już płyta Soulfly, warto więc parę słów o nim napisać.

Sepultura to dla Cavalery już historia: opuścił on zespół w grudniu 1996 po kłótni z kolegami, którzy domagali się zmiany menadżera grupy. Problem w tym, że owym menadżerem była Gloria Cavalera, w cywilu żona lidera. Po z górą dekadzie wspólnego grania drogi Maxa i Sepultury się rozeszły, ale pozostało po nich kilka genialnych płyt, choćby arcydzieło thrash/death metalu „Beneath The Remains" czy zwiastująca zmianę stylu „Roots", bliższa późniejszym dokonaniom Soulfly.

I właśnie Soulfly nas tu bardziej interesuje. Na powstanie zespołu miało duży wpływ tragiczne wydarzenie z życia Maxa: jego adoptowany syn, Dana Wells, został zamordowany przez nieznanych (i do dziś nie odnalezionych) sprawców. Z głębokiej depresji, w jaką wpadł Cavalera po śmierci chłopaka, wyciągnęła go muzyka. Max wystąpił gościnnie w utworze zaprzyjaźnionej kapeli Deftones „Head Up" i właśnie tam padło po raz pierwszy słowo „Soulfly". Wkrótce potem Cavalera zebrał ekipę i dał się z nią do studia, by nagrać pierwszy longplay swojego nowego zespołu. Zadedykował go Danie, podobnie zresztą jak i następne płyty, na których umieszcza też może i paletyczne, ale szczere i mocne słowa skierowane do zabójców syna.

Debiutancki album, zatytułowany po prostu „Soulfly", ukazał się w 1998 roku i szybko zdobył uznanie zarówno krytyków, jak i publiczności. Dynamiczny, agresywny metal, wzbogacany elementami rozmaitych stylów, nie mógł się nie podobać. Niektórzy zarzucali Cavalerze koniunkturalizm, na płycie wystąpiło bowiem wielu gości z „górnej półki" nu-metalowego szołbiznesu. Pojawili się m.in. Fred Durst, niemal cały skład Fear Factory oraz Chino Moreno z Deftones. Swoją drogą, kooperacje z innymi muzykami są charakterystyczne dla Soulfly: na kolejnych płytach zagrali z Maxem m.in. Sean Lennon, Corey Taylor ze Slipknota czy Tom Araya ze Slayera. I każdy z nich wniósł do muzyki zespołu coś świeżego.

Kolejne albumy – „Primitive", „3" oraz „Prophecy" potwierdziły wysoką klasę zespołu Cavalery. Nastąpiły też roszady w składzie. „W zespole pojawiło się parę osób, do których nie docieralo, że nie jesteśmy cholernymi gwiazdami", mówił wówczas Max. Co do gwiazdorstwa, to można mieć wątpliwości... Najbardziej ortodoksyjni fani do dziś wytykają Cavalerze udział w brazylijskiej reklamie Sprite'a, tym bardziej, że muzyk znany jest ze swoich zdecydowanych, antykapitalistycznych poglądów. Jednak jego działalność na rzecz walki z ubóstwem w Ameryce Południowej przyniosła mu zdecydowany szacunek, nie tylko ze strony oddanych wielbicieli.

Już wkrótce czeka nas premiera najnowszego albumu Soulfly, „Dark Ages". Płyta ma przynieść pewne zmiany w muzyce zespołu. Wedle słów Cavalery będzie bardziej brutalna, cięższa, ale niepozbawiona charakterystycznych dla zespołu rozwiązań rytmicznych i wpływów muzyki etnicznej.

Działalność muzyczna Cavalery nie ogranicza się tylko do Soulfly. Był współzałożycielem – niestety, krótko istniejącego – projektu Nailbomb, udziela się gościnnie na płytach wielu wykonawców (Probot, czyli solowy projekt Dave'a Grohla z Foo Fighters, czy wspomniany wyżej Deftones). Jest też mocno zaangażowany w działalność charytatywną i akcje społeczne. Nazywany przez dziennikarzy „Bobem Marleyem metalu" protestuje, bowiem uważa, że nie zasłużył na takie miano. Jednak coś w tym jest. Wpływ Cavalery na współczesny metal jest niezaprzeczalny, podobnie jak na traktujących go z olbrzymim szacunkiem fanów.

A propos: polscy fani mają z Cavalerą dobre życie. Muzyk gościł w naszym kraju wielokrotnie (jego żona, swoją drogą, ma polskich przodków), najpierw z Sepulturą, potem z Soulfly, z którym zresztą odwiedza Polskę regularnie. „Uwielbiam grać w Polsce", mówi. „Publiczność jest niesamowita, reaguje entuzjastycznie, warto dla Was grać". Dowodem na to, że nie jest to tylko czysta kurtuazja może być choćby fakt, że podczas ostatniej, lipcowej wizyty zespół nakręcił w Warszawie materiał do teledysku i koncertowego DVD. (jd)

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

www.jezjerzy.pl

HAP
NO, PROSZĘ... CO ZA MIŁE SPOTKANIE... NIE ZAPROSISZ MNIE DO ŚRODKA? POWSPOMINALIBYŚMY DAWNE CZASY...
O, KURWA !!!

PRZEPRASZAM, ŻE PRZESZKADZAM, ALE...
COŚ SIĘ STAŁO?
OBAWIAM SIĘ, ŻE TAK...

BIEDNY LEW... ZAL BĘDZIE CHŁOPINY...

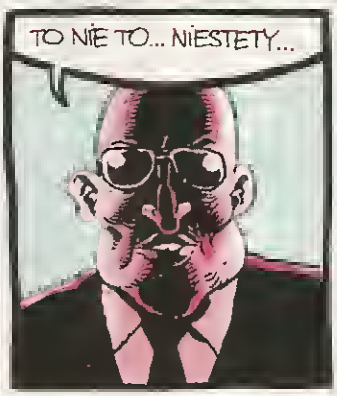
TO NIE TO... NIESTETY...

NIE TO?

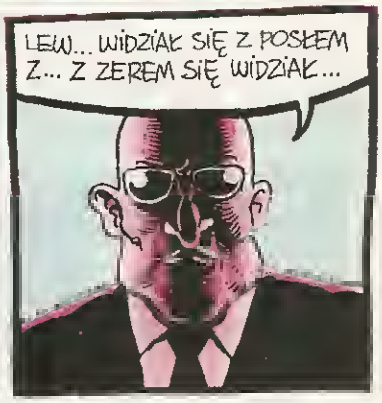
LEW... WIDZIAŁ SIĘ Z POSŁEM Z... Z ZEREM SIĘ WIDZIAŁ...

JA PIERDOLĘ!!! I CO?!

I PO ICH ROZMOWIE POSADZILI JERZEGO. JEŻA JERZEGO

JEŻA JERZEGO?! A KTO TO, KURWA, JEST?!

TEGO JESZCZE NIE UDAŁO NAM SIĘ USTALIĆ... W KAŻDYM RAZIE PRZEKAZ JEST JASNY...

LEW DAŁ NAM SYGNAŁ, ŻE JEŚLI NIE BĘDZIE ODPOWIEDNIO TRAKTOWANY, TO ZACZNIE SYPAĆ...

A TO SKURWYSYN!...

TO CO TERAZ ROBIMY?

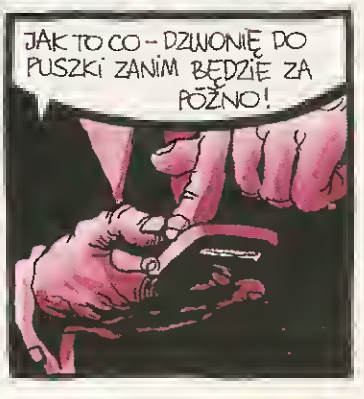
JAK TO CO - DZWONIĘ DO PUSZKI ZANIM BĘDZIE ZA PÓŹNO!

C.D.N.

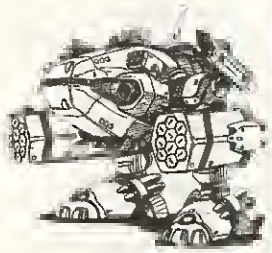

## Battlefield 2
**Electronic Arts**

No tak, pojawił się Battletield 2 i od razu zrobił czystkę na serwerach innych gier. Ale czy można było oczekiwać czegoś innego? Ale może by tak od początku. Graliście swego czasu w Battlefield 1942 albo różne dodatki i modyfikacje tej gry? Z pewnością. I z pewnością zostały wam po nich mile wspomnienia. Duże mapy, wieloosobowe drużyny, możliwość latania samolotami, nie mówiąc już o wszelkiej maści czołgach itd. Od niedawna dostępna jest wersja tej gry z polonizacją kinową (czyli z napisami, bez dubbingowanych głosów), zatem można powiedzieć, pełna proteska – dla tych, którzy mają problemy z komunikatami w stylu: „roger that", bądź „move, move!" :) W grze możemy dołączyć do drużyn Amerykanów, Chińczyków lub Arabów i zasadniczo musimy bronić swojej flagi i zdobyć flagę przeciwnika (oraz inne punkty kontrolne – nie jest to ctf). Do wyboru mamy siedem klas żołnierzy, m.in. snajper, komandos, sanitariusz. W zależności od wyboru klasy dostajemy typowe dla niej uzbrojenie, co nie przeszkadza nam korzystać z różnych pojazdów, a także samolotów czy helikopterów. Mapy, na których staczamy bitwy, są ogromne, maksymalna ilość graczy na niektórych z nich to 64 osoby (32 w jednym teamie, słabo?). Dla niezsieciowanych jest możliwość gry z botami. I lepiej zacznijcie od najniższego poziomu trudności, bo nawet wtedy nie jest łatwo. Mapy, skoro już zostały wspomniane, są bardzo różnorodne: woda, miasto, tereny leśne – co tylko chcecie (tylko czekać na pojawienie się edytora i kolejnych map, robionych już przez fanów). Naprawdę nie ma to jak walka po stronie arabskiej w wąskich uliczkach miasta, gdy Amerykanie próbują je zająć, bądź cudowny rajd zygzakiem na motorówce (jako Amerykaniec) od lotniskowca w stronę lądu, który jest strasznie daleko, a jedyne, co cię czeka, to niespodziewane pojawienie się samolotu i... zaczynamy od respawnu na lotniskowcu (sprawdzone w sieci). Jednym słowem, Battlefield 2 rządzi. To chyba najlepsza obecnie sieciowa strzelanina. Jeśli macie odpowiednio mocnego kompa (gdyż gra po prostu nie rusza na słabszych, mimo wyłączania delali) i lubicie zarwać kilka godzin w sieci na eksterminacji przeciwnika, koniecznie zagrajcie w Battlefielda 2!

## Chrome: Specforce
**Techland**

Bodajże miesiąc temu wspominaliśmy o kolejnej polskiej produkcji, jaką jest Chrome: Specforce, first person shooter osadzony w realiach znanych z innej gry Techlandu – Chrome. Osadzony jest do tego stopnia, że jego akcja rozgrywa się przed wydarzeniami znanymi właśnie z Chrome'a, a bohaterem jest ten sam koleś, co się zwie Logan. Nie wiem, jak to jest, ale jakoś (już teraz) seria Chrome zupełnie mi nie leży. Nie to, żeby Chrome: Specforce był całkiem do kitu, jednak zawsze jest jakieś „ale". Grafika niby w porządku, ale nie za bardzo możemy sobie pooglądać, co stworzyli graficy, bo lraliamy na niewidzialne ściany, bądź nie mamy możliwości zejścia z raz obranej, słusznej i jedynej drogi. Giwery i możliwość używania pojazdów jest, ale jakoś nie sprawia takiej lrajdy, jak w innych grach. Scenariusz, choć zostawia wiele do życzenia, ujdzie w tłoku, ale wszechobecne skrypty i brak możliwości wyboru troszkę denerwują. Szkoda, bo jednak gra ma potencjał, tylko jak powiedział swego czasu nasz prezydent, miało być dobrze, wyszło jak zwykle. Ale jest też inne powiedzenie: do trzech razy sztuka. Może Techland zdecyduje się na kontynuowanie serii, jednak niech weźmie pod uwagę choćby część zastrzeżeń, jakie wiele osób ma do ich obecnie już sztandarowego produktu.

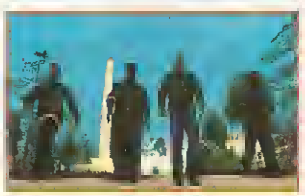

## GTA: San Andreas
**Rockstar North**

W przypadku tej gry po prostu powinienem napisać: „jest i proszę biec do sklepu i kupić". Niestety wiem, że nie dla wszystkich (a może dla bardzo niewielu) jest to realne - gra kosztuje ponad 250 złotych. Cena jak na polskie warunki i kieszenie zaporowa, tylko piraci się cieszą. Ale wróćmy do gry. Właściwie nie da się o niej powiedzieć złego słowa (choć do graly można się przyczepić, ale tak to jest z konwersjami konsolowymi), gdyż pod każdym względem gra zabija. Ilość misji do wykonania, głównych i pobocznych, możliwość wcielenia się w najróżniejsze postacie i profesje (znane już z GTA 3), jak strażak, alfons lub złodziej, minigierki, jakie możemy znaleźć w San Andreas, no jednym słowem masakra. A przecież to jeszcze nie koniec. Są pojazdy: motory, samochody, samoloty i... BMX-y. W GTA: SA spotkamy także bohaterów z poprzednich części gry. Jest też jeszcze fabuła. Wcielamy się w niejakiego Carlosa Johnsona, który wraca na stare śmiecie i widzi, że chyba musi zrobić tam porządek. To tak w wielkim skrócie, gdyż po prostu nie starczyłoby miejsca, by dokładnie przyjrzeć się najnowszej odsłonie GTA. Powoli zaczynam rozumieć, co wszyscy w niej widzą.

gad

# newsy

## LEM ma Atari

Oczywiście firma LEM, a nie Stanisław. Nasz rodzimy dystrybutor został oficjalnym „rozprowadzaczem" gier Atari na rynku polskim. Co może tylko cieszyć, gdyż poprzedni dystrybutor, CD Projekt, jakoś nie zawsze stawał na wysokości zadania. Co to oznacza dla graczy? Choćby to, że w końcu bez problemu będą mogli kupić (za bardzo przyzwoitą cenę) taki Unreal Tournament 2004:) Oraz, oczywiście, wiele innych tytułów sygnowanych logo Atari.

## Hitman na Dies(e)lu

Popularny agent 47, znany także jako Hitman, ma szansę pojawić się na dużym ekranie. Ciekawostką jest jednak to, że w rolę Thomasa Reipera vel Hitmana wcielił się Vin Diesel, znany między innymi z serii filmów o niejakim Riddicku, malowniczym chłopcu o dziwnym wzroku:) – czyżby pojawiła się nowa kategoria aktorska, „odtwórca postaci z gier"? Premierą filmu zapowiedzianą jest na 2007 rok i wtedy też ma pojawić się kolejna odsłona na pecety przygód łysego agenta.

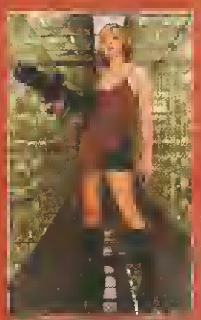

## Resident Mila

Nie ma to jak dobra seria gier, by potem sukcesywnie filmować każdą jej część. Mam na myśli Tomb Raidera? Oczywiście, że nie! Cykl survival horrorów Resident Evil prawdopodobnie doczeka się kolejnych dwóch odsłon na dużym ekranie. W roli Alice – któżby inny – Mila Jovovich, która znów będzie musiała stawić czoło hordom zombiaków i innych paskudztw. Trzecia część Resident Evil ma się nazywać Afterlife, o czwartej nie wiadomo na razie prawie nic. W każdym razie będzie krwawo, idiotycznie itd. – według krytyków. A według fanów gry i Mili? Myślę, że znakomicie.

## Atak znad Wełtawy

Pamiętacie może jeszcze taką grę Operation Flashpoint? Nie? W sumie macie prawo, gdyż od jej premiery minęło pięć lat. Jeśli jednak lubicie różne Call of Duty, Brothers in Arms, Battlefieldy, to powinniście co nieco pamiętać... Operation Flashpoint czeskiego studia Bohemia Interactive to prawdziwy symulator żołnierza w konwencji fps (jedno trafienie i... zaczynamy grę od nowa). Otóż w końcu doczekamy się następcy – niestety dopiero w przyszłym roku, ze względu na problemy na linii Bohemia i Codemasters (wydawca gry). Inną rzeczą wartą zapamiętania jest to, że gra nie będzie nosić tytułu Operation Flashpoint 2 (jak było do tej pory), a Armed Assault.

## Znów gotycko będzie...

...na monitorach naszych komputerów. Trzecia część cyklu Gothic zaczyna się w miejscu, w którym kończy się dwójka (bardzo oryginalne). Akcja tego erpega z perspektywy trzeciej osoby na rozgrywać się na kontynencie opanowanym przez orków. Gra ma być całkowicie nieliniowa i pozwoli graczowi stanąć po stronie ludzi, którzy są, że tak powiem, na wykończeniu, bądź po stronie orków, którzy chcą zakończyć smutny żywot przedstawicieli naszego galunku. Zabawa ma się zacząć w 2006 roku. W sumie to już nie tak długo...

# komiks recenzje

## EPIZODY POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

**Antologia prac konkursowych**
Print Partner

Niniejszy zbiorek to pokłosie ogłoszonego przez Muzeum Powstania Warszawskiego konkursu na komiks o wydarzeniach sierpnia i września 1944 roku. Przywodzi od razu na myśl egmontowską antologię „Wrzesień" – widać zapotrzebowanie na komiksy historyczne i dokumentalne (tu jeszcze warto wspomnieć o albumie „Westerplatte. Załoga śmierci") jest u nas duże. I dobrze, bo komiks jako medium sprawdza się dobrze w opowiadaniu historii. Nie chcę tu wyjątkowo oceniać poziomu „Epizodów...", zwłaszcza, że w pełni profesjonalny jest właściwie tylko – słusznie uhonorowany pierwszą nagrodą – komiks Karola Konwerskiego i Rafała Sztapy „Sierpniowa Niobe". Nie chodzi tu bowiem o wystawianie ocen poszczególnym autorom. Zbiór zasługuje na uwagę przede wszystkim z jednego powodu: jest przykładem fantastycznej organizacji Muzeum Powstania Warszawskiego, które jest bodaj najnowocześniejszym przybytkiem tego rodzaju w Polsce. Miejscem, które oddziałowuje na widza multimedialnie (równie ważne, co eksponaty, są tu dźwięki, wyświetlane na ekranach filmy, aranżacje przestrzeni), miejscem, w którym o historii mówi się z dumą i odwagą, ale bez zadęcia i patosu. To również zapewne najbardziej przyjazne młodym ludziom muzeum w naszym kraju, o czym mogą świadczyć choćby wspomniany konkurs komiksowy czy organizowane koncerty (ostatnio Lao Che, Armia, Bakshish). Odwiedzajcie więc Muzeum i jego stronę internetową (www.1944.pl), czytajcie „Epizody Powstania Warszawskiego". Być może to zachęci Was także do wzięcia udziału w przyszłorocznej edycji konkursu, o której w odpowiednim czasie napiszemy. (jd)

## KAZNODZIEJA. KREW I WHISKEY

**scenariusz: Garth Ennis**
**rysunki: Steve Dillon**
EGMONT

Witajcie ponownie, tani Kaznodzieje! Po dwóch częściach wracamy do bieżących wydarzeń z życia Jesse'ego, Tulip i Cassidy'ego. Po zagładzie Masady i rozbiciu w pył złowieszczej organizacji Graal trójka przyjaciół spotyka się w Nowym Jorku, nieświadoma, że ich tropem podąża nieubłagany Herr Starr. Dla niego pogoń za Custerem zmieniła się już w prywatną wojnę. Więcej w tej części psychologii i długich rozmów (jak zwykle – świetne dialogi), spychających akcję na drugi plan, ale to też wina polskiego wydania, znów rozbijającego oryginalny album na dwa tomy. Jednak prawdziwą petardą jest otwierająca „Krew i whiskey" długa opowieść o nieodległej przeszłości Cassa. W Nowym Orleanie wampir spotyka swojego pobratymca Eccariusa, dupka i pozera wyjętego żywcem z kart powieści Anne Rice, a na dodatek przewodzącego grupie Les Enfants du sang – dziwacznej zbieraninie fanów gotyku i wampiryzmu (jeden z nich – jestem o tym przekonany – to złośliwa karykatura Neila Gaimana). To z pewnością jeden z najzabawniejszych jak dotąd epizodów „Kaznodziei", nie pozbawiony jednak głębszych treści. Czy pisałem już, że Ennis jest geniuszem? Tak, wiem. Nie raz. I jeszcze nie raz to powtórzę. (jd)

## BATMAN. HUSH tom 1

**scenariusz: Jeph Loeb**
**rysunki: Jim Lee**
EGMONT

Źle się dzieje w Gotham City. Sekwencja dziwnych wydarzeń (Killer Croc porywa dziecko dla okupu, pieniądze przejmuje jednak Catwoman i przekazuje je Poison Ivy) sprawia, że Batman zaczyna podejrzewać, iż jego dawni wrogowie są manipulowani przez kogoś o wiele potężniejszego niż mogłoby się wydawać. Mocno poturbowany po walce z Killer Crokiem Bruce udaje się do Metropolis, licząc na pomoc Supermana i Lois Lane... Uff, trochę dużo tych postaci... A to nie wszyscy, bowiem w albumie pojawią się jeszcze Huntress, Oracle i – chyba po to, by dobić zmęczonego czytelnika – Superpies (z peleryną przypiętą do obroży!). A to wszystko sprawia, że komiks Loeba to taka delikatna ściema: niby robimy poważny komiks o rozterkach Mrocznego Rycerza, a tak naprawdę mamy tylko kolejną napierdalankę, na dodatek mocno osadzoną w aktualnych realiach uniwersum DC (Lex Luthor prezydentem Stanów Zjednoczonych, etc.). Osobiście wolę historie bardziej uniwersalne, mroczniejsze, wyciągające istotę pokręconej osobowości Wayne'a. Żeby nie było: Loeb jest dobrym scenarzystą i „Hush" ma także dobre momenty: ot, choćby dziwny romans–nieromans Batmana i Catwoman. Jednak po takich komiksach jak „Long Halloween" czy „Dark Victory", „Hush" to rozczarowanie. Natomiast rysownik Jim Lee pokazuje się z jak najlepszej strony. Nigdy nie byłem wielbicielem jego stylu, ale tym razem chyłę czoła. Dynamiczne, dokładne ilustracje są wysokiej klasy, jednak prawidziwy kunszt Lee pokazuje w nieco onirycznych planszach, przedstawiających wspomnienia Bruce'a z dzieciństwa. Brawo. A na koniec ciekawostka: na okładce „Hush" i opisywanego obok „Lobo" możemy już zobaczyć nowe logo DC. Niestety, nie wpłynęło ono na nową jakość komiksów z tego wydawnictwa. (jd)

# wydarzenie

## KINGDOM COME PRZYJDŹ KRÓLESTWO

**scenariusz: Mark Waid**
**rysunki: Alex Ross**
EGMONT

Jeden z najsłynniejszych komiksów wydanych w cyklu DC „Elseworlds", przedstawiającym alternatywne dzieje superbohaterów. „Kingdom Come" przenosi nas w niedaleką przyszłość. Wszyscy „starzy" bohaterowie wycofali się pod wpływem odejścia Supermana. Niektórzy zginęli, inni – jak Green Lantern – zaszyli się w kosmicznej otchłani, jeszcze inni zmienili cel swoich działań: Hawkman stał się siejącym strach ekoterrorystą, a Batman zmienił Gotham w zamknięte miasto. Nowymi obrońcami wolności i sprawiedliwości są tzw. metaludzie, niewahający się w walce ze złem zabijać, nie patrząc na przypadkowe ofiary wśród ludności. Większość z nich przedkłada również własne potrzeby nad walkę z coraz silniejszymi przestępcami. Obserwując ich poczynania Liga Sprawiedliwości postanawia wrócić do gry. Zgorzkniały Superman zbiera swoich dawnych przyjaciół, by przeciwstawić się metaludziom. Tymczasem, starzejący się Lex Luthor zbiera grupę dawnych superłotrów, których zadaniem jest powstrzymać reaktywację Ligi Sprawiedliwości. Do sojuszników Luthora przyłącza się niespodziewanie Batman...

Dużo się dzieje w tym komiksie, chwilami aż za dużo, gdy kolejni superbohaterowie migają czytelnikowi przed oczami, nie odgrywając w fabule istotnej roli. Na brak akcji – swoją drogą dynamicznej i nieźle poprowadzonej – nie można więc narzekać. Jednak istotą „Kingdom Come" nie jest wcale naszpikowana wydarzeniami fabuła. Mark Waid postanowił zmierzyć się z fenomenem popularności superbohaterów, udowadniając jednocześnie, że są oni nam – czytelnikom – potrzebni. Co sprawia, że faceci i kobiety w dziwacznych kostiumach stają się legendami popkultury? Czy są ucieleśnieniem naszych marzeń o nieśmiertelności i mocy (nie bez powodu komiks naszpikowany jest biblijnymi cytatami, a bohaterów porównuje się do bogów)? Jakie są granice możliwości i działań superherosów? Pytań pada tu zresztą o wiele więcej, a kontekstów, wątków i tropów odnajdziecie tu mnóstwo – zdecydowanie „Kingdom Come" to nie komiks na jednorazową lekturę. Warto się w niego wgryźć, bo wtedy odkrywa przed czytelnikiem nowe możliwości interpretacji. Trzeba przy tym uzbroić się odrobinę cierpliwości: choć Waid stara się odbrązowić komiksowych herosów, to jednak poziom „superbohaterstwa", patosu i niezłomnej wiary w Człowieka jest chwilami trudny do zniesienia. Łatwo też zauważyć, że autor próbuje w jakiś sposób zmierzyć się z komiksowymi legendami w rodzaju „Strażników" Alana Moore'a czy „Powrotu Mrocznego Rycerza" Franka Millera. No cóż, mistrzów nie przebija, pewnie bez nich też „Kingdom Come" w ogóle by nie powstało. Jednak mimo pewnych wad komiks Waida i Rossa (autora rewelacyjnych, realistycznych ilustracji) to z pewnością dzieło ważne i warte przeczytania. Zwłaszcza dla wielbicieli opowieści o superbohaterach to lektura obowiązkowa. (jd)

## LOBO WYZWOLONY #1

**scenariusz: Kieth Giffen**
**rysunki: Alex Horley**
MANDRAGORA

Tytuł serii sugeruje, że Lobo uciekł wreszcie od wszelkich ograniczeń i może stać się bohaterem pełnokrwistego komiksu dla dorosłych. No cóż, zawsze był to cykl przeznaczony zdecydowanie dla dojrzałych czytelników, obdarzonych silnym poczuciem ironii i odpornych na brutalne zachowania kosmicznego rzeźnika. Czy może być jeszcze bardziej przegięty? Otóż może, choć nie spodziewajcie się nie wiadomo czego. Wyzwolony Lobo robi to samo, co zawsze – wypełnia swoją misję pazernego na kasę łowcy nagród. Natomiast Giffen nie bardzo chyba wie, co z tym Lobo zrobić, skoro może pozwolić sobie na wiele więcej niż do tej pory. Kończy się na tym, że Ważniak walczy z przeciwnikiem używającym jako broni przerośniętych jąder, wesoło zwisających spod spódniczki w szkocką kratę. Śmieszne? Nie bardzo, za to na pewno obrzydliwe. Dziwaczne, antypatyczne postaci i liczne seksualne aluzje też nie pomagają. Nowej wizji Lobo bliżej – klimatem, bo na pewno nie poziomem – do „Ranxeroxa". A nie wiem, czy w tym przypadku to komplement. Komiks przestał być śmieszny, stał się irytujący. Oby w następnych odcinkach było lepiej, bo na razie to rozczarowanie. (jd)

## HEAT tom 1

**scenariusz: Buronson**
**rysunki: Ryoichi Ikegami**
JPF

Życie japońskiego gangstera to nie rurki z kremem. Doskonale wie o tym główny bohater „Heat", Tatsumi Karasawa, którego życiowe motto brzmi: „Jak gość mi się nie podoba, to dostaje po mordzie". A nie podoba mu się wielu gości, zwłaszcza tych, którzy stają na drodze do przejęcia kontroli nad całym przestępczym podziemiem. „Heat" jest wyjątkową mangą z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, realistyczne rysunki Ryoichiego Ikegamiego przedstawiają Azjatów wyglądających jak Azjaci, a nie wielkookie androgyniczne istoty. Po drugie, z tak dużą dawką komiksowej przemocy i seksu polscy fani mangi jeszcze nie mieli okazji się zetknąć. Po trzecie, główni bohaterowie to banda zgorzkniałych, nihilistycznych drani, od których próżno oczekiwać, by świecili dobrym przykładem. Jeżeli gustujecie w brutalnych historiach gangsterskich i azjatyckim kinie akcji, to „Heat" jest stworzony specjalnie ku Waszej satysfakcji. A trzeba przyznać, że potrafi trzymać w napięciu. /*SBTN*/

# recenzje filmowe

## AKIRA KUROSAWA
**PAKIET FILMÓW**
MAYFLY

Nie ma co ukrywać: ten pakiet zapiera dech w piersi. Zbiór 11 dzieł jednego z najważniejszych twórców w historii kina, japońskiego geniusza filmu, Akiry Kurosawy. To właściwe powinno wystarczyć za rekomendację, bowiem nazwisko tego reżysera jest znane wszem i wobec, podobnie jak jego dokonania. Owszem, mogę dorzucić kilka tytułów z pakietu: „Siedmiu samurajów", „Tron we krwi", „Ukryta forteca", „Piętno śmierci", „Pijany anioł"... Klasyki nad klasykami, arcydzieła kina – o tych filmach mówić można tylko w superlatywach. Przeciętny widz kojarzy Kurosawę zapewne z jego filmów samurajskich i współpracy z najsłynniejszym japońskim aktorem, Toshiro Mifune. I dobrze, choć oczywiście twórca nie realizował jedynie eposów historycznych, zajmując się także Japonią sobie współczesną. Ale to bez znaczenia: niemal każdy jego film zasługuje na uwagę i każdy trzeba obejrzeć, bo to artysta, który miał ogromny wpływ na światową kulturę. Ot, choćby bez „Straży przybocznej" (również umieszczonej w pakiecie) nie byłoby „Za garść dolarów" Sergio Leone i „Ostatniego sprawiedliwego" Waltera Hilla. Bez „Siedmiu samurajów" nie powstałoby – oczywiście – „Siedmiu wspaniałych". Bez Kurosawy nawet komiks o Usagim Yojimbo wyglądałby inaczej. Wybaczcie mi te kilka linijek uniesienia i egzaltacji, ale po prostu moim zdaniem to najważniejsza edycja DVD na polskim rynku w tym roku. A pewnie i jedna z najważniejszych w ogóle. Co można jeszcze dodać? Ogromne „arigato" dla dystrybutora. (jd)

## CONSTANTINE
**reż. Francis Lawrence**
WARNER BROS.

Może to i dobrze, że komiks „Hellblazer" – którego bohaterem jest współczesny mag, John Constantine – nie jest w Polsce zbyt dobrze znany, bowiem jego ekranizacja do najlepszych nie należy. To znaczy, jeśli się nie zna pierwowzoru, to film może się nawet podobać. Jeśli jednak jesteście fanami „Hellblazera", to „Constantine" będzie dla Was rozczarowaniem. Tytułowy bohater (grany przez Keanu Reevesa, który najwyraźniej jeszcze nie przestawił się po „Matrixach") to ktoś w rodzaju świeckiego egzorcysty, walczącego o zachowanie równowagi pomiędzy siłami Światła i Ciemności. Ma do tego niezłe predyspozycje, ponieważ kiedyś, wskutek nieudanej próby samobójczej, trafił do piekła i wrócił na ziemię. Żywy. Teraz ma okazję sfanąć do walki z diablem: syn Lucyfera pragnie objąć władzę na ziemi, a kluczową (choć nieświadomą) rolę w jego planie odgrywa policjantka Angela Dodson... Początek filmu, w którym Constantine wypędza demona z ciała nawiedzonej kobiety, wygląda nieco jak „Egzorcysta" dla ubogich, potem na szczęście jest lepiej. Co prawda treść filmu to w dużej mierze pseudoteologiczny bełkot, jednak fabuła nawet trzyma w napięciu, jeśli tylko przymknie się oko na ewidentne nieścisłości scenariusza. Podobała mi się też wizja piekieł – w ogóle od strony wizualnej „Constantine" jest przygotowany bardzo porządnie. Ale mimo wszystko nie za bardzo mogę wybaczyć autorom filmu, że zrezygnowali z tylu fajnych pomysłów komiksowych na rzecz głupawych uproszczeń hollywoodzkich. (jd)

## SZTUKA SPADANIA
**reż. Tomasz Bagiński**
VISION

Po niespodziewanym sukcesie „Katedry" (jak pamiętamy, film był nominowany do Oscara w kategorii najlepszej animacji krótkometrażowej) Tomasz Bagiński poświęcił trochę czasu, żeby jego kolejne dzieło było równie dopracowane. Opłacało się: „Sztuka spadania" jest równie udana, zwłaszcza pod względem animacji i – podobnie jak „Katedra" – trafiła do dystrybucji kinowej, co w przypadku kilkuminutowego filmu jest nie lada sukcesem (oczywiście była wyświetlana przed innym filmem). Recenzji filmu, który trwa zaledwie siedem minut, nie ma co pisać, po prostu go zobaczcie. Natomiast warte uwagi jest wydanie DVD, wzbogacone o kilkadziesiąt minut ciekawych dodatków i innych filmów z wytwórni Prestige, w której Bagiński tworzy swoje filmowe perełki. A jako bonus dorzucono specjalne wydanie komiksu o przygodach Wilqa, „Sztuka wypatrywania robotów", który, niestety, wypada dość blado przy tym, co znajdziecie na płycie. (jd)

## FALA - JAROCIN '85
**reż. Piotr Łazarkiewicz**
PROPAGANDA

Słynny już film dokumentalny Piotra Łazarkiewicza, po raz pierwszy prezentowany w pełnej wersji, bez cenzury. Fragmenty koncertów (m. in. Izrael, Kat, Moskwa, Tilt) zderzone z wypowiedziami ówczesnych oficjeli i młodych ludzi, dla których festiwal był ucieczką od szarej codzienności połowy lat 80. Dobrze, że w końcu ten dokument pojawił się na DVD, ponieważ to ważny i ciekawy zapis kawałka historii polskiej muzyki alternatywnej i naszej ówczesnej rzeczywistości. Warto obejrzeć i przemyśleć.

# w kinach

## DARK WATER – FATUM
**reż. Walter Salles**
FORUM FILM

Młoda kobieta Dahlia rozpoczyna życie na nowo: właśnie rozstała się z mężem (z którym toczy nieustającą batalię o prawo do opieki nad dzieckiem), znalazła nową pracę i przeprowadziła się z córeczką Ceci do ponurego blokowiska na Roosevelt Island w Nowym Jorku. Obskurne mieszkanie zadziwiająco szybko przypada do gustu dziewczynce i za jej namową Dahlia decyduje się na wynajem. Wkrótce jednak zaczynają dziać się dziwne rzeczy: woda zalewa sypialnię, a z pozornie opuszczonego apartamentu piętro wyżej dobiegają niepokojące dźwięki. Gdy Dahlia próbuje wyjaśnić tajemnicę owego mieszkania, zjawiska przybierają na sile...

Wybitny brazylijski reżyser Walter Salles („Dworzec nadziei", „Dzienniki motocyklowe") dał się wreszcie skusić tabryce snów (zważywszy na gatunek filmu, to raczej fabryka koszmarów). Niestety, nie zaczął zbyt szczęśliwie. Jego hollywoodzki debiut to remake horroru Hideo Nakaty, nie dorównujący jednak oryginałowi. Owszem, klimat filmu jest odpowiednio złowieszczy i doskonale wykorzystano tu rzeczywiście odpychające otoczenie. Taki Nowy Jork oglądamy w kinie rzadko – duża w tym zasługa operatora Affonso Beato. Na plus trzeba też zaliczyć aktorstwo: nieco histeryczny występ Jennifer Connelly stonowany rolami Tima Rotha i Dougraya Scotta. Brakuje w „Dark Water" przede wszystkim napięcia, to raczej dramat psychologiczny przybrany w szatki opowieści grozy niż pełnokrwisty horror. Poziom czułości, jakimi obsypuje Dahlia swoje dziecko, jest też momentami nieznośny. No i pozostaje pytanie – jak zazwyczaj w przypadku remake'ów – po co to wszystko? Gdybym mógł, to poprosiłbym hollywoodzkich producentów, żeby zostawili już japońskie horrory w spokoju, bo żadna amerykańska podróbka nie dorównała oryginałowi choćby w połowie. (jd)

## SKAZANY NA BLUESA
**reż. Janusz Kidawa-Błoński**
ITI Cinema

Niedawno minęła jedenasta rocznica śmierci Ryszarda Riedla, lidera i wokalisty zespołu Dżem. Jego barwne, ale w sumie smutne życie to idealny – niezbyt elegancko mówiąc – materiał filmowy, aż dziw, że kino po biografię muzyka upomniało się tak późno. Chociaż z drugiej strony patrząc, może trzeba było jeszcze zaczekać, bowiem „Skazany na bluesa" to niezbyt udane przedsięwzięcie. Przede wszystkim dlatego, że film w zasadzie tylko odtwarza znane powszechnie fakty z biografii Riedla – narkotyczne uzależnienie, konflikt z ojcem i zespołem – uzupełniając je mało przekonującymi retrospekcjami z dzieciństwa i naiwną symboliką. Szkoda, bo Riedel był na naszej scenie muzycznej postacią wyjątkową, uwielbianą przez fanów, przykuwającą uwagę swoją charyzmą (do niego akurat to mocno nadużywane słowo pasuje bezapelacyjnie) i fajnie byłoby zobaczyć coś więcej niż tylko obrazki z jego życia. Co więc po „Skazanym na bluesa" zostaje? Po pierwsze, zaskakująco dobra rola Tomasza Kota, znanego do tej pory z gupawych seriali telewizyjnych. Jako Riedel jest on naturalny i szczery. Po drugie, świetna muzyka Dżemu, z pewnością jednego z najważniejszych zespołów w historii polskiego bluesa i rocka. (jd)

# newsy

Dobry! Wstęp zacznę od dobrej rady. Otóż, kiedy planujecie podróż zagraniczną lub z niej wracacie, warto jest mieć przy sobie dowód tożsamości, najlepiej w postaci paszportu lub choćby dowodu osobistego, jeśli poruszacie się w ramach UE. W przeciwnym razie, możecie spodziewać się wielu komplikacji, strat finansowych, stresu i generalnego niesmaku wobec własnych poczynań. Wiem, bo sprawdziłem empirycznie. Fartownie, przystowie o szczęściu głupiego znalazło w mym przypadku zastosowanie i wszystko skończyło się dobrze: do redakcji zdążyłem na czas, newsy napisane, błędy poprawione, jest git. Wstęp również dobrą radą tudzież apelem zakończę: ludzie, do cholery, jest lato, weźcie się myjcie, bo wytrzymać z wami w środkach komunikacji miejskiej nie można! Dziękuję z góry za przychylne rozpatrzenie mej prośby i nakłonienie do zastosowania się do niej również starszych członków swoich familii. Do następnego miesiąca!

NEWS W Polsce w tym miesiącu najważniejszym newsem jest odwołanie koncertu przez Nasa. Powodów nie ujawniono, wiadomo natomiast, że nie odbyły się także planowane występy w Skandynawii i Niemczech. Lipa po oporach. Chyba fanom należy się jakieś wyjaśnienie, panie Jones? Poza tym, jakoś tak cicho. Można jedynie wspomnieć, że White Label pozyskał kolejnych reprezentantów podziemia. Tym razem jest to duet ***W Intencjach Dobra SHHB***. Płyta „Bez Niejasności" ukazać ma się pod koniec roku.

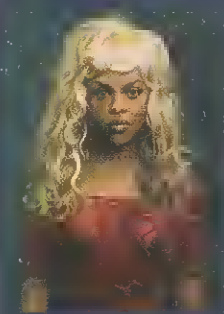

Jako że już od pewnego czasu rubryka niniejsza nie może obyć się bez informacji o ***Lil' Kim*** (że już o ich stronie wizualnej nie wspomnę), tym razem poświęcę chwilkę na przybliżenie Wam szczegółów dotyczących jej nadchodzącej płyty. Czwarty album Kim, „Naked Truth", pojawi się w sklepach 13 września, na tydzień przed smutnym w swej istocie faktem oddania się przez raperkę w ręce sprawiedliwości. Pierwszy singiel już znamy, nazywa się „Shut Up". Wśród producentów zwerbowanych przez Lil' Kim na płytę są Scott Storch (jej były facet zresztą), Kanye West i 7 Aurelius. Potwierdzone jest już, że artystka w tekstach zdissowała 50 Centa, Junior M.A.F.I.A. oraz Foxy Brown, zatem możemy się spodziewać z ich strony odpowiedzi, co da mi pretekst do napisania kolejnego newsa i zamieszczenia kolejnej fotki Kimberly Jones;)

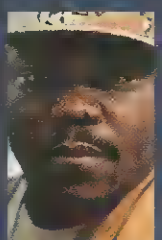

Kim do więzienia trafi niebawem, a ***Beenie Sigel*** właśnie zeń wyszedł. W czasie jego odsiadki album rapera „The B. Coming" sprzedał się w 300 tysiącach kopii. Teraz Sigel z miejsca ma uderzyć w trasę koncertową, która – choć spóźniona nieco – ma na celu zachęcenie publiki do nabycia jeszcze kilku (tysięcy) egzemplarzy płyty. Ponadto, na dniach ma ukazać się DVD, na którym raper zamieści m.in. jeden ze swych koncertów. Dziwne, iż nic nie mówi się o tym, jak to Beanie pracowicie spędził czas w więzieniu, napisał 400 nowych tekstów i jest gotowy do nagrania kolejnych 14 albumów, jak to zwykle w takich przypadkach bywa. A to leń.

Jeszcze jeden więzienny news i obiecuję, że to już koniec na ten numer. Mianowicie, Turk z ***Hot Boys*** może trafić za kratki nawet na dziesięć lat. Oskarżenie wynika z wydarzeń, które miały miejsce w styczniu ubiegłego roku. Turk rzekomo otworzył ogień do oddziału SWAT-u, który wbił się do jego mieszkania (że chodziło o narkotyki, chyba nie muszę dodawać?). Wyrok zostanie wydany 26 października. Prawnik rapera rzecz jasna obstaje, że Turk absolutnie nie strzelał. Za to mu wszak płacą.

# recenzje muzyczne

## MISSY ELLIOTT
**THE COOKBOOK**
WARNER

Książka kucharska Missy Elliott prowadzona jest bardzo konsekwentnie równolegle na płaszczyźnie muzycznej i wizualnej. Oto bowiem w intro mówiąca z południowym akcentem babucha (która na zdjęciach do złudzenia przypomina starą, grubawą Missy obciętą na oldskul) podaje swój przepis na pyszne danie. To łyżeczka Mary J. Blige, szczypta Slick Ricka, słodzik z Tweet, podsmażony na tłustym bicie Fatman Scoop. Pycha! W roli zasmażki stary sprawdzony trik: jako baza Timbaland, wypełniacz z własnych produkcji Missy i kogel mogel najróżniejszych producentów, w tym jako rodzynek – nieco już podeschły – The Neptunes. Kawałki ułożone są kolejno jak w menu. Najpierw przystawki (te – jak w życiu – smakują najlepiej), dania główne – tu lekkie danie ze Slick Ricka (mniam, mniam) i bardzo sycące, genialne „Lose Control" z Fatmanem Scoopem. Potem lekki spadek formy: „My struggles" to coś jak sałatka z owoców morza – mało do jedzenia, a mdli. Mdłości mogą utrzymywać się przy kolejnym utworze, „Meltdown". To za sprawą pikantnego tekstu, który choć byłby do przełknięcia (nomen omen) w ustach Lil' Kim, sączony lubieżnie przez Missy maluje na buzi bardziej pruderyjnego słuchacza rumieniec. Poza tym, masa z odgrzewanych oldskulowych patentów, w tym fantastyczne skrecze. Całość produkcji jest jednak nieco przesolona – liczba rymów do „Misdemeanor" i porównań bazujących na miłości Beyonce do Jaya-Z oraz charakterystyczny wrzask „yes" w połowie płyty już bardzo męczą trzewia. A tu na deser zamiast sotcików wysłuchujemy pozbawionych większej finezji utworów, z których faktycznym orzeźwieniem jest tylko „Teary Eyed" – klasyczna piosenka soulowa zaśpiewana brawurowo przez samą Missy. Kończąc tę gastronomiczną rekomendację – uczta przesmaczna i świeża, ale tak tłusta, że w celu uniknięcia sensacji radzę przed deserem kimnąć sobie chwilkę. Fala

## FUN LOVIN' CRIMINALS
**LIVIN' IN THE CITY**
SANCTUARY/ SONIC

W 10 lat po rozpoczęciu działalności F. L. C. wydają już swój siódmy album. Album, który niestety nie dorównuje w jakikolwiek sposób najlepszym dokonaniom zespołu – „Mimosa" i „100% Colombian". Styl grupy balansujący pomiędzy rockiem, funkiem, popem z lekką domieszką rapu, wydaje się mieć najlepsze lata za sobą. Huey, Frank i Past nie zatracili co prawda przebojowości, ale chyba wyczerpali formułę na hity. W elekcie płyta przechodzi bezpłciowo, nie pozostawiając po sobie nic szczególnego. Solidność i wykorzystanie oklepanych i znanych motywów to niestety trochę za mało jak na grupę o takim stażu i potencjale. Calak

## ONE SELF
**BLUEBIRD**
NINJA TUNE

One Self to międzynarodowe przedsięwzięcie, którego uczestnikami są: DJ Vadim, raper Blu Rum 13 i wokalistka Yarah Bravo. W chwili, gdy będziecie czytać tę recenzję, dostępny powinien być już petnometrażowy album tej „supergrupy" (sami pewnie nie lubią, jeśli się tak o nich mówi) i jeśli będzie równie atrakcyjny, co ta krótka EP-ka, warto połatygować się do pobliskiego sklepu muzycznego. OK, co my tu mamy? Najpierw dwie wersje tytułowego „Bluebird". Przebojowy, taneczny pop z funkowym pulsem. Lekkie loopy gitar, świetny groove DJ Vadima, melodyjny głos Bravo – chyba mogę typować już tę piosenkę jako przebój lata w wielu klubach. Następny utwór, „Fear the Labour", to dla odmiany czujny hip-hopowy kawałek z niepokojącymi dźwiękami sitaru w tle, które przywołują zew bliskowschodniej muzyki etnicznej. Jakby nie dość było tej multikulturowej mieszanki, w alternatywnej wersji tego kawałka nawija po hiszpańsku barceloński MC, Tremendo. No i na sam deser zostaje jeszcze videoclip do „Bluebird". One Sell nadaje się dogmatu tezie, według której muzyka jest z natury kosmopolityczna i nie uznaje żadnych ograniczeń stylistycznych bądź geograficznych. Warto nadstawić ucha w jego kierunku. /*SBTN*/

## SIŁA DŹWIĘQ
**FUNKKROK24**
FONOGRAFIKA

Długo by szukać odpowiednich słów na emceeing Kliata – najwłaściwsze będzie chyba sformułowanie „wystarczająco dobry". Nie jest to mc, którego wersy by się cytowało, a zwrotki cofało, ale czuć energię, pewny, ultradynamiczny flow nie powinien zawieść nikogo, a sympatycy szybkiego, bardzo funkowego, niegłupiego hip-hopu na pewno nie będą przełączać numerów. Funk pojawia się w tytule i rzeczywiście jest go bardzo dużo. Żywy bas hula jak dziki, a numery – dodajmy, że w dużej części instrumentalne – wahają się między lekkimi, przyjemnymi a bardziej kosmicznymi, eksperymentalnymi. George Clinton i Atrika Bambaata byliby bardzo zadowoleni z tego jak spisał się Spike. Równa, solidnie okraszona humorem płyta zrodzona z pasji, obowiązek dla tych, którzy przegapili starą szkołę w Ameryce, lekarstwo dla tych słuchających rapu ze szczękościskiem. Mierzona w podobnych odbiorców, co SSS, ale zdecydowanie bardziej zróżnicowana. Brakuje u nas takiego brzmienia i takiej mentalności twórców. Polecam. (flint)

## BRITISH SEA POWER
**OPEN SEASON**
ROUGH TRADE

Jeden z ulubionych zespołów angielskiej prasy muzycznej długo kazał czekać na swoją drugą płytę. W przeciwieństwie do debiutanckiego „The Decline of British Sea Power" nowy album nie ujawnia już tak bardzo postpunkowych korzeni formacji z Brighton, więcej zaś na nim reminiscencji nowej fali, gitarowej muzyki pop w typowo angielskim stylu, a nawet folku. Pobrzmiewają na „Open Season" echa The Cure, The Smiths, Echo & The Bunnymen i całkiem sporo zapożyczeń z manchesterskiego rocka. Głos wokalisty Yana przypominać może nieco Davida Bowie'ego, choć śpiewakowi British Sea Power daleko jeszcze do klasy Australijczyka. Może i jest to takie lekkie angielskie granie, ale za to bardzo gustowne i profesjonalne. Godne uwagi estetów i wszystkich, którzy mają już dość wszechobecności w mediach Coldplay (a nie brak, jak sądzę, jednych i drugich). /*SBTN*/

## NID & SANCY
**TALK TO THE MACHINE**
SURPRISE/KARTEL MUSIC

Dziwny to zespół. Skojarzenie w nazwie zupełnie oczywiste, skojarzenia muzyczne już trochę mniej. N&S grają brudny elektro-punk (jeżeli coś takiego nie istniało, to już jest), zahaczający o delikatny industrial, momentami cholernie monotonny, ale jednocześnie siekający w głowę. Belgijski zespół ma różne pomysły aranżacyjne na wyrażenie swojego buntu i czasami jest tu nawet ciekawie, choć przesłuchanie całego materiału na jeden raz stanowi wyzwanie, co należy powiązać ze wspomnianą już i powracającą, czasami niespodziewanie, monotonią. Ale dla kilku ciekawych momentów warto się z tą płytą zapoznać, zwłaszcza jak ktoś lubi brudne brzmienie i lubi panczurów z diodami na kalanach.

## AMMONCONTACT
**NEW BIRTH**
NINJA TUNE/ ISOUND

Pół roku po wydaniu debiutanckiego krążka Ammoncontact prezentują nam swe kolejne dokonanie, tym razem mini album „New Birth". O ile „One In An Infinity Of Ways" na długo zaległo w mym audio, to nowe wydawnictwo już tak mocno nie przykuło uwagi. Powód jest bardzo prosty. Choć „New Birth" trzyma klasę i stoi na dobrym poziomie, to niczym nie zaskakuje. Carlos Nino i Fabio Ammon nie poszli do przodu, jeśli chodzi o swój producencki kunszt, oddając nam w ręce 9 numerów utrzymanych w klimacie brzmienia czerpiącego z dokonań m.in. Daedelusa, Shadowa, Prefuse 73. Instrumentalny abstract hip-hop oparty w dużej mierze o elektronikę i krótkie sample. Na pewno najmocniejszy punkt programu stanowi „Futuro", choć ludząco przypomina „Tell The World" z repertuaru Sci Fi Select, co odrobinę psuje zabawę. Ten zarzut można swoją drogą uczynić konkluzją tej recenzji. „New Birth" – ogólnie dobre, choć za dużo tu muzycznego „deja vu". Calak

## ROISIN MURPHY
**RUBY BLUE**
ECHO/ ISOUND

Wokalistce grupy Moloko nie można odmówić dwóch niezwykle ważnych rzeczy – doskonałego głosu i charyzmy. Już to nakazywało przyjrzeć się z uwagą tej płycie. Szczególnie, że za oprawę muzyczną „Ruby Blue" odpowiada sam Mathew Herbert, genialny i na pewno jeden z najważniejszych obecnie na scenie elektronicznej muzyki progresywnej producent. Współpraca duetu Murphy–Herbert wypadła doskonale. Od rozpoczynającego krążek „Leaving the City" mamy do czynienia z materiałem na bardzo wysokim poziomie. Roisin świetnie sprawdza się zarówno w dynamicznych kompozycjach o imprezowym zacięciu („Sow Into You"), jak i kawałkach spokojnych, wręcz balladowych („Through Time", Dear Diary", „The Closing of the Door"), a także mocno eksperymentalnych, gdzie Herbert dał upust swej kreatywności i muzycznej wyobraźni. Tak naprawdę to on jest cichym bohaterem tego wydawnictwa, w kapitalny sposób łącząc ze sobą soul, jazz, pop i muzykę elektroniczną. „Ruby Blue" jest szczególnie ciekawe ze względu na to, iż stanowi w jakimś stopniu wizję progresywnego popu XXI w. Muzyki z jednej strony bardzo miłej i przyjemnej, ale w żadnym stopniu infantylnej, nudnej i powtarzającej po raz setny oklepane schematy. Godne polecenia i sprawdzenia. Calak

## TOSCA
**J.A.C.**
! K7/ G-STONE/ SONIC

To już ósmy krążek w dyskografii założonego 11 lat temu w Wiedniu duetu. Tym bardziej może cieszyć, że pomimo zdobytej sławy i bagażu doświadczeń członkowie Toski – Richard Dorfmeister i Rupert Huber – nie osiedli na laurach odcinając kupony od popularności, lecz wciąż nagrywają świeżą i nieszablonową muzykę na wysokim poziomie. Poruszając się przede wszystkim w obrębie elektroniki, downtempa i ambientu, penetrują również rejony abstrakcyjnego hip-hopu, nu-jazzu i loungu. W charakterystycznym dla siebie stylu i z dobrym smakiem. Ich kompozycje są przemyślane, w większości przyprawione dobrymi wokalami i choć tworzą zamkniętą całość, nie możemy narzekać na nudę i schemat. Klimat bowiem zmienia się dość często. Wolne, spokojne numery kontrastują co i rusz z tymi, przy których nogi same zaczynają się nam rytmicznie ruszać. Dla fanów duetu zakup „J.A.C." to konieczność, z kolei fani nowych brzmień, którzy dotąd nie mieli okazji zetknąć się z Toscą, spokojnie mogą sięgnąć po ten krążek, bo stanowi z pewnością mocny punkt w dyskografii zespołu. Calak

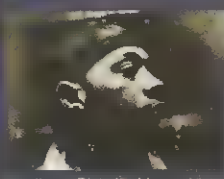

***U-God*** przygotował swoją drugą solówkę. Sześć lat po „Golden Arms Redemption" ukazać ma się niebawem (bo we wrześniu) krążek zatytułowany „Mr. Xcitement". Wyjdzie on nakładem Free Agency Recordings. Płyta będzie osobistą opowieścią o życiu rapera, który nie zdecydował się na zaproszenie zbyt dużej liczby gości. Najbardziej prominentną postacią, która ma się pojawić na albumie, jest MC Eiht, poza nim tylko paru mniej znanych emce.

Ciekawej rzeczy możemy się spodziewać w październiku. Będzie to projekt ***DJ'a Danger Mouse'a*** (słynny „Grey Album" oraz współautorstwo „Demon Days" Gorillaz) oraz widocznego na zdjęciu ***MF Dooma*** (tu za dużo tytułów, by je wymieniać) pod nazwą „DANGERDOOM: The Mouse and the Mouse". Album wydany zostanie przez Epitaph. Na majku pojawią się gościnnie Cee-Lo (z którym zresztą Danger Mouse pracuje nad wspólnym albumem w ramach duetu Gnarls Barkley), Ghostface (z którym z kolei nad osobnym projektem pracuje MF Doom) oraz Talib Kweli. Już czekam na to wydawnictwo z niecierpliwością!

Najpierw swą „emeryturę" ogłosił Jay-Z, obecnie w jego ślady idzie ***Eminem***. Zmęczyła go już podobno sława i chce się skoncentrować tylko na produkcji oraz biznesie – żadnych nowych płyt, żadnych koncertów. „Encore" zatem pozostanie jego ostatnią płytą. Tymczasem, Ford – z którym Em miał współpracować przy promocji jednego z nieprodukowanych jeszcze seryjnie modeli swych aut – nie zdecydował się ostatecznie na ten ruch, gdyż kierownictwu firmy nie spodobał się rzekomo teksi i tytuł singla „Ass Like That". Co za konserwatyzm, nieprawdaż?

NEWS ***Rawkus Records*** powraca. Po zawieszeniu działalności w styczniu 2004 roku label został reaktywowany w lipcu przez swoich właścicieli, Jarretta Myera i Briana Bralera, którzy podpisali umowę dystrybucyjną z Firmą RED Distribution należącą do giganta Sony/BMG. Żadnych szczegółów dotyczących planów wydawniczych oraz artystów, z którymi label ma współpracować, na razie jednak nie ma, a w sumie to rzecz najważniejsza.

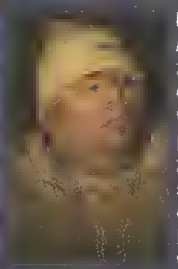

Rodzina zmarłego w 2000 roku ***Big Puna*** wypuszcza na rynek linię odzieży pod marką Big Pun Clothing. Cały dochód ma być przeznaczony na poprawę warunków bytowych wdowy po raperze oraz trójki ich dzieciaków. Była żona Big Puna oświadczyła, że od czasu śmierci artysty otrzymała tylko 8 tysięcy dolarów z tantiemów i to wszystko. Sytuacja była na tyle zła, że kobieta próbowała nawet opchnąć na eBayu łańcuch rapera, ale nikt nie chciał dać za niego oczekiwanych 100 tysięcy zielonych. Ciekawe, dlaczego... Big Pun był pierwszym w historii latynoskim emce, którego płyta osiągnęła status platyny.

NEWS ***Tru Life*** – raper, który ostatnimi czasy zyskał nieco fejmu (beef z Mobb Deep, udane występy na mixtejpach, supportowanie Snoop Dogga) i zaczął być zachęcany do podpisania kontraktu przez wielu różnych pierwszoplanowych graczy na rynku fonograficznym – ostatecznie zdecydował się na dołączenie do obozu Jay-Z, Roc La Familia. Nowojorski raper obecnie pracuje nad mixtejpem z DJ'ami Kay Slayem oraz Green Lanternem.

NEWS A jeśli już jesteśmy przy sprawach kontraktowych, to potwierdziły się krążące od pewnego czasu pogłoski o rzekomym włączeniu ***M.O.P.*** w szeregi G-Unit Records należącego oczywiście do niejakiego Curtisa Jacksona. Zalem, it's official, baby. Co tam jeszcze słychać u Fifty'ego? Tu zaskoczenie – 50 Cent napisał książkę, „From Pieces

to Weight: Once Upon a Time in Southside, Queens" to tytuł autobiografii artysty (bo chyba nie myśleliście, że największy twardziel wśród raperów napisałby jakiś kryminał lub romans?), która wydana została zaledwie kilka dni temu przy współpracy z MTV Books. A to ci lektura! Po raz kolejny dowiemy się, jaki to Curtis był biedny i jak swą mozolną pracą doszedł do sukcesu. Mniam!;)

To jeszcze nie wszystko o **50 Cencie**, ale zdecydowałem się na oddzielnego newsa, co by poprzedni nie był za długi;) Mianowicie, we wrześniu można będzie nabyć re-edycję ostatniego krążka artysty „The Massacre". Oprócz znanego już materiału, zamieszczony tam zostanie remix do kawałka „Outta Control" z udziałem Mobb Deep i... jeledyski do każdego z utworów na płycie. To raczej nielepowe, co Fifty skomentował skromnym stwierdzeniem: „Jestem królem oryginalności". Dodatkowo, w listopadzie ukaże się gra rapera, „Bulletproof", oraz film z jego udziałem, „Get Rich or Die Tryin'". Pieniążków nigdy za mało, nie?

NEWS

Takie tam małe uzupełnienie do artykułu Calaka o **Missy Elliott**. Otóż, ostatnio została ona wybrana przez Chryslera do skomponowania 30 sekund muzyki do reklamy nowego Jeepa Commandera (marka Jeep należy do koncernu Chryslera, w razie, gdyby ktoś się pogubił). Trwają również ponoć rozmowy na temat ewentualnego występu raperki w tymże spocie. Jeśli ktoś jest zainteresowany kupnem auta, to musi poczekać do wprowadzenia go na rynek we wrześniu. Ja się póki co zastanawiam;)

Już prawie pewna wiadomość. Nowy album **Outkastu** ukaże się późną jesienią. Będzie to ścieżka dźwiękowa do filmu nazwanego wstępnie „My Life in Idlewild" osadzonego w realiach lat 30., który na ekrany trafić ma w styczniu. Duet nie pracuje w studiu wspólnie, ale tym razem nie należy oczekiwać osobnych dwóch albumów. Ponadto, kolejne wydawnictwo Outkastu może ukazać się, zdaniem Big Boia, jeszcze przed końcem 2006 roku, a w tej chwili trwają również prace nad DVD zawierającym niepublikowany nigdy wcześniej materiał z zakulisowej działalności grupy.

Calvin Darden, makler giełdowy, który okradł swoich klientów i pracowników na łączną sumę 7 milionów dolarów, przyznał się do winy i grozi mu nawet do 12 lat za kratkami (ups, miało już nie być więziennych newsów...). Co to ma wspólnego z tematyką naszej rubryki? A to, że prawie milion z wyżej wspomnianej kwoty należał do Nelly'ego, a 300 tysięcy do koszykarza **Latrella Sprewella**. Nelly da sobie jakoś radę, natomiast Sprewell to biedny facet. Jakiś czas temu odrzucił on wszak z pogardą ofertę nowego kontraktu od swego klubu, Minnesota Timberwolves. Kontrakt ów opiewał na 21 milionów zielonych za trzy lata gry, ale Spree stwierdził, że jest on za niski, żeby zawodnik mógł wyżywić swoją rodzinę! A tu jeszcze mu hajs dodatkowo kradną...

NEWS

No i na koniec info o **Pharrellu Williamsie**. Będzie on produkował muzykę do ścieżki dźwiękowej filmu „Voltron: Defender of the Universe". Voltron to ogromny robal składający się z kilku (pięciu bodajże) pomniejszych jednostek, który w filmie będzie, jak to zresztą dobitnie wskazuje tytuł, ratował świat przed zagładą. Nic dziwnego, że twórcy tegoż dzieła sięgnęli po producenta z kręgu hip-hopowego. Voltron jest dość często wspominany w rapowych tekstach, a ja na zawsze zapamiętam fragment wypowiedzi Method Mana z „Enter" Wu-Tangu: „We form like Voltron and RZA happened to be the head". Słodziutko;)

NEWS

Z ostatniej chwili: Flintstone zgolił brodę. Niestety, w momencie, gdy ten numer Ślizgu trafi do Waszych rąk, broda Flintstone'a już odrośnie.

przygotował Grabiszczy

## S-TONE INC.
**LUZ Y SOMBRA**
SCHEMA RECORDS

Calak sprezentował mi przepiękną płytkę, za co jestem wdzięczny. Mediolański projekt multiinstrumentalisty Stelano Tirone to fuzja tego wszystkiego, co w delikatnym, ale i potrafiącym zakręcić jazzie najlepsze. Elementy latino i funkującego groove'u, wspaniały głos Laury Fedele, wielkie umiejętności muzyków zaproszonych do projektu, rzucająca momentami na kolana lekkość, z jaką rozgrywają swoje partie. Płyta niezwykle nastrojowa, nawiązująca do tradycji jazzu i soulu, a jednocześnie odważnie nowoczesna, choć – dzięki Bogu – nie w nachalny sposób, jak to się czasami zdarza niektórym „fuzjonistom". Szczerze polecam i na wieczory we dwoje, i na wieczory samotne, gdy chce się odsapnąć po codziennym biegu. k.

## SELF AGAINST CITY
**TAKE IT HOW YOU WANT IT**
RUSHMORE RECORDS

Ściana dźwięku, którą czystym głosem przekrzykuje wokalista, kilka chwytliwych melodii i aranżacyjnych smaczków. Pop punk wysokiej próby, który nie odkrywa nowych wymiarów, ale przyjemnie łechce zmysł słuchu. Kwintet Self Against City, nowe odkrycie wytwórni Rushmore Records, idealnie wpisuje się w główny nurt punk rocka made in USA. To nie są szaleńcze czady, a po prostu piosenki, które równie wiele zawdzięczają Glassjaw, co Ashlee Simpson. Ładnie wyprodukowane, ładnie zagrane, ładnie zaśpiewane – po prostu ładne. Nie byłbym sobą, gdybym trochę nie pokręcił nosem, bo też nie brak jest podobnej muzyki, ale ten zespół akurat jest w porządku. Pop punkowej młodzieży się spodoba. /*SBTN*/

## PREFUSE 73
**SURROUNDED BY SILENCE**
WARP/ SONIC

Powiedzenie, że muzyka łączy ludzi, nijak ma się do twórczości Scotta Herena aka Prefuse 73. Jego można albo kochać i upajać się tym, co produkuje, albo nazwać szarlatanem nieskładnie układającym pojedyncze dźwięki i nietworzącym nic ponad chaotyczny, trudny do zrozumienia amalgamat brzmień. „Surrounded By Silence" – i będę się przy tym zdaniu mocno upierał – to materiał genialny. Kapitalnie grający na emocjach słuchacza, wciągający, niesamowicie bogaty w inspiracje, nawiązania, a przy tym na swój sposób piękny. Oparty (co dla jego fanów żadnym zdziwieniem nie jest) o bardzo krótkie próbki sampli, kapitalne brzmienie perkusji i dograne przez samego Herena partie żywych instrumentów. Smaczku dodają gościnne udziały tak różnych postaci z rapowego świata, jak reprezentanci Wu – Ghostface, GZA i Masta Killa, związani z Def Jux El-P, Camu i Aesop Rock, oraz kojarzony z APC Beans. Wszyscy fani połamanego elektronicznego brzmienia bazującego na hip-hopie mogą spać spokojnie – Heren jak zwykle stanął na wysokości zadania. Calak

## WEEZER
**MAKE BELIEVE**
GEFFEN

Weezer nagrał kolejną płytę. Miał być to album w założeniu zapewne ambitny, tzw. następny krok w karierze. Tymczasem jest on nudny, momentami trochę na siłę ciężki, na którym, choć dzieje się w miarę sporo, to jednak wszystko to jakieś takie napuszone i bez polotu. Dużo różnych prób – ballady, szybsze kawałki, wczuwki i klasyczne granie po godzinach. Coś tu można znaleźć, powstaje jednak pytanie, czy będzie się chciało szukać. Jedna z najsłabszych płyt wyprodukowanych przez Ricka Rubina, jakie w życiu słyszałem...

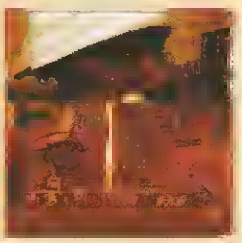

## JIMSON
**ODDYCHAJ**
mefli.hip-hop.pl

Zazwyczaj mc's z podziemia mają u mnie trochę forów, ale potencjały takie jak Jimson same proszą się o bezwzględność. „Ostatni raz" czy „Królowa wosku" to dobrze nakreślone, nasycone detalem historie, troszkę niedopowiedziane, przez co jeszcze bardziej klimatyczne. Ale tytułowe „Oddychaj" to wiele świetnych dwówersówek słabo pospinanych ze sobą, z nijak niemającym się do nich refrenem. Wymaga wielu przesłuchań z co najmniej dwóch powodów: Jimson zaczepia się o werbel w dziwny sposób i nie ma jeszcze takiej dykcji, by przy takim lempie dało się to bezproblemowo zrozumieć. Plus za wolę eksperymentu i samodoskonalenia, ale słychać, że ten proces nie jest zakończony.

Beaty są genialne i nie ma się tu co rozwodzić. Frodo wybrał niespokojną rytmikę i przemyślaną oszczędność. Me? How? zimną przestrzeń, z basem brzmiącym jakby był dograny przez kozackiego instrumentalistę, Kixnare postawił na nastrój, prostą perkusję i harmonię budowaną z wielu elementów. Wszyscy wygrali. Gorzej z remixami tytułowego utworu – bo o ile Metro jest na czasie i serwuje nam duszący minimalizm a la Slones Throw, to Puzzel ma w podkładzie wielki bałagan, który niby jest jego patentem, ale trudno to znieść. Ten hip-hop jest dla osłuchanych, będących w stanie powyłapywać smaczki. W skrócie: od znawców dla znawców. Gratuluję ambicji i brzmienia takiego, jakby twórcy żyli w izolacji od realiów polskiego przemysłu muzycznego i jego barbarzyństwa. Trzymam kciuki, czekam na więcej. A dla was 2 tracki na naszym cover cd na spróbowanie. (flint)

## THE HERBALISER
**TAKE LONDON**
NINJA TUNE/ !SOUND

Trochę niespodziewanie – ponieważ ostatnie dokonania Herbalisera nie powalały, szczerze mówiąc, na kolana – otrzymaliśmy kolejny dowód na to, że brytyjski hip-hop ma się lak dobrze, jak nigdy wcześniej. Jake Wherry i Ollie Teeba z pomocą całego zastępu muzyków sesyjnych odpowiedzialnych za brzmienie żywych instrumentów (wśród nich m.in. Kaidi Tatham z broken beatowego kolektywu Bugz in the Attic) stworzyli dzieło, na którym w bardzo udany sposób połączyli rap z funkiem, zahaczając przy okazji o soul, elektronikę i niemal oldskulowe elektro („Gadget Funk"). Większość albumu stanowią wciągające i bujające kawałki instrumentalne, niestety – przynajmniej dwa z nich („Sonofanuthamutha" i „Song For Mary") bardzo nudzą swą długością. „Gwoździem" programu są jednak numery rymowane przez Jean Grae (aż cztery!) z kapitalnym „Twice Around" na czele oraz kompozycja „Lord Lord" nagrana z Roots Manuva. Właśnie te momenty sprawiają, że płytę należy ocenić jako co najmniej dobrą. **Calak**

## MEMPHIS BLEEK
**534**
MERCURY/ UNIVERSAL

Bleeka w 1998 Jay-Z namaścił na swojego następcę. Co z tego wszystkiego wyszło? No właśnie o to chodzi, że nic. Mamy bowiem 2005 rok i o ile Shawn Carter wciąż przyciąga uwagę milionów fanów rapu na całym świecie, to nowy krążek Memphisa w pierwszym tygodniu sprzedaży znalazł niespełna 30 tysięcy nabywców. Trochę to paradoksalne, bo „534" jest chyba najlepszą pozycją w jego dyskografii. Singlowe „Like That" to Swizz Beatz w formie z najlepszych lat, „Dear Summer" z Jay-Z spokojnie mógłby trafić na „Black Album" (nie tylko dlatego, że Hova zjada w tym numerze Bleeka), a „First, Last And Only" do spółki z M.O.P. na długo wbija się do głowy. Wśród reszty numerów spokojnie można znaleźć kilka innych bangerów, a trudno tak naprawdę wskazać na jakiś ewidentny bubel. Oczywiście, Memphis jako raper to wciąż mainstreamowa druga liga, ale udało mu się w końcu trafić z odpowiednimi bitami i kto wie, czy moment, w którym Bleeka już wielu skreśliło, nie okaże się przełomowy dla niego. Tą płytą udowadnia bowiem, że potencjał – choć uśpiony – jednak w nim drzemie. **Calak**

## PLAYBOY – THE MANSION
**SOUNDTRACK mixed by FELIX DA HOUSECAT**
PLAYBOY ENTERPRISES

O co chodzi w grze Playboy-The Mansion, mogę się tylko domyślać, bo jeszcze nie grałem. Mogę jednak napisać dwa słowa o soundtracku, gdyż leciał kilka razy w moim samochodzie, gdy wybierałem się na polowanie na króliczki. Jest to otóż house i szeroko pojęta muzyka klubowa, zmiksowana przez legendę sceny house, Felixa Da Housecata. Armand Van Helden, DJ Sneak, Kaskade – co łączy tych artystów? Przede wszystkim to, że na tej płycie brzmią tak samo. Bez kitu, można się porzygać, do czego zresztą nowoczesny house ogólnie skłania. Ale że króliczki lubią takie imprezowe gwoździe, to czasami trzeba załączyć...

## TRZYBLOX
**ORZECH, KOSTKA, GROSZEK**
www.3blox.com

Płyta dla tych, którzy traktują hip-hop analogicznie do wycieczek krajoznawczych. Odrobina Śląska wypalona na płycie – opowieści o dzieciakach, które giną zaczepiając o lokację przy podbieraniu węgla z pociągów, czy familokach żyjących z kradzieży miedzianych kabli brzmią dla warszawiaka egzotycznie, a takich akcentów jest więcej, w tym całkiem poważny głos w sprawie tzw. „narodowości śląskiej". Odetchnąć można od nich przy utworach lżejszych, np. złośliwie oddających koloryt lokalnych imprez. Żeby nie było tak pięknie – mc's wykazują braki techniczne i rytmiczne. Benn Dickz jakoś daje radę, z Soleiem jest już gorzej, a głosu i flow Ally nie da się usprawiedliwić, podciągając to, co wyczynia pod regionalne naleciałości. Za to Yendryss produkuje całkiem nieźle. Zwłaszcza nisko brzmiące, malowe, szybkie beaty z odrobiną brudu i magnetyczną perkusją pod koniec albumu cieszą moje ucho. Rzecz dla wyrozumiałych i głodnych ciekawostek, zresztą posłuchajcie sami tracka na naszym cover cd. **(flint)**

*Już wkrótce nowe płyty na rynku, a u nas recenzje:*
*Kanye West, Juras i Wigor, WSZ i CNE, O.D.B., Redman,*
*Mary J. Bligde, Bloodhound Gang, Chimaira, Soulfly...*
*Czytajcie, a będziecie wiedzieli, czego słuchać.*

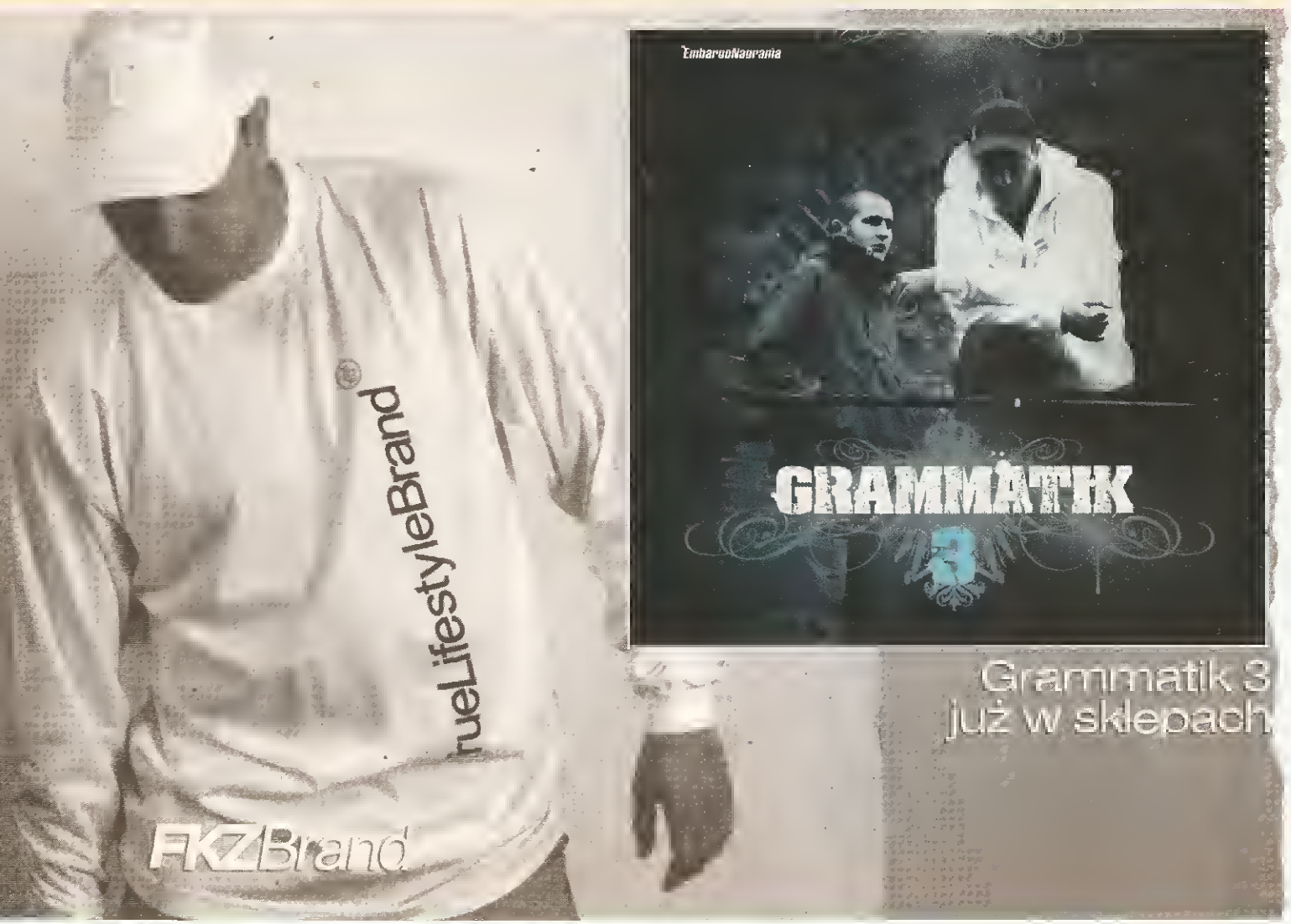

errorcthz.com
info : 042 6373740, 0603199388
fax : 042 6371972
ERROR
Camel
STUDIO

MCE - SWEDEN

OCT - FRANCE

CMR - CZECH REPUBLIC

USH, OSC, DOA - POLAND

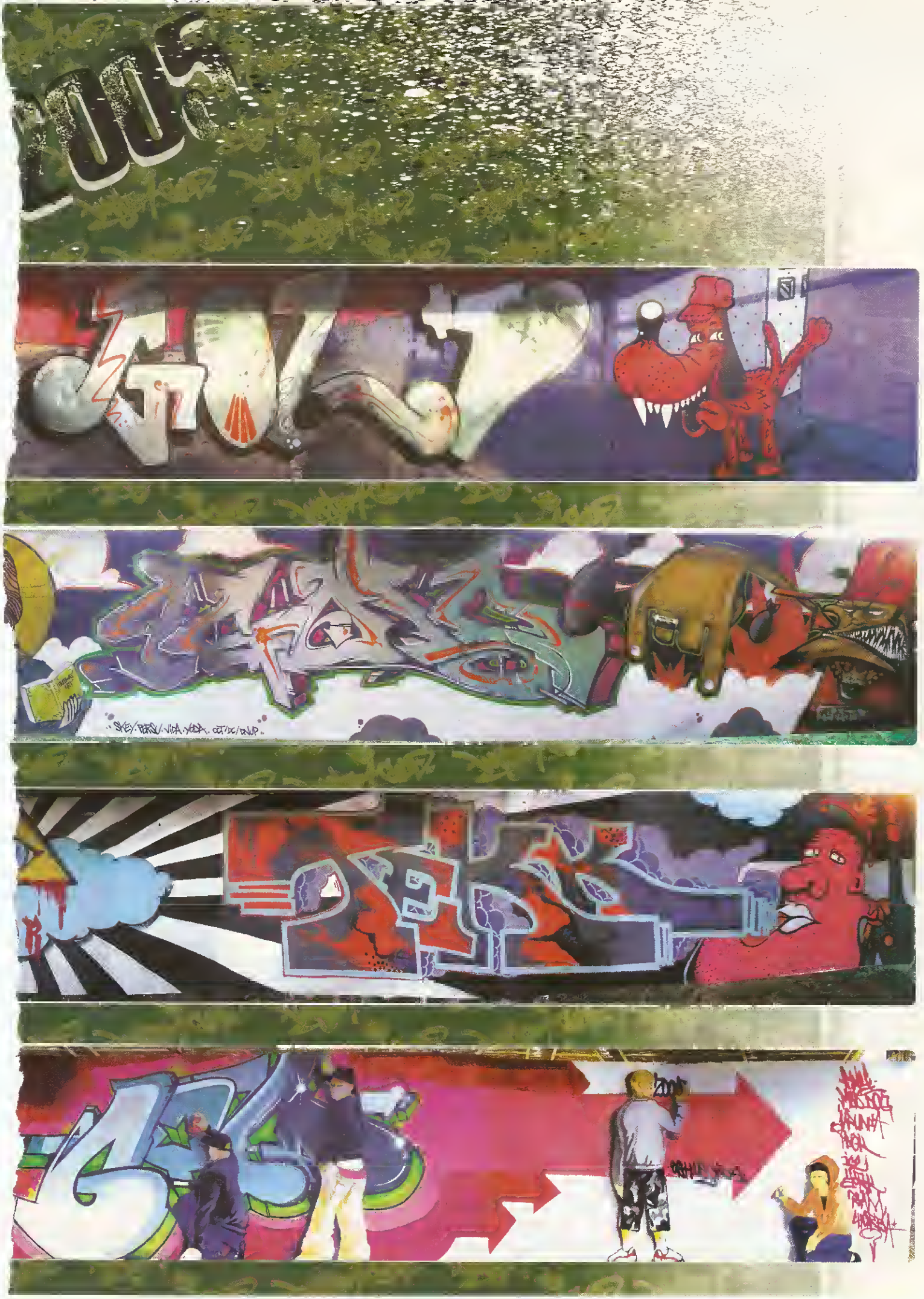

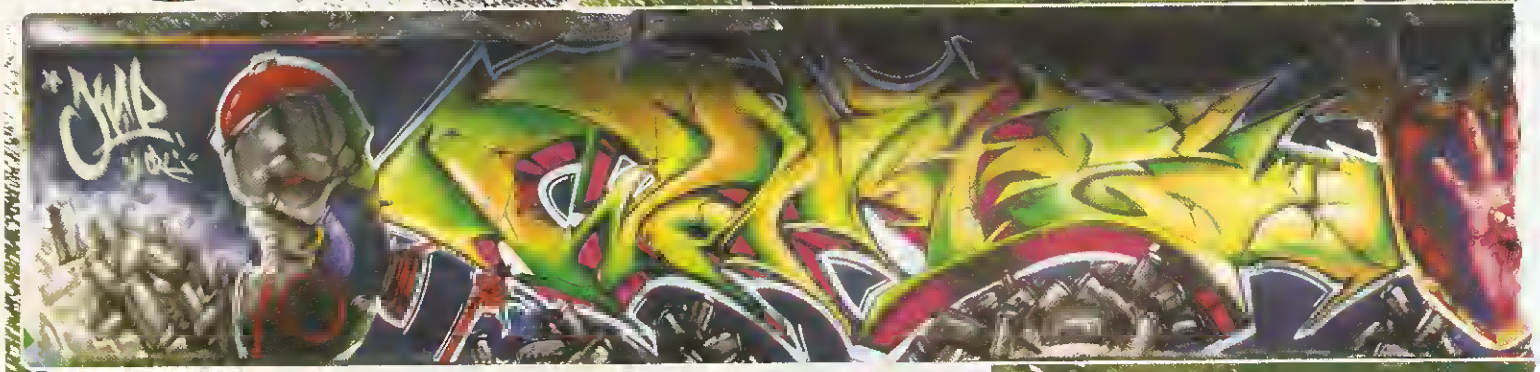

KAP - SPAIN

PNC - HUNGARY

KGMDT - RUSSIA

GM, TMK - SWITZERLAND

VMD70 - ITALY

CHOSEN FEW - GERMANY

CMR - CZECH REPUBLIC

SFN - GREECE

IGHT FOR OI'... WE WRITE FOR GOLD!

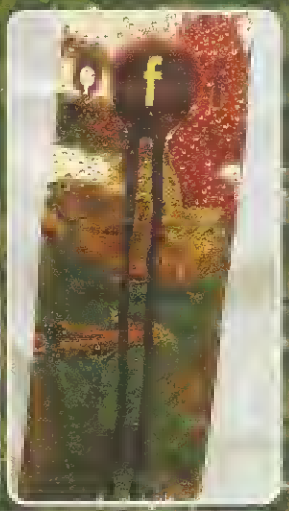

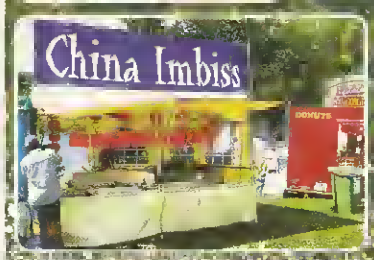

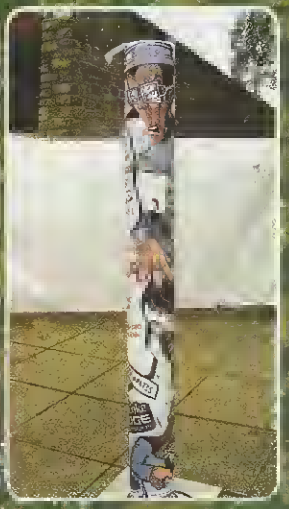

**Finały Write4Gold - Chemnitz, 5.08.2005**

W drogę do Niemiec wybiliśmy się o pierwszej w nocy w piątek, nie bacząc na niezbyt optymistyczną prognozę pogody. Po bezbolesnej podróży, o 10 rano dotarliśmy na Splash Festival, na którym Write4Gold było tylko jedną z imprez. Na dzień dobry zainkasowaliśmy idiotyczny mandat za minutowy postój, żeby spytać o drogę, ale potem szczęście zaczęło nam sprzyjać. Rene załatwił VIPowskie wejściówki, dzięki czemu mogliśmy obejrzeć cały Festiwal od środka. Sprawa była dosyć spora. Pierwszego dnia przyjechało 25000 osób, a do wyboru oprócz finałów niemiec w Write4Gold miały skatepark RedBulla, wielką lodówkę Coca Coli (dość precyzyjnie otagowaną przez różne ekipy), ciężarówkę z Playstacją, mnóstwo budek z żarciem i piwem, palarnię z shishami, full stoisk z gadżetami, koszulkami, magazynami, butami, a nawet nadzieniem do kupienia po "okazyjnych" cenach. Muzycznie do wyboru były: scena reggae, namiot z muzyką elektroniczną, scena MZEE (freestyle battle!) i główna scena festiwalu, gdzie występowały największe gwiazdy - Dilatad People, Loop Troop, Seeed i inni (www.splash-festival.de). Z powodu średniej pogody i dużej ilości błota, uczestnicy mogli też wybrać, czy chcą być bardziej, czy mniej woodstockowi. Ogólnie panował lans jak w najlepszych amerykańskich filmach, co zapewniało obserwatorom sporo rozrywki.

Na ściankach Write4Gold atmosfera trochę napięta, bo zimna mżawka (mimo daszków) ochładzała trochę ogólny zapał. Ekipy przeważnie niewyspane i niewyraźne, bo w nocy zalało kemping a malowanie w mokrych ciuchach jest raczej niefajne. Na szczęście w końcu wyszło słońce i momentami grzało całkiem nieźle co poprawiło humory.
Temat concept paintingu był mało oryginalny - "Write4Gold". Po trzech godzinach stało się jasne, że faworytem są Francuzi i Grecy, jednak wszyscy czekali na werdykt jury, który w eliminacjach często bywał zaskakujący. Tu jednak niespodzianki nie było.

Ostateczne wyniki:

1. OCT - Francja
2. PNC (Węgry)
3. SFN (Grecja)
   CHOSEN FEW (Niamcy)

Tego samego dnia pierwszy raz w Polsce odbywał się Style Combat w Niachorzu, o którym więcej spróbujemy napisać za miesiąc.

CHROM
Nowa kolekcja wkrótce w sklepach!
PL
CHROM
Chrom Sport
GDAŃSK
ul.Walejdoty 10
ul.Rajska 12
GDYNIA
ul.Świętojańska 112
ELBLĄG
ul.Hetmańska 11/14
WARSZAWA
Metro Ratusz box 4&12
Rondo jazdy polskiej box 19
KATOWICE
ul.Sławowa 3&7
KRAKOW ul.Sławkowska 20
ZANOW ul.20 listopada 8
Sprzedaż Hurtowa
058 721 51 21

# Smooth Moves

Smooth Moves to grupa kilkunastu tancerek i tancerzy, którzy (jak sami twierdzą) reprezentują styl R'N'B. W zasadzie jest to jedyna grupa w kraju, która podchodzi do tego trudnego tematu w sposób autentyczny i profesjonalny. Ludzie owładnięci miłością do tańca, głęboko zaangażowani w to, co robią, tracący litry potu na wielogodzinnych, regularnych treningach i zarabiający tańcząc na ulicy, kiedy trzeba zorganizować pieniądze na wspólny wyjazd na pokaz.
Grupę przed kilkoma laty założyła Zosia Styn (Sofi). Wyjątkowa osoba o nietuzinkowym charakterze, ogromnym uroku osobistym i jeszcze większej determinacji w dążeniu do celu. Zdołała zarazić swoją pasją dziesiątki dzieciaków. Spotykamy ich w chwili w pewnym sensie przełomowej, w której ich praca może wreszcie ujrzeć światło dzienne. Właśnie w tym momencie SM zaczyna powoli wychodzić z cienia i miejcie nadzieję, że uda wam się ich szybko zobaczyć w działaniu, bo jest na co popatrzeć.

rozmawiał Illkid

**Jakie były początki Smooth Moves?**
**Sofi:** Kiedyś mój przyjaciel Robson założył grupę. To było dawno temu, ja jeszcze nie tańczyłam. Ta grupa się rozpadła, a z niej powstała inna, w której już tańczyłam, nazywaliśmy się Red Nutz. Ta grupa jednak też się rozpadła. Ja wyjechałam do Miami, a po powrocie dostałam ofertę pracy jako instruktor tańca na obozie tanecznym na Mazurach. Laska szybko kogoś potrzebowała, więc nie bardzo się wgłębiała, co to za styl. Po obozie chciała, żebym dalej dla niej pracowała i tak było przez rok. W tym czasie trafiły do grupy Sonia i Kasia (bo Martyna była od początku). Po jakimś czasie stałyśmy się grupą niezależną od nikogo. Jesteśmy na pewno najdłużej istniejącą grupą w Polsce, tańczącą w stylu R&B. Co jakiś czas spotykam osoby, które tańczą ten styl z zajawki, wiem, że ktoś coś próbuje w Łodzi.
**Czym różni się to, co robicie od tego, co robią inne grupy tańczące w Polsce?**
**Sofi:** My od początku staramy się robić to na najwyższym poziomie, ćwiczymy technikę ruchu, wybieramy tylko to, co jest najlepsze, niepowtarzalne... Jest wiele grup tańczących hip-hop z lat 90., chodzi mi tu o taniec w stylu MC Hammer, Vanilla Ice. Nie ma w tym nic złego, od tego wszystko się zaczęło, tyle, że my mamy swoje wizje, chcemy robić własne rzeczy... Mam tu na myśli smooth moves, nasz płynny ruch – to inna epoka, bez flasha i skoków, tym różnimy się od b-boi. W naszym stylu często wykorzystuje się elementy elektro i akrobacji, ale to nie esencja. Najważniejsze, żeby każdy dał upust swoim emocjom.

**Jakie są Waszym zdaniem najważniejsze cechy dobrego tancerza?**
**Sofi:** Najważniejsza jest miłość do tańca, czyli determinacja.. Nie talent, uwierz, spotkałam tylu utalentowanych ludzi w swoim życiu, są zawodowi na skalę europejską, tyle tylko, że zabrakło im miłości do tańca.
**Kasia:** Z mojego punktu widzenia, niezwykle istotne jest poczucie rytmu i dynamika! Najważniejsza jest jednak radość z tego, co się robi. Trzeba być sobą i dać się ponieść emocjom.
**Jak istotnym elementem życia jest taniec? Sofi, ile czasu poświęcasz na doskonalenie swoich umiejętności?**
**Sofi:** Mamy 9 godzin treningu w tygodniu, ale ja się rozwijam w trochę inny sposób, ćwiczę na sali przed lustrem, powiedzmy, że tak doskonalę to, co się rodzi zupełnie gdzie indziej. Natchnieniem do ruchu są rzeczy, które cię spotykają w życiu, poruszające się przedmioty, obserwowana przestrzeń, czasem sny, ale to ciężka opcja, żeby nie zapomnieć, jak się budzisz. Czasem to liść obracający się na wietrze. Miej otwartą duszę i serce – tyle wystarczy.
**A co chcielibyście osiągnąć dzięki tańcowi?**
**Sofi:** Chciałabym móc spełniać się artystycznie i żyć spokojnie.
**Sonya:** Nie chcę ustalić jakichś określonych granic – wiem, że jak osiągnę wytyczony na dzień dzisiejszy przeze mnie cel, to pojawia się nowy. Dzisiaj jest to na pewno samorealizacja, nie ukrywam, że wiążę z tańcem zawodowe plany na przyszłość.

**na deser...**

# Mandaryna vs. Doda

świński deser

W tym miesiącu deser trochę inny, bo rodzimy. Z polskimi wokalistkami jest tak, że w sumie fajnie się na nie patrzy, ale już ze słuchaniem bywa różnie. Najczęściej trzeba być koneserem... Męska część redakcji „Ślizgu" (czyli ta przeważająca) to sami koneserzy, choć nie brakuje opinii, że nam słoń nadepnął na ucho, w związku z czym bywamy koneserami selekcjonującymi doznania dźwiękowe. Ale ponieważ wspomniany słoń nie nadepnął nam na inną część ciała, potrafimy być koneserami wiadomo czego. I to o szerokim spektrum...

Dziś dwa blond anioły naszej sceny muzycznej. Doda i Mandaryna. Kto im wybierał ksywki, nie wiemy, ale wiemy za to, że się przyjęły, co można poznać chociażby po standardowym włączeniu tv. Która tam zawsze będzie. I nie narzekamy, ewentualnie lekko ściszamy. I rozkoszujemy się słowiańskim sex-appealem.

Doda jest wokalistką grupy Virgin. Nazwa przewrotna, a tytuł jednej z płyt zespołu, „Bimbo", nie pozostawia wątpliwości. Dziewczyna hajtnęła się niedawno z bramkarzem piłkarskiego klubu Wisła Kraków, Radosławem Majdanem, i od razu wredni pismacy przybili parze etykietę „polscy Beckhamowie". Może i Beckham ma na froncie więcej włosów niż Majdan, może i brytyjska para ma więcej na koncie, ale my zdecydowanie wolelibyśmy gorącą randkę z Dodą niż z Victorią, czy jak jej tam.

Z kolei Mandaryna to żona bardzo znanego polskiego artysty, którego poznała tańcząc. Szybko okazało się, że nie tylko tańczy, ale i śpiewa, czyli – że jest uniwersalna. No i robi karierę, nagrywając piosenki w konwencji dance. Przy tych gorących rytmach ekstazę i wzlot przeżył niejeden uczęszczacz zabaw tanecznych, o dziwo, nie tylko w Polsce, ale i w Austrii, Niemczech, a nawet Japonii. Czyli jest szansa, że uda nam się jakąś gwiazdkę w końcu wyeksportować z Polski? Być może, być może. Przed ewentualnym eksportem, pooglądajcie sobie tę gorącą anielicę na łamach SLG.

# tu kupisz slizg ↘

## informacje dotyczące zamieszczenia loga (tel. 0-prefix-22 825 49 07)

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze
i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 6 12 miesięcy

PLN PLN PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata:
na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
STRZELCE OP.
OLESNO

KANGOL adidas DC SHOECOUSA NIKE möbus PONY
PLAY chmielna 10 | tel. 827 02 88
WARSZAWA www.play24.pl

SYSTEM
SKATE SNOW
DISTRIBUTION
DYSTRYBUCJA I SPRZEDAŻ HURTOWA
AMERYKAŃSKICH PRODUKTÓW:
DESKOROLKI, BUTY, ODZIEŻ, SNOWBOARDY, AKCESORIA
firm: C1RCA, FALLEN, ZERO, ELEMENT, WORLD
BLIND, SANTA CRUZ, WELL, SPITFIRE, GIRL i inne
TEL/FAX: (42) 637 6885 WWW.SYSTEMSKATE.PL

tłusty bas
ubrania bletki gadżety
Piastów
ul.Hallera 18
pn.-pt. 11-19
sob. 10-14

image
HIP-HOP SHOP
ul. Jana Kochanowskiego 5/1 77-100 BYTÓW

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

KALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hip-hop - skateshop

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze
i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:
3 6 12 miesięcy
PLN PLN PLN

opłata

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata:
na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DŁA ODBIORCY

# BYLIŚMY TU...

## WYDARZENIA/IMPREZY/ KONCERTY/CIEKAWOSTKI

### Soulfly
### Warszawa / 13.07.2005
### Kraków / 14.07.2005

Soulfly koncertuje w Polsce często, bo Max Cavalera kocha polską publiczność, a polska publiczność kocha Maxa Cavalerę i Soulfly. A jest za co. To z pewnością jeden z najlepszych zespołów metalowych na świecie (nie dzieląc na galunki). Kocert w Stodole był tego dowodem: energia i potęga brzmienia mogły mniej odpornych zwalić z nóg, zaś zagrany z towarzyszeniem czarnoskórego saksofonisty „Moses" to już było coś niesamowitego. Na dodatek zespół nagrywał koncert w celu umieszczenia go na płycie DVD, więc przeżyjemy to jeszcze nie raz. W Krakowie nie byliśmy, ale wieści dochodzą, że koncert również był zajebisty, tylko ochrona kradła telefony komórkowe. Oj, nieładnie, panowie ochroniarze... Aha, dla ścisłości: zdjęcie pochodzi z jednego ze wcześniejszych koncertów Soulfly w Warszawie, bo na ten nie mieliśmy fotopassa. Sorry!

### Ślub Dore (Paresłów) i Rafała

Byliśmy na ślubie i weselu Dorelli ze składu Paresłów. Mała Dorota złączyła się węzłem małżeńskim z Rafałem, para przed ołtarzem wyglądała pięknie, na weselu bawiła się świetnie, a my, cała redakcja SLG, życzymy im dużo szczęścia i miłości na nowej drodze życia:))

### Mazury Hip-Hop Festiwal
### Giżycko / 5-6.08.2005

Byliśmy też na Mazurach, w Giżycku, gdzie już po raz czwarty odbył się Mazury Hip-Hop Festiwal. Fajnie było. Włodi, Grammatik, Vienio i Pele, O.S.T.R., Jamal, 600 V, Bezele, WSZ/CNE, Pizza z Radości – konkretne koncerty. Dprócz tego freestyle'owa bitwa o bekę piwa (wygrał Skow z Grudziądza, dobry zawodnik), pokazy breaka i wiele innych atrakcji. Tłumy publiczności w klimatycznej twierdzy Boyen bawiły się w najlepsze, a my razem z nimi. Się działo, choć momentami lało. Człowiek jednak z cukru nie jest, więc dało radę. Kto nie był, niech żałuje. Warto jednak nadrobić tę nieobecność przy okazji kolejnych edycji festiwalu.

### Castle Party
### Zamek w Bolkowie / 30-31.07.2005

Dla niewtajemniczonych: Castle Party to – ogólnie mówiąc – festiwal muzyki gotyckiej, odbywający się co roku w Bolkowie. Klimat ma nietypowy, ale i niepowtarzalny – w końcu to „Dark Independent Festival". W tym roku wystąpili m.in. Wolfsheim, Cruxshadows, Epica, Lahka Muza, Attrition i jeszcze kilka innych zespołów z całej Europy. Działo się naprawdę dużo. Za rok też wybieramy się do Bolkowa. A co. Foto: Jan „Azi" Bielecki (castleparty.com)

wkrótce!!! www.slizg.com.pl

WWO / KANYE WEST / PELSON
WILQ / BUSTA RHYMES / PRAKTIK / KORN
MARADONA / REDMAN / STEVIE WONDER / DONIU / CIARA
ROC-A-FELLA RECORDS / ANDRZEJ PILIPIUK / WOLVERINE
FLINTSTONE: PRAWDZIWA HISTORIA / CASSIDY / DROPKICK MURPHYS / FEAR FACTORY

nowy SLIZG już wkrótce u Was!!!
hip-hop/break/deskorolka/komiks/graffiti

**DOBRZE WIEMY CO JEST ZŁE, A CO DOBRE.**
**NIE ZALECAMY NICZEGO I NIE NAMAWIAMY**
**DO JAKICHKOLWIEK ZACHOWAŃ.**
**KAŻDY WIE JAKI MA CEL I JAKIMI ŚRODKAMI**
**ZMIERZA DO JEGO REALIZACJI.**

**RÓB CO CHCESZ, ALE TYLKO WTEDY GDY WIESZ PO CO TO ROBISZ.**

OPAK
2 MIL
POL

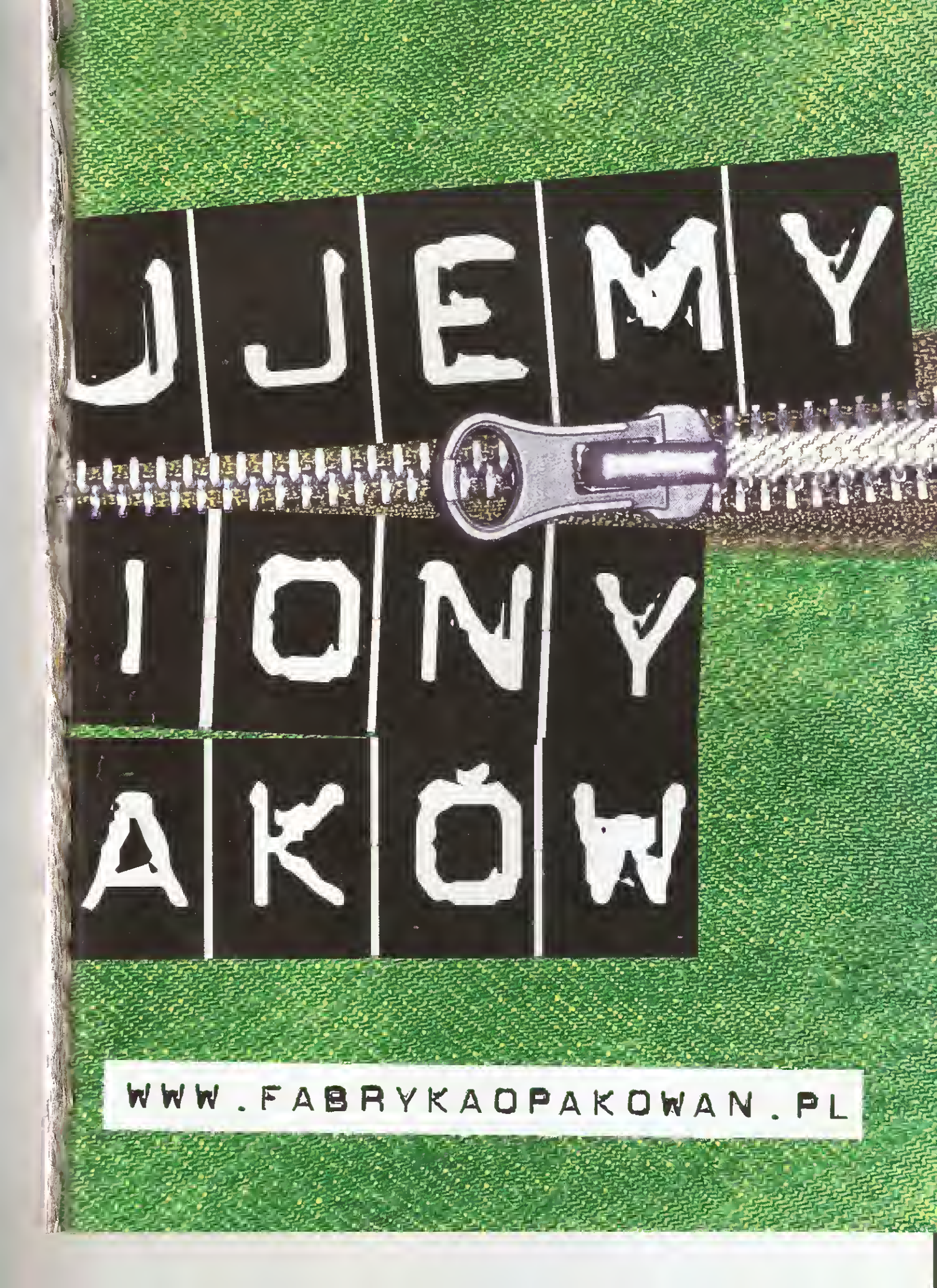
JEMY
IONY
AKÓW
WWW.FABRYKAOPAKOWAN.PL

TONY
HAWK
MAYSER